

MOCNY WYWIAD „DO RZECZY”

Michalkiewicz: Mnie też Sakiewicz oskarżał, że jestem ruskim agentem



TYGODNIK LISICKIEGO

DO

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 25/327 17-23 CZERWCA 2019

RZECZY

Kim naprawdę jest Lisiński – sekrety ikony walki z pedofilią wśród księży

JAKIMOWICZ ZDRADZA, JAK GO HEJTOWANO, GDY STANĄŁ W OBRONIE ZOFII KLEPACKIEJ



Zychowicz o sensacjach z pamiętników generała Iwana Sierowa



HOMOTERROR

– Nie damy się złamać – Rafał A. Ziemkiewicz odpiera atak tęczowej propagandy

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



Nakład: 77 tys. egzemplarzy

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Potrzebna jest zmiana prawa

Pierwszy raz w Paradzie Równości, jak oficjalnie przynajmniej nazywa się ten marsz, wzięło udział aż tylu przedstawicieli różnych firm i globalnych marek. Jak przystało na specjalistów od wciskania ludziom kitu, każdy z nich miał gębę pełną frazesów o wolności, różnorodności i tolerancji. Im bardziej wymyślna funkcja i im bardziej skomplikowana nazwa obca, tym więcej banałów można było usłyszeć.

I tak choćby cytowany przez Wirtualnemedia.pl jakiś pan z The Coca-Cola Company powiedział: „DNA marki Sprite opiera się na autentyczności. Sprite wierzy w to, że każdy ma prawo do bycia tym, kim chce, oraz w wolność do wyrażania tego”. Inny mędrzec z firmy Nielsen mówił: „Pracownicy Nielsena zdecydowali się na udział w tegorocznej Paradzie Równości, by dać wyraz swoim przekonaniom i potwierdzić, że wierzą w to, iż różnorodność jest czymś pozytywnym, że różnorodność ma łączyć, nie dzielić”. Podobnie marsz poparli przedstawiciele wielu innych firm: Procter & Gamble, Google, IBM, BNP Paribas, Citibank, JP Morgan, Microsoft, Johnson & Johnson itp., itd.

Rzecz to w Polsce nowa i do tej pory na taką skalę nieznaną. Okazuje się bowiem, że kupując lody, oglądając telewizję albo otwierając konto w banku,

klient, za sprawą szefów tych firm, zostaje poniekąd zmuszony do udziału w prowadzonej przez nie kampanii ideologicznej. Nie ma chyba bardziej chamskiej i bezwstydnej formy – nie wiem, jak to nazwać – korsarstwa? grabieży? nadużycia zaufania? Jakim prawem przedsiębiorcy i zyski – a cokolwiek opowiadaliby PR-owcy tych firm, z pewnością znacząca część zysków wygenerowana przez nich w Polsce pochodzi od klientów niechętnie patrzących na rewolucję LGBT – przeznaczane są na walkę ze świadomością i z przekonaniem tych klientów? Jakim prawem ludzie, którzy przedstawiają się najpierw jako sprzedawcy usług – bankowych, żywnościowych, komunikacyjnych, meblarskich – nagle zaczynają występować za pieniądze zdobyte ze sprzedaży tychże usług w roli nauczycieli moralności? Do diabła, co to ma wspólnego z „tolerancją i różnorodnością”?

Globalne marki powstały poza Polską i korzystają z prawa gościnności. Jak to zatem możliwe, żeby w kraju, który je życzliwie przyjmuje, postanowiły traktować nagle gospodarza, jakby był nie-douczonego i nieświadomego? Obrzydliwy to przejaw imperializmu kulturowego, poczucia wyższości i pogardy dla polskich „tubylców”, którym menedżerowie tego i owego niosą teraz kaganek oświaty. Nie da się ukryć, że wszystkie te piękne słowa skrywają lekceważenie nie dość „skolonizowanych” polskich tubylców i pogardę dla nich.

Wszystko to dzieje się całkowicie wbrew umowom i z oczywistym pogwałceniem reguły zaufania: do tej pory żaden ze zwykłych klientów nie wiedział, że kupując wyroby tej lub owej marki, opowiada się za rewolucją LGBT. Ludzie ci zatem zostali oszukani, a wielkie korporacje, korzystając ze swojej przewagi i z potęgi

finansowej, zachowały się jak typowi oszuści; sprzedając jeden towar, wepchnęły odbiorcom coś, na co się z klientami nie umawiały: ideologię LGBT.

Udział przedstawicieli „globalnych marek” w marszu ma jeszcze jeden wymiar. Publicznie angażując się po stronie LGBT, szefowie tych firm dają też jasny sygnał swoim pracownikom: chcecie u nas robić karierę, musicie śpiewać w jednym chórze z LGBT. Chcecie awansować, chcecie dostawać podwyżki, musicie popierać rewolucję. Okazuje się, że pod tym względem wielkie korporacje niewiele różnią się od komunistycznej PZPR: kto chciał robić karierę, ten musiał się dostosować. Musiał, przynajmniej oficjalnie, być po linii i na bazie.

Jak się przed tym bronić? W jaki sposób uchronić się przed symboliczną przemocą, wspieraną przez globalne marki? Na szczęście jest jeszcze państwo. Być może rozwiązaniem byłaby zatem taka zmiana prawa, która umożliwiłaby zarówno klientom, jak i pracownikom owych szacownych korporacji występowanie do sądu przeciw swoim szefom i bronienie się w ten sposób przed próbą narzucenia im lewackiej ideologii. Być może konieczna jest nowa ustawa, która chroniłaby sumienia Polaków przed ideologiczną urawniówką narzucaną przez szefostwo globalnych firm. Potrzebne jest prawo, które w przypadku tak drastycznego naruszenia reguł – kiedy to firma zaczyna prowadzić działalność sprzeczną z zasadami współżycia społecznego, a tym jest opowiadanie się przeciw zasadom prawa naturalnego – pozwoliłoby mi – czy to klientowi, czy to pracownikowi – domagać się odszkodowania za naruszone zaufanie. Oszustów, a nimi są sprzedawcy ideologicznych bajek, trzeba karać. To jedyny sposób, by otrzeźwiali. ©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

IMPORTOWANA REWOLUCJA

Zatrzymać spustoszenie

24 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

NIE MA ABORCJI? NIE MA SERIALI!

26 BŁAŻEJ KMIĘCIAK

NORMALNIE TRANS?

61 ROZMOWA ZE STANISŁAWEM
MICHAŁKIEWICZEM

I TAK BĘDĘ MÓWIĆ

HISTORIA

64 PIOTR ZYCHOWICZ

TAJEMNICA OKULICKIEGO

Dzienniki Sierowa

70 SEBASTIAN REŃCA

ŚCIGANY ZA MASAKRĘ GÓRNIKÓW

72 ROZMOWA

Z JANEM

GŁUCHOWSKIM

**NIE WSZYSTKO
NA SPRZEDAŻ**

ŚWIAT

74 PIOTR

WŁOČZYK

**„KLIMATYCZNA
PROROKINI”
LEWICY**

Antylotnicza krucjata przepustką do Nobla?

76 PIOTR KOŚCIŃSKI

**DLACZEGO NAZARBAJEW PRZEKAZUJE
WŁADZĘ**



KRAJ

30 PIOTR SEMKA

CO Z TYM GDAŃSKIEM?

Fascynacja mitem Wolnego Miasta Gdańska?

34 MACIEJ PIECZYŃSKI

WARSZAWA MOSKWIE NIE WIERZY

36 ŁUKASZ ZBORALSKI

„BŁYSKAWICE” NA NIEBIE

38 KAMILA BARANOWSKA

MINISTER OD GASZENIA POŻARÓW

41 WOJCIECH WYBRANOWSKI

UDAWANIE OFIARY?

44 ROZMOWA

Z JAROSŁAWEM JAKIMOWICZEM

**OKAZAŁO SIĘ, ŻE JESTEM
KONTROWERSYJNY**

KULTURA

46 PIOTR GOCIEK

PEWNEGO RAZU W MIAMI

Nowa powieść autora „Milczenia owiec”

48 WIESŁAW CHEŁMINIAK

KANDYDACI NA WŁOSKICH MATEJKÓW

51 GRZEGORZ BRZOSZOWICZ

NIE PANIKUJCI! JESTEŚMY Z POLSKI

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 GRZEGORZ KUCHARCZYK

**EUCHARYSTIA, CZYLI CYWILIZACJA
Boże Ciało i wojny kulturowe**

EKONOMIA

80 STEFAN SĘKOWSKI

KONIEC KLĄTWY BEZROBOCIA

Rynek pracy w Polsce

SPORT

84 JACEK PRZYBYLSKI

SNAJPERZY ZNAJ WISŁY

Polska na prostej drodze do EURO 2020

STYL

86 JOANNA BOJAŃCZYK

MAMO, MY TEJ SZAFY NIE CHCEMY

Millennials nieprzywiązani do rzeczy

O ZDROWIU

88 KATARZYNA PINKOSZ

PŁUCO DO WYLECZENIA

Onkologia

FELIETONY: SEMKA (6), KOWALCZUK (7), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), GMYZ, GOCIEK (12), ZALEWSKI, WOLSKI (60), ZYCHOWICZ, KOPER (68), WARZECHA (79), GABRYEL, RYBIŃSKI (82), KOMUDA (92), NOWAK (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARZYNA (98), ŁYSIAK (99)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojarczyk,
Grzegorz Brzozowicz, Marek Budzisz, Sławomir Cenciewicz,
Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela), Krzysztof Czabański,
Piotr Gursztyn, Maria Kądzelska, Katarzyna, Jacek Komuda,
Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski,
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Małowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmieł,
Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak,
Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak,
Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torajski, Szwach Weiss,
Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski,
Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmieł** (także dziennikarz Telewizji
Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Alekowska**, **Zuzanna
Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**,
Małgorzata Puzyr, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk**
(także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotodryty: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystopa**
Okładka: **Robert Gardziński**, oprac. graf. **JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 77 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adustacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu o wyborach – i tych
bieżących, i tych sprzed trzech
dekad. Przypominamy nasz adres
e-mailowy – listy@dorzeczy.pl – i zachę-
camy do nadsyłania korespondencji.

„Wszystko w rękach PiS”, Piotr Gociek, „DRz” 23/2019

Celnie **Piotr Gociek** wyłożył liderom PiS
zarówno to, co na drodze do kolejnego,
jesiennego sukcesu wyborczego może być
pułapką (nie za wiele tego, na szczęście),
jak i to, co się okazuje mocnymi, coraz
bardziej przez lud wyborczy docenianymi
atutami tej formacji.

Wskazując atuty, które wygenerowały
tak dobrą aurę wokół PiS, że jego 45-pro-
centowy sukces zaskoczył nawet liderów
partii, redaktor **Gociek** coś tu pominął.
To może coś enigmatycznego, oderwane-
go od codziennych realiów, ale pozwól
sobie przywołać. Chodzi o zdecydowane,
twarde NIE! wobec roszczeń żydowskich
lobbystów w USA. Włącznie z wymownymi
figami, pokazanymi przed kamerą przez
Brudzińskiego. Fakt, że nie był to wersal,
ale podejrzewam, że nawet ten i ów z jego
politycznych oponentów mruknął do siebie:
„Ma chłop rację!”. W tej materii, niewątpli-
wie megatrudnej, tak mocno przez **Kaczyń-
skiego** i jego ekipę manifestowana linia
po prostu budzi szacunek. Przypuszczam
zresztą, że dość podobne odczucia budzą
w Polakach spokojne i wyważone, ale jakże
jednoznaczne enuncjacje rządzących, przy-
pominających bezmiar nierozliczonych,
niemieckich grzechów czasu wojny.

Rzecz nie w tym, jakiego efektu
finalnego doczekamy się w obydwu tych
sprawach. Zresztą tu z pewnością nic nie
zdarzy się z dnia na dzień. Ale czyż nie jest

krzepiącą konstatacją, że polityczni liderzy
RP trafnie odczytują to, co w takich spra-
wach myślą i czują Polacy? I że w obronie
ślusnych polskich racji nie zamierzają
nikomu popuszczać? [...]

Pozdrawiam z Jeleniej Góry
Jacek Jakubiec

„Plakatowe mity 1989 r.”, Sebastian Ligarski, „DRz” 23/2019

Jako jedna z osób wymienionych w arty-
kule **Sebastiana Ligarskiego** „Plakatowe
mity 1989 r.” pragnę zauważyć, że to nie
były mity, lecz „naukowe” ustalenia prof. A.
Friszkego, który w jednej spośród licznych
publikacji książkowych „ustalił”, że wszyscy
kandydaci KO „S” mieli fotografię z **Lechem
Wałęsą**, co zapewniło sukces wyborczy.

Ponieważ Profesor jest znaczącą po-
stacią współczesnych elit, walka z fałszy-
wą informacją była trudna. Nie miałem
fotografii z **L. Wałęsą**, gdyż nie chciałem
pozować do zdjęcia z kapralem. Nawijając
w ten sposób do znanego listu **L. Wałęsy**
z listopada 1982 r. do gen. **W. Jaruzelskiego**,
szefa WRON, uniżenie podpisanego „kapral
Lech Wałęsa”.

Jeden z czerwonych braci w szkole, w któ-
rej pracowałem, triumfalnie powiedział:
„Ale masz wodza”. **Adam Cherek**, widząc
w ECS mój plakat-fotomontaż, i po telefo-
nicznej rozmowie ze mną, pomógł nam,
dotychczas bezradnym, zobaczyć nareszcie
prawdę o sobie i o plakatach z 1989 r.

PS Jako nauczyciel historii przekonałem
się wielokrotnie, jak trudno jest walczyć
z fałszem tworzoną w przeszłości przez
elity bierutowo-stalinowskie. Jako
senator I i II kadencji byłem przekonany, że
biorę udział w tworzeniu czystej III Rzeczy-
pospolitej. Wielokrotnie udowodniano mi,
że byłem w błędzie.

Janusz Woźnica

Dorocie Gawryluk

wyrazy najgłębszego współczucia i żalu
z powodu śmierci



Ojca

składają
przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy”

Z wielkim smutkiem
żegnamy naszego kolegę



**Andrzej
Godlewskiego**

publicystę i dziennikarza

Najbliższym składamy
wyrazy głębokiego współczucia
przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy”



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Bez kompleksów

Czołwki telewizyjnych programów informacyjnych i pierwsze strony największych gazet nieczęsto pokazują polską parę prezydencką. Tym bardziej cieszy, że wizyta prezydenta Andrzeja Dudy z małżonką w Waszyngtonie triumfalnie wdarła się do mediów. Oczywiście, nie byłoby tego bez wagi, jaką mają czyny i słowa Donalda Trumpa. Byle kto w Białym Domu nie jest witany specjalnym przelotem samolotów U.S. Air Force.

Zwiększenie liczby żołnierzy amerykańskich nad Wisłą to dla nas spore osiągnięcie. Wagę kolejnych umów, np. w kwestii kooperacji w energetyce atomowej, będziemy mogli w pełni ocenić za jakiś czas. Podobnie jak warunki zakupu samolotów F-35. Jednak już teraz rządząca formacja dostała mocny atut w kampanii wyborczej. Przekonuje wyborców, że ta ekipa dba o bezpieczeństwo kraju i kooperuje z najsilniejszą armią na świecie. Jeśli jeszcze 1 września Donald Trump przyjedzie do Gdańska na 80. rocznicę wybuchu wojny – PiS zyska bezcenny atut w jesiennej kampanii.

Potwierdza się stara prawda, że najlepiej zdobywa się wyborcze

punkty – kreując sukcesy za pomocą własnych rządów. Mściwe tweety byłych szefów MON z Platformy czy byłego ambasadora w Waszyngtonie tylko wzmacniały poczucie ogromnej różnicy między tymi, którzy robią realną politykę, a tymi, którzy ją oglądają z ławy opozycji.

Owiele większe wrażenie robiły listy gratulacyjne premierów Litwy i Łotwy, wyrażających szczerą satysfakcję z kolejnego wzmocnienia wschodniej flanki NATO. W Wilnie i Rydze przypomniano sobie starą prawdę, że bez silnej Polski niepodległość państw bałtyckich jest zagrożona.

Sukces w Waszyngtonie przypomina o trzech ważnych kwestiach. Po pierwsze – Polska jest dużym krajem i jako taki ma szanse na poważne traktowanie przez USA w tej części Europy. Roli Polski z punktu widzenia Pentagonu nie zastąpią ani Czechy, ani Słowacja, ani Węgry. Wielkość i potencjał ludnościowy mają znaczenie. Tym bardziej że Turcja – formalnie sojusznik Waszyngtonu z NATO – odwraca się coraz bardziej plecami do Ameryki. Kraj Erdoğan musi być z wolna zastępowany jakimś innym przewidywalnym krajem

na Wschodzie. Po drugie – nie spełniły się obawy, że bez kapitulacji przed roszczeniami pozasпадkowymi niektórymi organizacjami restytucji mienia pożydowskiego nasze starania o zwiększenie potencjału U.S. Army w Polsce zostaną zablokowane. Okazuje się, że silne lobby spod znaku ustawy 447 nie są wszechwładne. Po trzecie wreszcie – Trump docenia w nas coś, co socjologowie nazywają twardą tożsamością. Polska ją ma nie tylko wskutek wygranych wojen, lecz także porażek. Każdy, kto nie unika walki, nawet jeśli przegra – dostarcza bowiem potencjalnym sojusznikom wiedzy, że do walki jest psychicznie zdolny. A to w dzisiejszej Europie deficytowy towar.

Iwreszcie zauważmy coś, co wiecznie zakompleksionym Polakom musiało połać miód na serce. Mamy prezydencką parę, która wygląda młodo, zna języki i nieźle wypada na zdjęciach. Wielka Brytania robi wiele, by następcy tronu, William i Harry, wraz ze swoimi żonami byli wizytówką młodości i wigoru Zjednoczonego Królestwa. My naszej prezydenckiej pary też nie musimy się wstydić. Style matters! © ©

TAJEMNICZE ATAKI W ZATOCE OMAŃSKIEJ

W czwartek w Zatoce Omańskiej, w pobliżu cieśniny Ormuz, doszło do potężnych pożarów dwóch tankowców: „Front Altair” oraz „Kokuka Courageous”. Według arabskich mediów wywołał je atak torpedowy. Z kolei Departament Stanu USA ogłosił, że za atak odpowiada Iran, i ujawnił nagranie, na którym siły irańskiej Gwardii Rewolucyjnej usuwają niewybuch miny z jednej z burt japońskiego tankowca. Z oceną USA zgadzają się Wielka Brytania i Arabia Saudyjska. Teheran stanowczo odrzuca te oskarżenia. (jap) © ©





PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Macron jak z Orwella

Mija właśnie 70 lat od pierwszego wydania „Roku 1984” George’a Orwella. Oddajmy salwę honorową. Dzisiaj profetyczny geniusz pisarza dumnie poświadczają odbywające się codziennie w mediach seanse nienawiści z politykami w roli głównej i coraz zuchwalsza manipulacja faktami. Co smutne, dzieje się tak nie tylko w ponurych satrapiach, lecz także w krajach aspirujących do roli liderów demokratycznego, wolnego świata, w których „Rok 1984” jest od kilkunastu lat lekturą szkolną.

Pakujta dobytek! Przypiechali do wsi z platformy i chc3 naszego dobra!



c e z e r y k t y j z t o p a

4 czerwca w Portsmouth, podczas hucznych obchodów 75-lecia lądowania aliantów w Normandii, Emmanuel Macron zachował się jak pracownik ministerstwa prawdy z powieści Orwella: sfalszował dokument historyczny tak, by był zgodny z ideologicznymi wymogami sił postępu.

Odczytał wzruszający, piękny list, który do rodziny tuż przed egzekucją napisał 16-letni Henri Fertet, członek ruchu oporu, aresztowany i rozstrzelany przez Niemców w 1943 r. Jednak przedtem prezydent Francuzów usunął z listu wszystkie znajdujące się w nim odniesienia do religii, między innymi prośbę Henriego do ojca, by się za niego modlił, zdanie: „Wkrótce wszyscy we czwórkę spotkamy się w niebie”, a także podpis: „Henri Fertet, w niebie, blisko Boga”. Chodziło zapewne o to, by ukryć, że bohater Resistance wierzył w Pana Boga. Co porażające, tych manipulacji nie dopuścił się tępy funkcjonariusz islamskiej policji religijnej, lecz wymuskany absolwent fabryki francuskich elit École Nationale d’Administration i Pałac Elizejski.

Przy okazji z listu znikło również odwołanie do „wiecznej Francji” – terminu, którego używał gen. de Gaulle, by podkreślić mistyczny związek Francuzów z ojczyzną. Jednak za sprawą francuskich postępówców to określenie nabrało konotacji reakcyjnej, więc używać go nie wolno.

Reakcji na tę żalną cenzurę praktycznie nie było. To ogromny sukces postępowych treserów narodu. Parafrazując „Paragraf 22”, Pana Boga już zniknęli, a teraz znikają de Gaulle’a. En Marche! ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Pogrom rozumu

Przez Polskę przechodzi właśnie fala upałów. Jak za chwilę państwo przeczytają, przez Twittera również. W tym tygodniu dwa wątki główne: „nowoczesność” i mecz Polska–Izrael.

„Potrzebna jest teraz nowoczesna partia liberalna” – napisał Ryszard Petru, dumając nad przyczynami eurowyborczej porażki opozycji. Następnie, aby udowodnić zapotrzebowanie na Ryszarda Petru w polskiej polityce, pojechał w niedzielę do Niemiec, chcąc pokazać, jak nasi zachodni sąsiedzi zyskują na zakazie handlu w Polsce. A że akurat sklepy były zamknięte ze względu na święto, cóż. Gdyby ktoś się zastanawiał, jak ową nowoczesność definiować, z odpowiedzią śpieszy dziennikarz „Gazety Wyborczej” Wojciech Karpieszczyk. „W Sztokholmie biskupką Kościoła Szwecji jest lesbijka. Żyje ze swoją partnerką, pastorką. Razem wychowują synka. Dla niektórych to pewnie parodia. Ale taki jest cywilizowany świat”.

Niestety mało cywilizowana okazała się reprezentacja naszego kraju, pokonując bez litości kadrowiczów z Izraela 4 do 0. „Jedyne, co ciśnie się na usta, to słowo »przepraszam«” – stwierdził empatycznie Tomie Kawakami. Kwestią czasu było połączenie kropek, a w tej sytuacji: piłki z polityką. „Polska Izrael 4 do 0. Chciałem napisać »pogrom«, ale poprawność polityczna powstrzymuje” – stwierdził Paweł Wroński. „To już jest pogrom” – nie powstrzymując się, dodał PZPN.

I tak największe zamieszanie wywołał jednak Samuel Pereira, wrzucając na Twittera zdjęcie w koszulce z numerem 88. „Trzeba zauważyć wprost, że 88 to liczba, która w neonazistowskim slangu oznacza po prostu »Heil Hitler«” – podniósł larum Przemysław Szubartowicz. „Tylko nie nazywajcie przypadkiem Pereiry dziennikarzem. Panie Kurski, czy jest Pan dumny z pracownika?” – alarmowała Katarzyna Markusz z Jewish Telegraphic Agency.

Co w takiej sytuacji dodać? Może po prostu oddać głos Dawidowi Wildsteinowi. „Pereira neonazystą, bo urodził się w 1988? W świecie, w którym PO broni praworządności, Janda i Stuhr to intelektualści, w świecie, w którym GW jest źródłem prawdy – wszystko jest możliwe. I jest to serio zabawne, aż zdajesz sobie sprawę, że ci ludzie w to wierzą. Psychiatryk!” ©©


RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Piłkarze specjalnej troski

Młośnicy montypythowskiego humoru pamiętają na pewno „kultową” scenę z „Hotelu Zacisze”, w której John Cleese stara się nie użyć słowa „wojna” przy Niemcach. Jeśli jednak uchował się ktoś, kto jej nie oglądał, to już nie musi. Perypetie, w jakie obrósł mecz piłkarski Polska-Izrael, są jeszcze śmieszniejsze.

Rozżalonych brakiem „cieszynki” kibiców Piątek uspokoił, że „wiadomo, polityka”

Pierwszym przejawem gęstnienia paranoi była konferencja kpt. Izraela, który, zapytany, czy zna historię miasta, w którym jego drużyna będzie grać, odpowiedział, że zna – i tak to jakoś w medialnym głuchym telefonie zakręcono, że po prawym Internecie rezonowało

długo oburzenie zapowiedzią, iż izraelska drużyna odegra się na Polakach za Holokaust.

Za ten internetowy szajsztorm media „liberalne” wzięły odwet po meczu, donosząc całemu światu, że rzecznik PZPN skomentował wynik słowem: „pogrom”. Ludzi niewładających polskim, znających słowo „pogrom” wyłącznie jako synonim „massacre”, donos z kręgów „Gazety Wyborczej” i „Polityki” zainspirował do kolejnych wynurzeń o „odwiecznym polskim antysemityzmie”, a rodzimych mędrków do pouczania, że co wolno normalnie, to nie wobec Izraela, bo wokół Izraela trzeba chodzić na paluszkach i wstrzymywać oddech. Rzecznik PZPN słusznie zauważył, że mniejsza o „pogrom”, ale wielkie szczęście, że jakiś piłkarz bratniego kraju wylał na tzw. offsidzie, bo z użycia wobec niego słowa „spalony” byłaby jeszcze gorsza chryja. Większym od rzecznika wyczuciem paranoi wykazał

się nasz czołowy piłkarz Krzysztof Piątek, powstrzymując się od swego zwyczajowego „pif-paf” z palców po strzeleniu gola. Za tę przezorność został publicznie pochwalony przez ambasadora Azari. Rozżalonych brakiem „cieszynki” kibiców Piątek uspokoił, że „wiadomo, polityka” i że do innych nacji „pif-paf” będzie robić dalej.

Trzeba też wspomnieć o czujności red. Flieger z „Gazety Wyborczej”, która w kibicowskiej koszulce red. Pereiry dostrzegła „jawne zadeklarowanie faszyzmu” – bo na koszulce była liczba 88, co, jak wiedzą wtajemniczeni, oznacza „Heil Hitler”. Tłumaczenie, że to rok jego urodzenia, tylko faszystę pograżało jeszcze bardziej. Naprawdę cieszy wygrana, ale jeszcze bardziej cieszyłoby mnie, gdybyśmy więcej już z Izraelem nie grali. ©©

CZYTAJ TAKŻE „SNAJPERZY ZNAD WISŁY” NA STRONIE 84


WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Odsłuchy Falenty

Nie ma takiej rzeczy, której nie powiedziałby skazany na bezwzględne pozbawienie wolności, by tę wolność odzyskać albo przynajmniej zaszkodzić ludziom, którzy go do pudła wpakowali, usłyszałem kiedyś od prokuratora, którego niespodziewanie zaczął pomawiać pewien przestępca. W tej kategorii można zmieścić też opowieść Marka Falenty skazanego na 2,5 roku więzienia za zlecenie podsłuchów w restauracjach. Facet w liście opublikowanym w „Rzeczpospolitej” grozi prezydentowi Andrzejowi Dudzie, że jeśli nie otrzyma ułaskawienia, to wsypie

„mocodawców z PiS”, mających rzekomo stać za aferą taśmową.

Nie wierzę Falencie w ani jedno słowo jego kolejnej historii, ponieważ miałem okazję zapoznać się ze wszystkimi tomami akt procesu z jego udziałem, przeczytać protokoły przesłuchań Falenty i innych oskarżonych w tej sprawie, wreszcie jego pisma o ułaskawieniu. Na żadnym z etapów śledztwa, a także procesu Falenta i jego wspólnicy w żaden sposób nie dali do zrozumienia – a przecież walczyli o możliwie najniższy wymiar kary – by którykolwiek z polityków PiS miał coś wspólnego ze sprawą. Więcej, z zeznań „kelnerów” może

wynikać, że to niektórzy politycy PO krótko po tym, jak zostali nagrani, wiedzieli o tym i panicznie uprzedzali swoich kolegów, że jest wtopa.

Listowi Falenty towarzyszą też informacje, że wydawnictwo, które wydało książki Tomasza Piątka o Macierewiczu i Morawieckim, będąc de facto elementem kampanii politycznej opozycji, teraz zamierza opublikować „rewelacje” Falenty. A to oznacza, że rozżalony biznesmen, liczący być może, iż za rządów PiS uda mu się uniknąć kary za nielegalne podsłuchy, po prostu się mści, biorąc udział w kampanii na rzecz swoich niedawnych, jakże bliskich mu ludzi z PO. ©©

Arabski skazany za lot do Smoleńska

Były szef kancelarii premiera został skazany za organizację lotu do Smoleńska na karę pozbawienia wolności w zawieszeniu. Wyrok nie jest prawomocny.

Sąd Okręgowy w Warszawie wydał w ubiegłym tygodniu wyrok w sprawie organizacji lotu polskiej delegacji do Smoleńska 10 kwietnia 2010 r. Lot zakończył się katastrofą rządowego tupolewa i śmiercią 96 osób – zginęli m.in. prezydent Lech Kaczyński z małżonką oraz wicemarszałkowie Sejmu i Senatu, parlamentarzyści, szefowie państwowych instytucji, duchowni, przedstawiciele organizacji kombatanckich i społecznych.

Sąd uznał, że Tomasz Arabski, jako szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, „nie dopełnił ciężących na nim obowiązków z tytułu pełnienia funkcji koordynatora odpowiedzialnego za organizowanie lotów polskich wojskowych statków powietrznych o statusie HEAD”. Niedopełnienie tego obowiązku zdaniem sądu polegało na dopuszczeniu do realizacji zamówienia Kancelarii Prezydenta RP na wykorzystanie transportu samolotem Tu-154M na trasie Warszawa–Smoleńsk–Warszawa. Według sądu Arabski wiedział, że w Smoleńsku nie ma lotniska, na którym można by dopuścić do lądowania statek powietrzny o statusie HEAD (status określa szczególne wymogi, gdy na pokładzie znajdują się najważniejsze osoby w państwie). W ten sposób miał spowodować niebezpieczeństwo dla wojskowego transportu, którym przewożono m.in. prezydenta RP. Za to przewinienie Tomasz Arabski został skazany na 10 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata.



Tomasz Arabski w sądzie w 2016 r. podczas procesu wytoczonego przez rodziny ofiar katastrofy smoleńskiej

FOT. MARIUSZ GRZELAK/REPORTER

Wyrok nie jest prawomocny, a obrońca Tomasza Arabskiego zapowiedział, że będzie doradzał swojemu klientowi złożenie apelacji. Jego zdaniem wyrok jest „niesprawiedliwy”.

Prokurator w mowie końcowej domagał się dla byłego szefa KPRM wyższej kary – 1,5 roku pozbawienia wolności w zawieszeniu na cztery lata. Wnioskował także o kary więzienia dla pozostałych oskarżonych w tym procesie: dwojga urzędników KPRM Moniki B. i Miłosława K. oraz dwojga pracowników ambasady RP w Moskwie Grzegorza C. i Justyny G. Ostatecznie jedynie Monika B. usłyszała wyrok sześciu miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na rok. Pozostałym urzędnikom nie wymierzono kar.

Pełnomocnik bliskich ofiar, które zginęły w katastrofie smoleńskiej, mec. Stefan Hamburga, domagał się bezwzględnego uwięzienia Arabskiego na

trzy lata. O surowe kary wnioskowała też część osób, które straciły bliskich pod Smoleńskiem.

– Naszym zdaniem wyrok, który został orzeczony, jest wyrokiem symbolicznym wobec tego, co się wydarzyło, wobec skali szkód, jaka została wyrządzona Polsce i wszystkim tym, którzy zginęli, 96 osobom na czele z panem prezydentem – skomentowała orzeczenie sądu rzeczniczka PiS Anita Czerwińska.

– Słusznie ktoś napisał, że za kradzież w supermarkecie dostaje się wyższy wyrok. Dziwię się prokuraturze, że nie postawiła kary bezwzględnego więzienia. Miała taki obowiązek – skomentował wyrok w radiowej Trójce były szef MON Antoni Macierewicz.

– Uważam ten wyrok po prostu za niesprawiedliwy, w pewnym sensie absurdalny – stwierdził z kolei Tomasz Arabski w TVN24. ©© **Łukasz Zboralski**

OŚWIADCZENIE CEZAREGO GMYZA

W związku z listami Marka Falenty do polityków pojawiły się pod moim adresem zarzuty, jakobym miał współpracować ze służbami specjalnymi. Oświadczam więc, że:

1. Nigdy nie byłem, nie jestem ani nie będę osobowym źródłem informacji jakichkolwiek służb specjalnych. Moje kontakty z nimi ograniczają się do pozyskiwania informacji od rzeczników prasowych, co odbywało się i odbywa

zawsze w sposób jawny, na ogół przez wymianę korespondencji lub spotkania, zazwyczaj w siedzibach biur prasowych.

2. Wszelkie fałszywe informacje o rzekomej niejawniej współpracy ze służbami specjalnymi spotykać się będą ze stanowczą reakcją na drodze prawnej. Z powodu podobnych pomówień w przeszłości poddałem się autolustracji na drodze sądowej, a obecnie toczy się sprawa o

naruszenie dóbr osobistych przez pomówienie mnie o niejawną współpracę ze służbami III RP.

3. Po ukazaniu się ostatnich pomówień poprosiłem kancelarię adwokacką o sporządzenie pierwszego pozwu w tej sprawie. Analizuje ona kolejne doniesienia pod kątem prawnym. Wszystko wskazuje na to, że również w tych sprawach będą kierowane pozwy. ©©

Cezary Gmyz

GROŹNE PRZEDAWKOWANIE

Z problemów pierwszego świata. Hanna Lis postanowiła napisać własną książkę. Kulinarną. To ciekawy pomysł zwłaszcza po tym, jak jej kulinarno-podróżniczy program w TVN Style okazał się raczej klapą i stacja postanowiła zakończyć jego produkcję. Mimo to Lis nie zniechęca się i zachęca do kupowania swojej książki. W ramach promocji udała się do „Dzień dobry TVN”, gdzie opowiedziała o swoim osobistym dramacie, który przytrafił jej się podczas pracy nad książką. – Nabawiłam się nietolerancji na owoce morza, które kocham i których nie mogę jeść, ponieważ przedawkowałam – wyznała w przypływie szczerości. Odwyk pani Hannie pilnie potrzebny. Od mediów też. A może zwłaszcza.

MUSIAŁ NA TĘCZOWO

Aktor młodszego pokolenia Maciej Musiał dotąd miał wizerunek nieco innego od całej reszty celebrytów. Chętnie opowiadał o swojej wierze w Boga, przywiązaniu do Kościoła i konserwatywnych wartości. Przyjaźnił się z córką prezydenta Dudy. Ostatnio poprowadził nawet koncert z okazji 40. rocznicy pierwszej pielgrzymki papieża Jana Pawła II do Polski, wcześniej przygotował

rozważania do tegorocznej Centralnej Drogi Krzyżowej w Warszawie. Dlatego jego ostatni wpis z poparciem dla Marszu Równości wywołał pewną konsternację wśród fanów. Zwłaszcza że na marszu rozegrały się wydarzenia uderzające wprost w uczucia religijne katolików, takie jak parodiowanie mszy św. Pod

adresem Musiała posypały się pytania, jak to w końcu jest z jego poglądami i wartościami. – Jest mi smutno. Szalenie przykro. Bo mój ostatni post miał w komunikacie łączyć, a jednak znowu podzielił. Głęboko wierzę, że z perspektywy katolika jest możliwy szacunek, nawet jeśli coś nie zgadza się z nauką Kościoła. Ten szacunek chciałem wyrazić i czuję, że trzeba go wyrażać – skomentował Musiał. Cóż, jeśli wejdiesz między



FOT. BARTOŚ KRUPA/EST NEWS



FOT. AGNIESZKA BOKAN

wrony, musisz krakać jak i one. W show-biznesie nawet bardziej niż gdzie indziej.

WYJĄTEK POTWIERDZA REGUŁĘ

Angelika Mucha, czyli LittleMonster96, blogerka i influencerka, jak sama siebie określa, opowiada o tym, jak wygląda przepis na sukces w internetach. – Na ten moment Instagram i YouTube to platformy, na których młodzież spędza dużo czasu. Instagram zwłaszcza ostatnio urosł, bo to jest łatwiejsze medium, bo jednak YouTube to trzeba już mieć do czynienia troszkę z montażem, trzeba tam coś zrobić, a Instagram jest bardzo przyjazny dla każdego, bierzesz telefon, nagrywasz coś i tak dalej – relacjonuje. Dodaje jednak, że aby osiągnąć prawdziwy sukces, potrzebna jest pasja, a potem to już samo urośnie. – To też nie może być coś takiego, że ktoś stwierdza, że chce być sławny i teraz robi byle co. Myślę, że wyjdzie

osobom, które robią coś z pasją, dlatego że mają coś ludziom do przekazania, coś fajnego, mają pomysł na siebie i tacy ludzie prędzej czy później zostaną odnalezieni, ktoś kogoś poleci, tu coś wspomni i tak to urośnie – zapewnia. Czyli Angelika jest wyjątkiem potwierdzającym regułę. Gdy się jej posłucha, można dojść do wniosku, że nie ma nic do przekazania. A jakimś cudem jej urosło.



FOT. VIPHOTO

JAK ZUPA POMIDOROWA

Celebrytka Julia Wieniawa opowiedziała w „Viviel!” o tym, że z czasem coraz mniej przejmują się jej hejtem pod swoim adresem, choć zdarzało jej się płakać przez krytyczne komentarze w Internecie. – Czytam komentarze na swój temat i czasem bardzo mnie one boją. Ale nie wchodzę w polemikę i niczego nie dementuję, bo nie ma to sensu. Nie wszyscy muszą mnie lubić, nie jestem zupą pomidorową – stwierdziła. Szkoda, na pewno byłaby bardziej strawna. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, dobra, koniec tych heheszków, bo to jednak nie jest powód do żartów. Nie może być tak, że reprezentacja Izraela przyjeżdża do tego kraju, doznaje wysokiej porażki, a po wszystkim komentatorzy i dziennikarze udają, że to tylko sport i że się nic nie stało. No, gdyby to był tylko sport, to Krzysztof Piątek nie zrezygnowałby ze swojej cieszynki z pistoletami, a tak słusznie założył, że może ona obrazić naszych gości. Szkoda, że nie wpadł na to, że strzelenie gola może obrazić ich równie mocno.

Musimy podkreślić: tu nie chodzi o sport, a o przyzwoitość. Przypominamy więc: warto być przyzwoitym. Kiedy więc polska reprezentacja pojedzie do Izraela na mecz rewanżowy, to powinno się skończyć 5:0 dla gospodarzy oraz uroczystymi przeprosinami za to, co się wydarzyło 10 czerwca 2019 r. w Warszawie i za co długo jeszcze będziemy się wstydić.

Angela Merkel ostatecznie zaorała urojenia polskiej prawnicy i powiedziała, iż operacja „D-Day” pomogła wyzwolić Niemcy od nazistów. Dla neomatury: operacja „D-Day” to był taki spory event podczas II wojny światowej, kiedy żołnierze alianccy wylądowali na wybrzeżu Francji, iżby wspólnie z Armią Czerwoną przepędzić z powrotem nazistów na Księżyc.

Jest to potwierdzenie historycznej prawdy, iż nazizm został Niemcom narzucony siłą, nie cieszył się żadną popularnością (chyba że w sąsiednim tym kraju), naziści przylecieli na ziemię z kosmosu i wylądowali w Monachium, a po wojnie uciekli z powrotem w kosmos z międzylądowaniem w Argentynie.

Mamy nadzieję, iż ten obiektywny głos w końcu pozwoli na ustabilizowanie debaty publicznej wokół tematu II wojny i przyjęcia ogólnego konsensusu, iż pierwszymi ofiarami nazizmu byli Niemcy.

Pytacie w licznych e-mailach, co słychać u Nowego z Tarnowa. Nie rozumiemy, skąd w was tyle sympatii wobec tej dość odstręczającej postaci, ale skoro chcecie wiedzieć... Nowy szykuje się do kandydowania do Sejmu w jesiennych wyborach. Widzimy, że zamiast nadzorować naszą sprzedaż od pewnego czasu próbuje sobie zaprojektować wyborczą ulotkę w Poincie. Wyraźnie waha się między hasłami „Głosujta na Andrzeja” a „Andrzej z Tarnowa, nadzieja narodowa”.

Kariera Nowego może nabrać rozpędu, iż PiS wysłał do Europy tak na oko 80 proc. swoich rozpoznawalnych twarzy i w kraju zostają mu na przykład tacy młodzi entuzjaści jak Nowy. Z jednej strony fajnie byłoby się go pozbyć z naszego korpo, ale z drugiej wiemy, do jakiego zamordyzmu jest zdolny (ostatnio znów kontrolował, czy mamy na biurkach oprawione święte obrazki z Kaczafim). © ©

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI

w Ciechocinku „Pod Tężniami”

Leczymy m.in.:

- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu

- dwa badania lekarskie
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seansy w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie:

23.06 - 29.09.2019 r.



Klinika Uzdrowskowa
„Pod Tężniami” im. Jana Pawła II
ul. Warzelnińska 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

tel. 54 416 70 00

No i stało się. Dobry Amerykański Donald przyjął u siebie prezydenta Andrzeja Sebastiana i dobił z nim targu. Ogłaszamy niniejszym spełnienie się marzeń kilku pokoleń Polaków. Najlepiej to marzenie oddawał dowcip opowiadany jeszcze w czasach stanu wojennego. Jak sprawić, by w Polsce było lepiej? Wypowiedzieć wojnę USA i natychmiast się bezwarunkowo poddać.

Bylły ambasador w USA, Ryszard Schnepf, zawsze miał specjalne miejsce w naszym sercu. Teraz ma jeszcze bardziej specjalne po tym, jak po podpisaniu umowy prezydenta Andrzeja Sebastiana z dobrym Amerykańskim Donaldem zaczął się martwić, co na to Niemcy. Mamy dla Schnepfa kilka innych wielkich zmartwień do komentowania. Na przykład: Polacy wywołali powstanie w Warszawie. A co na to Niemcy? (szloch). Polacy nie chcieli oddać Hitlerowi korytarza. A co na to Niemcy? (wielki szloch).

W związku z powyższym uważamy, że Ryszard Schnepf powinien jak najszybciej wrócić do dyplomacji. Mógłby znów być ambasadorem. Tym razem na przykład Niemiec w Warszawie. Tylko co na to Niemcy?

W cieniu Wielkiej Wyprawy Amerykańskiej toczy się historia europarlamentu. Na razie największe nasze uznanie wzbudził wirtualny europoseł Dominik Tarczyński. Ten, który czeka, aż się zwolni dla niego miejsce, gdy Brytole wyjdą z Unii. Otóż łebski Dominik zdążył już napisać list do PE z pytaniem, czy jako wirtualny europoseł mógłby dostawać zupełnie niewirtualną europensję. Niestety jest już odpowiedź – nie mógłby.

Eurowybory wywołały wędrówkę ludów. Nie tylko do polskiego Sejmu, na miejsca opróżnione przez nowych europosłów. Także wędrówkę do Brukseli. Na czele wędrówki stoi były wicemarszałek Senatu Adam Bielan, który już wynajął tam dom i przeprowadza się wraz z całą rodziną. Będzie nam brakować Adama w izbie namysłu i refleksji. Zwłaszcza jego namysłu i refleksji.

Będzie nam brakować Adama w izbie namysłu i refleksji. Zwłaszcza jego namysłu i refleksji

Zabawna historia z Radkiem Fogielem. Decyzja o tym, że będzie nowym rzecznikiem klubu PiS, zapadła w tym samym czasie, w którym zdecydowano, że wicemarszałkiem Sejmu będzie Małgorzata Gosiewska. Potem jednak zmieniono decyzję i na rzecznika Kaczor Dyktator wyznaczył Anitę Czerwińską. Ma liczne zalety. Na przykład jest kobietą, no i bardzo, bardzo chciała.

Radek Fogiel został więc wice-Anitą. Ale nie to jeszcze jest zabawne, lecz to, że zaraz po nominacji i tak z dziennikarzami w rozmaitych sprawach gadał więcej, czyli Radek. Z tego, co wiemy, to ma być normą, gdyż Anita specjalnie nie przepada

za dziennikarzami. Szczególnie mniej przychylnie nastawionymi do dobrej zmiany.

Tymczasem w Eine Totalopposition. PeŁo zleciła wielkie badania, z których chce poznać odpowiedź na pytanie: „Co robić?”. Tymczasem trwają walki frakcyjne pt. „To nie ja!”. Chodzi o to, kto odpowiada za klęskę w wyborach europejskich. „To wszystko przez Marcina Kierwińskiego” – usłyszeliśmy na przykład od jednego z ważnych platformersów. Nie no, panowie, Kierwiński nawet gdyby psuł 48 h na dobę, to by tego aż tak bardzo nie zepsuł.

Członkom PeŁo przypominamy, że winnych wskazał już w swoim wystąpieniu Grzegorz Ludojad Schety-na. Skoro ogłosił, że są potrzebne: nowy program, nowy sztab i nowe metody, to znaczy – jak rozumiemy – że stary program, stary sztab i stare metody były do rzyci. To byśmy jeszcze zrozumieli. Ale jak to, co nowe, mają wymyślić Brejza, Szłapka i sopocki Karnowski – tego już nie kumamy kompletnie.

Człowiek zwany Gazorem odbył prawdziwe tournée po zaprzyjaźnionych z PeŁo mediach. Przekonywał, że prawdziwym demiurkiem afery taśmowej jest jeden z panów G. Określony przez niego jako „zegarmistrz światła”. Zatem wyjaśniamy, jak było naprawdę. W chwili wybuchu afery taśmowej Marek Falenta był właściwie człowiekiem Wojtunika. A to niespodzianka!

Abyło tak: Falenta był źródłem informacji CBA zarejestrowanym jako Osoba Informująca „Prefekt”. Wojtunik doskonale o tym wie, bo teczkę pracy „Prefekta” sprowadzono mu na bombach. Robił co prawda wszystko, by nie wpisać się do tzw. kontrolki zapoznania, ale miał pecha. W pobliżu był pewien poeta. A poeta pamięta.

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Inie tylko to pamięta. Pamięta też szorstką przyjaźń, która łączyła Gazona z Bartkiem Sienkiewiczem, czyli Bartem Simpsonem MSWiA. Oraz to, że Bartek był przekonany, iż za taśmami stoi Gazon, który chciał uwalić Bartka.

Wart Pac pałaca, a pałac Paca. Otóż po mieście łązi pewien były policjant z CBŚ, który chciałby się podzielić wiedzą o tym, jak doszło do spalenia budki pod ruską ambasadą. Pragniemy go poinformować, żeby nie pętał się bez sensu, bo panowie G. chętnie go wysłuchają.

Zieloni bracia z Peezela zaklinają się, że oni z tą Koalicją Polską (KoPol) na poważnie. I że idą do wyborów osobno. Koledzy z PeŁo zaklinają się, że to ściema i chodzi tylko o wytargowanie od Grześka dobrych warunków powrotu do KoŁe (Koalicji Łeuropejskiej). Cóż za emocje! Ostatni raz Peezel budził tyle emocji, kiedy przewrót majowy obalał rząd Witosa!

Są newsy, których komentować nie trzeba. Oto treść e-maila rozsyłanego przez „GazWyb” do internautów w połowie zaprzęskiego tygodnia: „Drogie Czytelniczki, drodzy Czytelnicy, już jutro Parada Równości w Warszawie. Z tej okazji od 5 do 9 czerwca wysyłamy codzienny newsletter News LGBT+. Jeśli do niedzieli zapiszecie się na ten newsletter, otrzymacie specjalny kod na 2 miesiące darmowego dostępu do prenumeraty”. Otake Polske walczyliśmy, otake!

Tymczasem po prawej stronie. Klamki na Nowogrodzkiej uginają się od kukistów chętnych do wstąpienia na drogę prawa oraz sprawiedliwości. Niestety, Kaczor Dyktator wydał zalecenie, żeby pojedynczo nikogo nie przyjmować. Szersze koalicje – to co innego.

Zkolei wujek Korwin-Krul zyskał nową ksywę: „Pan 50 Procent”. To skutek negocjacji wewnątrz Konfederacji w sprawie ponownego wspólnego startu, ale jesienią do Sejmu. Korwin-Krul chce bowiem, by w umowie o współpracy stało jak byk, że jego partia bierze połowę subwencji par-



Klamki na Nowogrodzkiej uginają się od kukistów chętnych do wstąpienia na drogę prawa i sprawiedliwości

tyjnej za przekroczenie progu 3 proc., a cała reszta ma się podzielić drugą połową.

Mamy dwie wiadomości. Zła i dobrą. Zła: Marek Migalski wydał nową książkę. Dobra: wydawnictwo nam ją przysłało. A nie, zaraz, to jednak dwie złe wiadomości.

Apropos Migalskiego Marka. Niektórzy zastanawiają się, jak mógł chodzić razem do liceum z ministrem konstytucyjnym Michałem Wosiem, skoro Woś jest rocznik 1991, a Migalski to rocznik 1969. Uspokajamy wszystkich – nie chodzi o to, że Migalski zimował tak długo w kolejnych klasach, iż doczekał Wosia. Nie, po prostu chodzi o to, że chodzili do tego samego liceum, ale w różnym czasie.

Zżycia braci mniejszych. Na imprezie z okazji dziesięciolecia portalu wPotylice.pl było hucznie i głośno, były także VIP-y. Na przykład pierwszy hippis III RP marszałek Terlecki

Ryszard, ksywa Pies (z czasów hippisowskich). Kiedy zaczęła przygrywać grupa Kombii, opuścił jednak salę, gdyż – jak opowiadał zainteresowanym – to zupełnie nie jego muzyka. Wiemy, wiemy, na 10-lecie trzeba będzie zaprosić Grateful Dead albo przynajmniej Jefferson Airplane.

Kombii bardzo podobało się za to premierowi Mateuszowi. Wymienił nawet kilka zdań z liderem grupy. „Jak opowiem koleżankom ze szkoły podstawowej, że z panem rozmawiałem, to mi będą zazdrościć!” – powiedział mu premier Mateusz. Lider spłonił się skromnie.

Apropos rzeczy godnych zazdrości. Richard Henry Czarnecki na bibce z okazji uzyskania europejskiej reelekcji dostał górę prezentów. Wyróżniał się wśród nich mały zabawkowy wóz strażacki. Nie do końca zrozumiała jest symbolika tego prezentu. Może chodzi o to, że Richard jak straż pożarna – i kiedyś Józef Oleksy – po prostu wszędzie jest potrzebny. ©©

WIĘCEJ AMERYKAŃSKICH WOJSK W POLSCE

Stany Zjednoczone zwiększą w najbliższej przyszłości obecność wojskową w Polsce z ok. 4,5 tys. do 5,5–6,5 tys. żołnierzy (najprawdopodobniej dodatkowe oddziały zostaną przeniesione z Niemiec). Taka deklaracja padła po wizycie prezydenta Andrzeja Dudy u przywódcy Ameryki Donalda Trumpa. Zgodnie z podpisaną w Białym Domu deklaracją polsko-amerykańskiej współpracy obronnej obecność amerykańskich żołnierzy w Polsce ma być rotacyjna i ciągła, natomiast obecność nowych baz ma być stała i trwała.

Zgodnie z porozumieniem Polska utworzy Amerykanom Wysunięte Dowództwo Dywizyjne USA. Na terenie naszego kraju ma także stacjonować eskadra bezzałogowych statków powietrznych MQ-9, czyli nowoczesnych dronów przeznaczonych głównie do działań wywiadowczych i rozpoznawczych. W Polsce

powstanie także załadunkowo-rozładunkowa baza lotnicza.

Nowe polsko-amerykańskie porozumienie pochwalił sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg. Decyzję Warszawy i Waszyngtonu chwalił również litewski minister obrony Raimundas Karoblis. Zapowiedź zwiększenia liczebności wojsk USA w Polsce nie spodobała się za to Rosji. – W przypadku jakiegokolwiek konfliktu, niech nas Bóg broni, terytorium Polski stałoby się oczywistym celem akcji odwetowej, jeśli nasz kraj zostałby zaatakowany – powiedział agencji Interfax Władimir Dżabarow z komisji spraw zagranicznych Dumy. *(jap)* © ©

**CZYTAJ TAKŻE „BŁYSKAWICE” NA NIEBIE
NA STRONIE 36**





32

SAMOLOTY F-35 KUPI POLSKA (JEDNA TEGO
TYPU MASZYNA WIDOCZNA JEST NA ZDJĘCIU)

1-2 tys.

TYLU ŻOŁNIERZY DODATKOWO MAJĄ
WYSŁAĆ DO POLSKI AMERYKANIE

FOT. SHAWN THIEW - POOL VIA CNP/MEGA / FORUM





Tożsamość dobrze strzeżona

Jednym z najważniejszych elementów dbałości o bezpieczeństwo naszych pieniędzy jest ochrona własnych danych. Niewłaściwie zabezpieczone mogą otworzyć przestępcom drogę do dotkliwej dla nas w skutkach kradzieży

W 2018 r. udaremniono próby wyłudzenia ok. 5,5 tys. kredytów na łączną kwotę ponad 361 mln zł, dokonane przy wykorzystaniu skradzionej tożsamości. Z danych opublikowanych przez Związek Banków Polskich (ZBP) w 36. edycji raportu infoDOK wynika, że w ciągu całego roku 2018 odnotowywano 14 takich prób wyłudzeń dziennie.

Najnowsze dane pokazują, że łącznie od 2008 r. do końca marca 2019 r. udaremnilo już 81,1 tys. prób wyłudzeń kredytów na łączną kwotę aż 4,5 mld zł. Jak natomiast podaje Biuro Informacji Kredytowej, tylko w ubiegłym roku policja odnotowała ponad 103 tys. przypadków wyłudzeń dokonanych przez przestępców posługujących się skradzioną tożsamością.

Na czym polega kradzież tożsamości? Jest to sytuacja, w której ktoś podszywa się pod inną osobę, uprzednio bezprawnie wchodząc w posiadanie jej danych osobowych i wykorzystując je wbrew woli właściciela. Dane mogą zostać uzyskane ze skradzionych dokumentów tożsamości lub z innych źródeł – np. poprzez włamanie do komputera, na konto internetowej poczty lub wyłudzenie od



- podrobienia dowodu osobistego, służącego następnie do zaciągania zobowiązań takich, jak kredyty, pożyczki, abonamenty telekomunikacyjne czy opłaty wynikające z wynajmu nieruchomości;
- założenia i prowadzenia fałszywej działalności gospodarczej i wyłudzenia zwrotu podatku;
- kradzieży wypożyczonych na podstawie fałszywego dowodu sprzętów i przedmiotów.

PODSTAWOWE ZASADY BEZPIECZEŃSTWA

Najczęstszą konsekwencją kradzieży tożsamości jest konieczność spłaty zaciągniętego przez przestępcę (złodzieja lub oszusta) kredytu. Niektórzy przestępcy zmieniają w zawartych w imieniu ofiary umowach adres korespondencyjny, więc o zadłużeniu dowiaduje się ona dopiero w momencie otrzymania wezwania do zapłaty lub wiadomości od komornika czy też firmy windykacyjnej. Jak zatem chronić swoje personalia i wrażliwe dane?

Najbardziej skutecznym sposobem zminimalizowania ryzyka kradzieży tożsamości jest świadoma ochrona dokumentów i danych osobowych – przechowywanych zarówno na nośnikach trwałych, jak i w wersji elektronicznej. W zakresie bezpiecznych zachowań w Internecie, które szerzej przedstawiliśmy w poprzednim odcinku naszego cyklu, konieczne jest stosowanie podstawowych zasad, takich jak na przykład:

- nieudostępnianie nikomu danych do logowania do urzędów, kont bankowych, pocztowych itp.;
- ustanawianie silnych haseł dostępowych do bankowości elektronicznej i regularne ich zmienianie;
- nieotwieranie nieznanego pochodzenia e-maili, załączników i linków do stron internetowych;
- logowanie się tylko do bezpiecznych, certyfikowanych stron, na których podajemy swoje dane;
- nieużywanie funkcji „kopiuj-wklej” przy wpisywaniu numeru konta podczas dokonywania przelewu oraz weryfikowanie danych zawartych w przesyłanych przez bank powiadomieniach i kodach autoryzacyjnych;
- wylogowywanie się z urzędów, a także paneli dostępu do bankowości

samego właściciela. Najczęściej kradzione są takie dane jak imię i nazwisko, adres, numer dowodu i numer PESEL. Zdarzają się też kradzieże tożsamości polegające na przejęciu cudzych kont i profili w mediach społecznościowych. I o ile już samo buszowanie przez złoczyńcę po skrzynce e-mailowej, komunikatorze czy profilu w mediach społecznościowych może spowodować wiele przykrych kon-

sekwencji, o tyle zdobycie przez niego naszych danych osobowych niesie ryzyko dotkliwych strat finansowych.

CENNY ŁUP PRZESTĘPCÓW

Kradzież tożsamości dokonywana jest zazwyczaj w celu osiągnięcia korzyści majątkowej. Przestępcy mogą wykorzystać zdobyte w ten sposób dane na przykład do:

- i aplikacji mobilnych od razu po zakończeniu korzystania z nich;
- nieudostępnianie swoich urządzeń elektronicznych niepowołanym osobom;
- korzystanie tylko z zabezpieczonych połączeń Wi-Fi, unikanie komputerów i sieci dostępnych publicznie;
- wybieranie sprawdzonych i zaufanych sklepów internetowych;
- używanie regularnie aktualizowanego oprogramowania pochodzącego z licencjonowanych źródeł;
- korzystanie z programów antywirusowych.

Nawyki te pomogą zminimalizować ryzyko utraty danych, które mogą przestępcom ułatwić posługiwanie się naszą tożsamością i wyrządzenie nam poważnych szkód finansowych.

Niezmiennie aktualne pozostają także reguły odpowiedniego obchodzenia się z danymi i dokumentami w świecie rzeczywistym. Przede wszystkim powinniśmy bezpiecznie przechowywać dowody tożsamości i dokumenty, takie jak np. prawo jazdy, i z rozwagą z nich korzystać. Musimy uważać, by dokumenty i karty płatnicze nie dostały się w niepowołane ręce. Nie wolno nosić ich w widocznym miejscu lub dopuścić, by ktoś nieupoważniony mógł odczytać zawarte w nich informacje. Dla złodziei obserwujących swoje ofiary w różnych sytuacjach i wyspecjalizowanych we wzrokowej kradzieży danych wszelkie podpatrzone (lub sfotografowane) informacje są cenną zdobyczą, nawet bez fizycznego wejścia w posiadanie samego dokumentu.

Należy mieć na uwadze, że nasze dane osobowe znajdują się również na dokumentach takich, jak faktury, potwierdzenia zamówień, umowy, mandaty czy wyniki badań. Tego typu dokumenty również powinny być przechowywane w bezpiecznym miejscu i z dala od niepowołanych osób, a w sytuacji, gdy nie są nam już potrzebne, najlepiej jest je zniszczyć przed wyrzuceniem do kosza, tak aby nie można było odtworzyć czy wykorzystać zawartych w nich informacji.

WYPOŻYCZENIE „NA DOWÓD”?

Pod żadnym pozorem nie powinniśmy zostawiać dokumentów z naszymi danymi i ze zdjęciem w punktach usługowych, takich jak hotel czy wypo-

życzalnia sprzętu sportowego, które nierzadko traktują je jako chwilowy zastaw. Zgodnie z art. 79 pkt 2 Ustawy o dowodach osobistych czyn taki zagrożony jest karą ograniczenia wolności albo karą grzywny, co warto uzmysłowić przedstawicielowi wypożyczalni żądającemu pozostawienia dokumentu tożsamości w zamian za udostępnienie roweru i poprosić o zaproponowanie innego rozwiązania, np. w postaci kaucji.

Samego okazania dowodu mogą od nas oczekiwać, w ramach świadczenia usług lub wykonywania czynności kontrolnych, różne podmioty i instytucje (np. inspektorzy kontroli skarbowej, pracownicy ZUS, funkcjonariusze SOP, policji, Straży Granicznej, ABW, strażnicy miejscy, pracownicy ochrony osób i mienia, kliniki medyczne, sprzedawcy alkoholu, pracownicy hoteli, w których nocujemy), natomiast zatrzymać dokument mogą w sytuacjach uzasadnionych wyłącznie funkcjonariusze służb takich jak policja czy Straż Graniczna.

LEGALNE KSERO W BANKU

Co zrobić, jeśli przedstawiciel banku, oprócz wylegitymowania się, co jest zrozumiałe, oczekuje od nas dodatkowo kserokopii dowodu tożsamości?

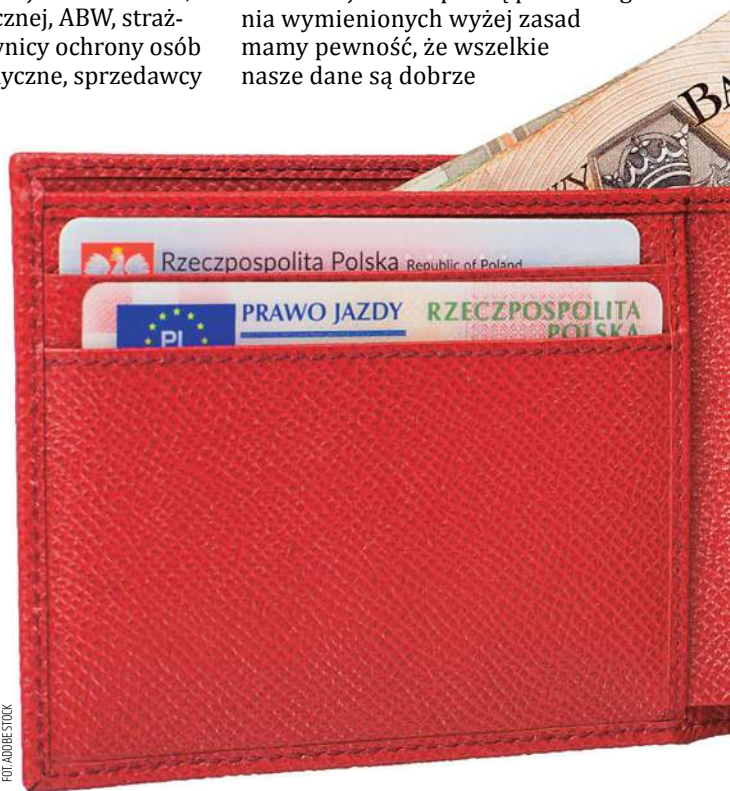
Kserowanie dowodów osobistych przez banki jest dozwolone zarówno na mocy ustawy Prawo bankowe, jak i Ustawy o przeciwdziałaniu praniu pieniędzy i finansowaniu terroryzmu (tzw. ustawa AML). Może natomiast mieć miejsce tylko wtedy, gdy jest to niezbędne do wykonywania czynności bankowych (np. udzielenia kredytu, założenia rachunku, dokonania oceny zdolności kredytowej).

Samo kserowanie, choć nie jest zakazane, jest czynnością, której należy

unikać poza placówkami banków, SKOK-ów i innych podmiotów wymienionych w ustawie AML. Jeżeli już musimy udostępnić kopię dowodu osobistego (np. na potrzeby towarzystwa ubezpieczeniowego, pośrednika finansowego, pośrednika w handlu nieruchomościami, biura rachunkowego), to należy na niej zakryć wszelkie dane poza tymi, które są niezbędne dla realizacji umowy – np. daty wydania i ważności dokumentu. Warto także na kopii odręcznie zapisać, jakiemu podmiotowi i do jakiego celu jest ona przekazywana.

POLOWANIE NA NAIWNYCH

Nawet jeśli za sprawą przestrzegania wymienionych wyżej zasad mamy pewność, że wszelkie nasze dane są dobrze



FOT. ADRIAN STOK

zabezpieczone, zarówno w wymiarze fizycznym, jak i w postaci elektronicznej, nie dajmy się podejść przestępcom, którzy próbują potrzebne im informacje uzyskać bezpośrednio od nas samych. Podobnie jak złodzieje internetowi używają przy tym rozmaitych metod bazujących na oszustwie, takich jak na przykład bardzo atrakcyjna oferta pracy, informacja o ogromnej wygranej, prośba o wypełnienie ankiety lub udział w badaniu czy prezentacji towarów. Zdarzają się także telefony od

fikcyjnych przedstawicieli banków lub innych instytucji oferujących pomoc w odzyskaniu dostępu do rzekomo zablokowanego konta lub uruchomieniu usługi. Sztuczki te mają uśpić naszą czujność i służyć wyłudzeniu danych,

osobistego, paszportu, karty pobytu, prawa jazdy) należy w pierwszej kolejności zgłosić w banku, najlepiej w tym, w którym mamy rachunek. Można to zrobić osobiście, przez telefon, a w przypadku wybranych banków – przez konto bankowości internetowej. Osoby, które nie mają konta, także mogą zgłosić się do któregośkolwiek banku, który przyjmie zastrzeżenie dokumentów od wszystkich osób, nie tylko swoich klientów (lista takich banków znajduje się na stronie dokumentyzastrzezone.pl). Za zastrzeżenie dokumentu bank może pobrać opłatę.

Wystarczy zgłosić dokument w jednym banku, który następnie wprowadza tę informację do Centralnej Bazy Danych, przez co otrzymują ją wszystkie inne banki, operatorzy telefonii komórkowych oraz tysiące innych firm i instytucji korzystających z Systemu Dokumenty Zastrzeżone, prowadzonego przez Związek Banków Polskich. Jeżeli oszust spróbuje posłużyć się zastrzeżonym dokumentem, to taka operacja zostanie zablokowana, a do wyjaśnienia sprawy zostanie wezwana policja.

Dane analizowane co kwartał od 2008 r. przez Związek Banków Polskich pokazują, że Polacy coraz aktywniej zastrzegają swoje dokumenty, co może świadczyć o rosnącej świadomości zagrożenia i działań związanych

z ich utratą. Na koniec marca 2019 r. w Centralnej Bazie Danych Systemu Dokumenty Zastrzeżone znajdowało się 1 738 956 dokumentów służących do potwierdzania tożsamości. W I kwartale 2019 r. zawartość bazy powiększyła się o 34 117 sztuk, co oznacza, że średnio każdego dnia do bazy zgłaszano 379 dokumentów.

Utracony dowód osobisty można unieważnić także przez Internet, za pośrednictwem platformy ePUAP. Aby to zrobić, trzeba posiadać Profil Zaufany

służący do potwierdzenia tożsamości w Internecie. Formularz umożliwiający wysłanie zgłoszenia znajduje się na stronie serwisu obywatel.gov.pl.

Zastrzeżenie on-line dokumentów takich jak dowód osobisty, paszport czy karta stałego pobytu możliwe jest również za pośrednictwem Biura Informacji Kredytowej (www.bik.pl). Wymagane są jednak wcześniejsze założenie konta na stronie BIK (w trakcie tego procesu pobierana jest opłata weryfikacyjna w wysokości 1 zł) i aktywacja usługi zastrzeżenia dokumentów. Do założenia konta niezbędne są numer dokumentu i PESEL, a także przesłany do BIK skan np. dowodu osobistego. W ten sposób można zastrzec tylko ten dokument, który był użyty do potwierdzenia tożsamości w portalu BIK. Usługa zastrzegania dokumentów w BIK jest bezpłatna.

Jeżeli dowód tożsamości został utracony w wyniku kradzieży, to po zastrzeżeniu dokumentu o fakcie tym trzeba również zawiadomić policję – najlepiej w najbliższym komisariacie. Następnie należy zgłosić się do urzędu gminy lub placówki konsularnej (jeśli przebywamy za granicą) w celu zawiadomienia o utracie i uzyskania zaświadczenia, które ważne będzie przez maksymalnie dwa miesiące lub do czasu wydania nowego dokumentu, jeśli nastąpi ono wcześniej.

Dowód osobisty powinniśmy wyłączyć z obiegu zawsze, kiedy stwierdzimy jego brak, niezależnie, czy został zagubiony, czy skradziony. Jeżeli przypuszczamy, że dowód mógł się zwyczajnie zapodziać i wkrótce się odnajdzie, możemy czasowo zawiesić swój dowód i wycofać zawieszenie po jego odnalezieniu. W razie braku wycofania zawieszenia w ciągu 14 dni kalendarzowych taki dowód zostanie unieważniony. Z tej usługi mogą skorzystać (przez ePUAP lub w urzędzie gminy) wyłącznie posiadacze dowodów z warstwą elektroniczną (e-dowodów) wydanych po 4 marca 2019 r.

Zastrzeżenie dowodu wskazane jest zawsze w sytuacji, kiedy podejrzewamy, że ktoś nieuprawniony pozyskał nasze dane i może je wykorzystać w celach przestępczych. W takim przypadku konieczność zgłoszenia się do urzędu i wyrobienie nowego dokumentu będą znacznie mniejszym problemem niż potencjalne straty, z którymi będziemy zmuszeni borykać się po ewentualnej kradzieży tożsamości.

które mogą zostać wykorzystane do przestępczych celów.

BEZPIECZNE DOKUMENTY ZASTRZEŻONE

Co jednak zrobić, kiedy utracimy dowód osobisty? Skradziony dokument tożsamości trzeba od razu zastrzec, aby wyłączyć go z obiegu i uniemożliwić złodziejowi posłużenie się nim do pobrania pieniędzy z konta, wyłudzenia kredytu lub kupienia na raty drogiego sprzętu. Utratę dokumentu (dowodu





Rafał A. Ziemkiewicz

Ideologia LGBT jest równie obłądana, równie chora i potencjalnie równie zbrodnicza jak bolszewizm i nazizm

Wściekły atak organizacji LGBT i grzejących się przy nich celebrytów na polską mistrzynię olimpijską, Zofię Klepacką, powinien być dla wszystkich normalnych Polaków sygnałem alarmowym. Wróg u bram – a nawet gorzej, wróg już wdarł się do naszego domu, podstępem, wykorzystując naszą dobroduszość i poczciwość, i buszuje po nim z coraz wyraźniej widocznym zamiarem zamienienia go nam w kacet.

Naprawdę, nie przesadzam. Proszę zauważyć, za co Zofia Klepacka stała się obiektem nienawiści, dlaczego wpływowe grupy nacisku chcą zadać jej śmierć cywilną i odebrać wywalczone dla Polski medale. Za to, że ośmieliła się, wbrew terrorowi politycznej poprawności, bronić zdrowego rozsądku. Bo ochrona dzieci przed seksedukatorami z organizacji LGBT to nie polityka ani tym bardziej »nietolerancja« czy »nienawiść« – to właśnie zdrowy rozsądek”.

Proszę wybaczyć, że po raz pierwszy w życiu zacytowałem samego siebie. Okolicznością łagodzącą niech będzie fakt, że cytowany tekst – mój ostatni felieton na portalu Interia, gdzie miałem stałą rubrykę od kilkunastu lat – był na nim dostępny przez ok. godzinę. Nie był to mój pierwszy tekst przeciwko „tęczowej rewolucji”, poprzednie były ostrzejsze niż cytat z Józefa Mackiewicza „do komunistów trzeba strzelać”, którego zastosowanie do LGBT (z wyraźnym wyjaśnieniem jego sensu i zastrzeżeniem, że nie chodzi przecież o strzelanie w sensie dosłownym) stało się oficjalnym powodem zerwania współpracy. I pomimo donosów homocenzorów do niemieckich właścicieli, pogróżek i innych nacisków portal bronił się przed ich atakami. Fakt, że mimo iż moje felietony bynajmniej na popularności nie straciły, po powyższych słowach postanowił zerwać ze mną współpracę, jest wart odnotowania. Nie dlatego, żebym miał zamiar robić z siebie męczennika – wyłącznie dlatego, że sprawa pokazuje, jak fala homoterroru



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

niszczy coraz bardziej przestrzeń naszej wolności.

„DZIŚ NICZYM, JUTRO WSZYSTKIM MY!”

Symbolem ostatecznego przejścia homolobby z marginesu w sam środek politycznego sporu było niedawne objęcie przez prezydenta Warszawy patronatu nad Paradą Równości i pomaszerowanie wraz z zastępcą i urzędnikami ratusza na jej czele. I to, że jednocześnie Rafał Trzaskowski odrzucił zaproszenie na odbywający się dzień później Marsz dla Życia i Rodziny, pogardliwie nazywając go „marszem prawicowych hipokrytów”.

Przyjęcie „Karty LGBT”, wypromowanie przez Donalda Tuska w kampanii wyborczej Leszka Jażdżewskiego, parada w Trójmieście prowadzona przez „zaszczyconą i dumną” z tego faktu prezydent Dulkiewicz – to wszystko znaki, że bezpłodna intelektualnie i programowo opozycja, jak pusta butelka, oczekiwała się napełnienia nową treścią, niestety paskudną. Dzisiejsza PO, która w takiej czy innej koalicji będzie stanowić jeszcze

wolno, ciekawe, czy Wałęsę można?). Jednak nikt, za żadne skarby, nie da tego po sobie poznać.

Łatwość tego podboju wynika z samej istoty emocji, która spaja obóz „antypisu”: jest to tożsamość postkolonialnej elity, w której kompleks wyższości wobec nas, katolickich „tubylców”, miesza się z poczuciem niższości wobec Zachodu. Skoro rewolucja LGBT przychodzi do nas z Zachodu – to „liberalne elity” przeciwstawić się jej po prostu nie mogą. Mogą co najwyżej bezsilnie tłumaczyć się, tak jak niefortunnie próbował Rafał Grupański, że na spełnienie jej żądań jest jeszcze za wcześnie.

Tym bardziej że lewicowo-liberalny salon żyje w przekonaniu, które wyraził kiedyś w sławnym liście do Czesława Miłosza filozof Tadeusz Kroński: że ciemnym z natury Polakom trzeba wybijać z głowy zacofanie „kolbami karabinów” okupanta. Bezkrtyczne zachłyśnięcie się ideologią LGBT zarówno dowartościowuje salon, pozwalając czuć się znowu awangardą postępu, jak i daje mu poczucie pewności zwycięstwa. Bo, parafrazu-

Importowana rewolucja

długo jeden z biegunów sporu publicznego, to już nie Tuskowa partia „zdrowego rozsądku” i „ciepłej wody w kranie”, tylko bezradni wobec radykałów „mniejszewicy”. Jej jedyną narrację: my to „Europa”, a oni – polski „zaścianek” i „ciemnogród” lobby LGBT ukonkretniło z łatwością: Europa to „małżeństwa” homoseksualne, „drag queens” i „genderedukatorzy” w szkołach, aborcja na życzenie oraz rugowanie z dyskursu publicznego „nacjonalizmu”, katolicyzmu i innej „mowy nienawiści”. Prywatnie wielu polityków opozycji podziela przekonanie Wałęsy, że – jak wypalił on we właściwym sobie stylu – „przegraliśmy przez tych zboczeńców” (Mackiewicz cytować nie

jąc apostoła: Skoro Zachód z nami – któż przeciwko nam?)

„NIECH W KUŹNI NASZEJ OGIEŃ BUCHA”

Warszawska parada pokazała to bardzo wyraźnie: istotnie, rewolucja marksistów kulturowych – tak samo jak ich sowieckich poprzedników – przynoszona jest do Polski przez kolonizującą nas siłę zewnętrzną. Tyle że tym razem podbój dokonywany jest nie kolbami karabinów, ale pieniędzmi.

Fakt, że Parada Równości z niszowej imprezy lewicy zmieniła się w wielki festyn, na którym widać bawiących się młodych ludzi i rodziny z dziećmi korzystające z różnych specjalnie dla nich przygotowanych

■ atrakcji, to przede wszystkim efekt zaangażowania kilkudziesięciu wielkich koncernów. Do ich polskich oddziałów przyszedł po prostu stosowne polecenie z centrali: nasza firma wdrożyła „politykę przyjazną LGBT”. Oznacza to, że polscy szefowie muszą wykazać się odpowiednimi działaniami i przeznaczeniem odpowiednich funduszy na rzecz LGBT, a także, że każdy pracownik, wśród innych kryteriów ewaluacyjnych, oceniany jest także z owej „przyjazności”. Nie trzeba doprawdy wydawać żadnych służbowych poleceń – każdy sam z siebie chce być na liście do awansu, a nie do zwolnienia. Zresztą, zwłaszcza w korporacjach internetowych, nie brak aktywistów lewicy, którzy poszli tam nie tylko dla zarobku, lecz także w ramach świadome dokonywanego „długiego marszu”, wedle wskazania Gramsciego. W propagowanie rewolucji LGBT włączyli się już zupełnie otwarcie Google i Facebook, których oligopol kontroluje dziś 70 proc. (!) wszystkich treści zamieszczanych w Internecie. Obie firmy wielokrotnie oskarżane były o łamanie praw konsumenckich, sprzyjanie lewicowej propagandzie i cenzurowanie tych, którzy się jej przeciwstawiają – Mark Zuckerberg musiał tłumaczyć się z tego przed komisją senatu USA, Google zaś przeproszać za pracownika, który w przepływie szczerości opowiedział o tym, jak firma „wycinała” z sieci zwolenników Trumpa. Oba przypadki pokazały zresztą bezradność prawa i państwa, nawet tak silnego jak USA, wobec samowoli internetowych monopolistów. W Polsce ostatnio Google, wykorzystując dominującą pozycję, coraz częściej odcina reklamy portalom, które uznaje za „niespełniające standardów”, i zmusza je do usuwania „nieprawidłowych” treści. Czy miało to coś wspólnego z moim przypadkiem – nie wiem. W każdym razie żaden „ekstremista” lewicowy z tego tytułu nie cierpi. Zapewne dlatego, że choć personalia osób odpowiedzialnych za „filtrowanie treści” w polskich oddziałach internetowych gigantów są poufne, wiadomo, że pracują tam niemal wyłącznie aktywni działacze lewicy i KOD oraz wychowankowie „Gazety Wyborczej”.

Korporacje internetowe nie są jedynymi, które otwarcie zaangażowały się w kruszenie przez LGBT „patriarchalnego” ładu moralnego i społecznego, opartego na rodzinie. Szef wpływowego serwisu PayPal złożył nawet publicznie kuriozalną z biznesowego punktu widzenia obietnicę, że uniemożliwi przelewy finansowe „prawicowym siewcom nienawiści” (kto

jest takowym – zadecyduje oczywiście korporacja), nawet gdyby miał przegrywać potem procesy.

Tęczowa rewolucja ma w Polsce także innych sponsorów. W warszawskim festynie LGBT demonstracyjnie wzięły udział – a także wsparły go finansowo – działające w stolicy przedstawicielstwa dyplomatyczne obcych krajów. Zważywszy, że jest to manifestacja polityczna o zdecydowanie antyrządowym charakterze – rzecz nie do przyjęcia, ale przyjmowana przez polskie władze z dziwną pokorą. Szczególnie aktywny w propagowaniu parady i jej haseł jest, od dłuższego już czasu, ambasador Wielkiej Brytanii, najwyraźniej czujący się w Polsce jak tęczowy Rudyard Kipling wśród dzikusów, których „cywilizowanie” pod strychulec skrajnej lewicy postrzega najwyraźniej jako swoją „misję białego człowieka”.

„PRZESZŁOŚCI ŚLAD DŁOŃ NASZA ZMIATA”

Dla części działaczy lewicy maszerowanie pod bannerami z logo wielkich międzynarodowych korporacji było pewnym dyskomfortem. Przecież do wczoraj to właśnie wielkie koncerny były dla lewicy największym wrogiem. I oto nagle okazuje się, że wielkie banki, obwiniane za globalizację i wyzysk Trzeciego Świata, marki odzieżowe, dla których głodujące dzieci z Bangladeszu szyją za

biejem, czy też wyliczyły sobie, jak kiedyś giganci Wall Street kredytujący Trockiego, a potem Hitlera, że inwestycja w burzenie porządku świata da niezły zwrot.

Kto nie zna tego wielkiego leninowskiego odkrycia, że rewolucja odbywa się „etapami”, i na każdym z nich cele, hasła i prawdy są inne – ten pozostanie wobec kłamstw homolobby równie bezradny jak pożerana przez nie upadła elita III RP.

Tymczasem pierwszą podstawową powinnością każdego, kto ma z LGBT do czynienia, jest owe kłamstwa wskazywać i piętnować – począwszy od tego podstawowego, że tak jak komunistom nie chodziło o poprawę doli robotników, tak i w rewolucji marksistów kulturowych nie chodzi bynajmniej o dobro homoseksualistów, jakkolwiek by je pojmować. Homoseksualiści w ruchu LGBT i na jego paradach są znikomą mniejszością, a sztandarowe postulaty tego ruchu są im przeważnie obojętne. Profesor Piotr Szukalski z Uniwersytetu Łódzkiego, którego prace na ten temat są łatwo dostępne w Internecie, mówił o tym nawet w lewicowym „Newsweeku”: liczba homoseksualistów w Polsce, którzy deklarują zainteresowanie zawarciem „małżeństwa”, jest statystycznie nieistotna – stanowią oni znikomą mniejszość nie tylko w społeczeństwie, lecz także wśród samych homoseksualistów.

Jednym z głównych wątków propagandy LGBT jest zapewnianie, że „osoby LGBT” są prześladowane, że padają ofiarą agresji

miskę soczewicy w urągających zdrowiu warunkach po kilkanaście godzin dziennie, koncerny przodujące w emitowaniu dwutlenku węgla etc. – wszystkie one stały się sojusznikami.

Taka jest właśnie logika rewolucji, przez Włodzimierza Ilijicza Lenina nazwana „mądrością etapu”. Na obecnym etapie koncerny, choć „zabijają ziemię”, stały się jako sponsor rewolucji cennym sojusznikiem. Finansują ją hojnie, wspierają propagandą, zalewając przestrzeń publiczną reklamami z całującymi się homoparami, ubierają swe logo w barwy tęczy. Nieważne, czy robią to dzięki skutecznemu zastraszaniu bojkotami i represjami prawnymi, podobnymi do tych, które za brak „przyjazności dla LGBT” zawarli w swej „karcie” Trzaskowski z Ra-

Jednym z głównych wątków propagandy LGBT jest zapewnianie, że „osoby LGBT” są prześladowane, że padają ofiarą agresji – z lubością powtarza się tu o „dzieciakach, które są zaszczuwane i popełniają samobójstwa”. Nie padają jednak żadne konkrety – bo ich nie ma. Chociaż łatwo się domyślić, że gdyby choć jeden przykład prześladowania się trafił, to liberalne media żyły by tym tygodniami.

Homoaktywiści wierzą jednak, że w końcu się jakichś prześladowań doczekają – i nie są to rachuby bezpodstawne. Dane zachodnie pokazują bowiem, że tam, gdzie „obrona praw i godności ludzi gay” wygrywa, tam niechęć do homoseksualistów i przemoc wobec nich zauwa-

żalnie rosną, co jest oczywiście wykorzystywane do stawiania kolejnych żądań i zaost్రzania kursu wobec „prawicowych siewców nienawiści”. Tak jak uczył inny klasyk rewolucji, Stalin: im bliżej zwycięstwa, tym walka klas musi się bardziej zaost్రzać.

To zrozumiałe – homoseksualiści nie tylko nie są beneficjentami rewolucji LGBT, lecz także są wręcz jej ofiarami. Parady Równości (to też „mądrość etapu” – tej nazwy używa LGBT tylko w Polsce, na Zachodzie to „parady gejowskiej dumy”) nie budują przecież obrazu homoseksualisty jako człowieka, który poza swą seksualną odmiennością jest równie wartościowy jak inni. Przeciwnie – wtłaczają społeczeństwu przekonanie, że homo to dziwadło, odmieniec, okazujący „normalsom” pogardę i profanujący ich świętości, i jeszcze domagający się za to przywilejów oraz oddawania mu czci. Można uważać, że wynika to z tego, iż w organizacjach LGBT działała głównie ludzie, którzy mają ze swoim homoseksualizmem poważny problem psychiczny i rzutują go na innych. Jednak po różnych doświadczeniach z LGBT uważam to za cyniczne wyrachowanie.

W Polsce, odwrotnie niż w krajach protestanckich, homoseksualista nie był nigdy uważany za postać groźną i nigdy nie budził nienawiści. W naszej literaturze, w pamiętnikach jest to – w najgorszym razie – ktoś śmieszny, groteskowy, godny pożałowania. Polacy dla tej „grzesznej słabości” byli zawsze, we właściwym tego słowa znaczeniu, tolerancyjni. Pierwszy kodeks karny niepodległej Polski był zarazem jednym z pierwszych, jeśli nie pierwszym w Europie, niepenalizującym stosunku seksualnego między mężczyznami (Niemcy obchodzili właśnie 25-lecie usunięcia takiego przepisu ze swojego prawa, w innych krajach Zachodu nastąpiło to niewiele wcześniej). Ten fakt, jak otwarcie przyznał w jednej ze swych publikacji Robert Biedroń, jest dla polskiego homolobby problemem, bo „społeczność gejowska nie miała przez to bodźca do zintegrowania się”.

Te wszystkie homoprofanacje, durszlaki, monstrencje przerabiane na waginy mają ten błąd naprawić, sprawić, by ktoś wreszcie potraktował jakiegos geja lub lesbijkę brutalnie i by można, oskarżając o sprawstwo kierownicze zbrodni kogoś w rodzaju mnie czy Zofii Klepackiej, przykręcić śrubę politycznej poprawności w opanowanych mediach i rozpocząć – za-

powiedziane już przez Pawła Rabieja – karne represje wobec kontrrewolucjonistów.

„RUSZYMY Z POSAD BRYŁĘ ŚWIATA”

Kto jeszcze pamięta, że na poprzednim etapie, niedawno, jeszcze zaledwie pięć lat temu, narracja obrońców „równości” była diametralnie odmienna niż dziś – mimo że to przeważnie te same osoby? Wtedy obowiązywała wersja, że „homoseksualizm to nie wybór”. Jesteśmy tacy nie z własnej woli, więc zasługujemy na szacunek. Dzisiaj natomiast LGBT głosi, że „orientacja seksualna”, ba, nawet płeć, to właśnie wybór.

rewolucjonistom przydatna), likwidacja „przesądów religijnych”, mimo licznych sukcesów, daleka jest od zakończenia. I oto pojawiła się ideologia „gender” z pomysłem nowym: zniszczmy różnicę płci!

To, że ludzie oddzielają męskość od kobiecości, że dzielą – we wszystkich kulturach – świat na „jing” i „jang”, to jest właśnie praźródłem „patriarchatu”, opresji, przemocy, wszelkiego zła. Aby zbudować raj na ziemi, należy wychować „nowego człowieka” jako istotę androgenną. Wmówić mu – a jeśli będzie trzeba, to zmusić do tego wszelkimi sposobami – by był zarazem jednym i drugim.

LGBT to tylko realizacja odwiecznej taktyki rewolucji – znalezienie tarana do rozbijania normalności

Gdyby przyznano to „na poprzednim etapie”, padłaby oczywista odpowiedź: wybór podlega moralnej ocenie, na wybór można też wpływać, a więc nie przeczcie, że jest coś takiego jak „promocja homoseksualizmu” i że mamy prawo bronić przed waszym wpływem nasze dzieci.

Dlatego odsłonięcie przyłbicy mogło nastąpić dopiero w momencie, gdy Zachód został już zbyt sterroryzowany, by to powiedzieć. I by zapytać, dlaczego wyboru tego wolno dokonywać tylko w jedną stronę. Bo jak fanatyczni islamci, którzy żądają przechodzenia na islam, ale za próbę konwersji z islamu na inną religię zabijają, tak i homolobby, śląc do szkół „latarników” namawiających normalne dzieci do „odkrycia prawdziwego siebie”, uzyskało ostatnio od znaczącego polityka niemieckiego obietnicę nakładania kar na lekarzy prowadzących terapie leczące z homoseksualizmu (którym rocznie poddaje się dobrowolnie w Niemczech ok. tysiąca osób).

Te wszystkie kłamstwa, które wymieniał by można długo, służą ukryciu faktu, że prawdziwym celem rewolucji nie są żadne „prawa”, żadna „równość” ani niczyje dobro – tylko budowa, po raz kolejny, „nowego wspaniałego świata”, wedle odwiecznego pomysłu Marksowskiego pomiotu: najpierw coś zniszczyć. Likwidacja własności się nie powiodła (zresztą własność okazała się

LGBT, grupujące różne seksualne odmienności, to tylko realizacja odwiecznej taktyki rewolucji – znalezienie tarana do rozbijania normalności i torowania rewolucji drogi, pod pozorem „obrony prześladowanych”.

Jest to ideologia równie obłądna, równie chora i potencjalnie równie zbrodnica jak bolszewizm i nazizm. Trzeba ją demaskować i ze wszystkich sił zwalczać – nie tylko jako zagrożenie dla wartości, które nie wszyscy podzielają, ale jako zerwanie z elementarnym zdrowym rozsądkiem i instynktem samozachowawczym. To właśnie miałem na myśli, cytując Mackiewicz.

Opozycja totalna, jako się rzekło, nie jest do tego zdolna. Obóz władzy z kolei wydaje się przyglądać temu, co się z nią dzieje, z satysfakcją. Na razie, wbrew rachubom przeciwników, zwrot ku tęczy poskutkował zmobilizowaniem elektoratu tradycjonalistycznego i zniechęca do opozycji wyborców ze zdroworozsądkowego centrum – co się będziemy w to mieszać?

Otóż trzeba, bo rewolucja LGBT nastawiona jest nie na najbliższe wybory, ale na spustoszenia długofalowe, które mają uczynić z nas kolonialną kopię spustoszonej już Europy. Dzisiaj zagraża naszym dzieciom, uwodzoną prowadzoną za horrendalne kwity homopropagandą w popkulturze i mediach. Jutro, jeśli nie zdusimy jej w zarodku, jej skutki mogą być jeszcze gorsze. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Nie ma aborcji? Nie ma seriali!



Agnieszka Niewińska

Stan Georgia postawił na branżę filmową i dziś nazywany jest Hollywoodem Południa.

Tyle że teraz to producenci tacy jak Netflix zaczynają mieć tam więcej do powiedzenia niż deputowani stanowego parlamentu

Seriale „House of Cards”, „Narcos” czy nagrodzona Oscarem „Roma” to jedne z pierwszych skojarzeń z Netflixem. Wygląda jednak na to, że streamingowy gigant ma większe ambicje niż tylko rozdawanie kart na rynku filmów i seriali. Właśnie zagroził stanowi Georgia, że jeśli uchwalona przez lokalny parlament ustawa ograniczająca dostęp do aborcji wejdzie w życie (zakazuje ona przerywania ciąży, jeśli u dziecka wykryje się bicie serca), to Netflix wycofa się z inwestycji w tym stanie, a z produkcją filmową

przenieść się gdzie indziej. – W naszych produkcjach w Georgii zatrudniamy wiele kobiet. Ich prawa, podobnie jak i milionów innych, zostaną drastycznie ograniczone przez to prawo – oświadczył Ted Sarandos, dyrektor programowy Netflixa.

NIE PIERWSZY TAKI SZANTAŻ

Podobne do Netflixa deklaracje złożyli inni producenci. WarnerMedia – właściciel m.in. HBO, CNN czy Warner Bros. stwierdził, że przemysłu, czy w Georgii powinna być kręcona jakakolwiek nowa produkcja.

Bob Iger z Disneya stwierdził, że będzie bardzo trudno utrzymać produkcję filmową w stanie, w który zostanie podtrzymany zakaz aborcji. Podkreślił, że wielu ludzi, którzy pracują dla wytwórni, nie będzie chciało pracować w Georgii.

O możliwości przeniesienia produkcji poza Georgię informowała także AMC Networks, producent m.in. serii „The Walking Dead”.

Dla stanu Georgia wycofanie się producentów filmowych może być poważnym problemem, bo w roku fiskalnym 2018 (od lipca 2017 do czerwca 2018 r.)

przemysł filmowy wygenerował tam 92 tys. miejsc pracy i wydał 2,7 mld dol. W Georgii kręcono 455 produkcji, takich jak „Stranger Things”, „The Walking Dead” czy „Ozark”. Stan jest nawet nazywany Hollywood Południa, a to, że zainstalowało się tam wielu producentów, zawdzięcza preferencjom podatkowym i niższemu kosztom życia niż te w Los Angeles.

Zakaz aborcji od momentu wykrzyca bicia serca dziecka miałyby wejść w życie od 1 stycznia 2020 r., ale sprawa bez wątplenia zakończy się batalią prawną w sądach federalnych i przepis najprawdopodobniej nie zacznie obowiązywać (pisaaliśmy o tym w „Do Rzeczy” nr 22/2019).

Netflix, który w kwietniu 2019 r. raportował udziałowcom, że ma już 148 mln płatnych subskrypcji, a w pierwszym kwartale tego roku zanotował 4,5 mld dol. przychodów, zapowiedział, że wesprze organizację American Civil Liberties Union w zaskarżeniu uchwalonej w Georgii ustawy o „bijącym sercu”.

Niewykluczone, że Georgia sama wycofa się z przyjętego prawa. Już dochodziło do podobnych sytuacji. W 2016 r. lokalni politycy pracowali nad aktem prawnym

pozwalającym na to, by z powodów religijnych organizacje, których działalność opiera się na konkretnych wartościach, mogły m.in. nie zgodzić się na przyjęcie osób homoseksualnych czy transgendrowych. Po zapowiedziach m.in. Netflixu i Disneya o tym, że wycofają się ze stanu, rząd Georgii zrobił krok w tył.

W 2018 r. hollywoodzcy celebryci zabrali z kolei głos w sprawie nowelizacji prawa adopcyjnego. Pierwotnie chciano umożliwić agencjom adopcyjnym niepodjemowanie współpracy z parami jednopłciowymi. Do bojkotu Georgii wzywał m.in. producent i scenarzysta Ben Wexler. O opuszczenie Georgii przez filmowców apelowała Alyssa Milano, gwiazda kręconego w Atlancie serialu Netflixu „Insatiable” (zabrała też głos w sprawie ustawy o bijącym sercu – ogłosiła seksstrajk). Ostatecznie przyjęto neutralną dla grup LGBT nowelizację prawa adopcyjnego.

– Dzisiaj ONZ nie ma takiej władzy nad światem, jaką ma Netflix. O ONZ i ich publikacjach słyszała garstka młodych ludzi, ci najbardziej zainteresowani sprawami publicznymi, o Netflixie każdy. Seriale i filmy Netflixu, a także innych wielkich amerykańskich producentów, mają o wiele większy wpływ na dusze młodych ludzi, ich poglądy, gusta niż cokolwiek innego. Chociaż – żeby była jasność – ONZ i wielkie koncerty medialne głoszą tę samą lewicową ideologię. Globalne firmy streamingowe są dziś niczym kapłani rewolucji wymierzonej w chrześcijaństwo, tradycyjne wartości, rodzinę – uważa publicysta katolicki Krystian Kratiuk.

Jego zdaniem globalne marki w coraz większym stopniu będą wywierać wpływ na prawodawców, podobnie jak robią to producenci filmowi w Georgii. – I choć filmy oglądają i liberałowie, i konserwatyści, to dysproporcja między tymi grupami jest zbyt duża, by jakiś bojkot konsumencki odniósł sukces. Wiele osób zdaje sobie sprawę z wartości, którym hołduje Facebook, ale z serwisu korzysta, bo to sprawne narzędzie komunikacji, jest tam wielu znajomych – zaznacza Krystian Kratiuk.

PAYPAL I „USTAWA TOALETOWA”

Próbie bojkotu Netflixu podjęli Brytyjczycy. Na platformie organizacji CitizenGo zbierali podpisy pod petycją do prezesa Netflixu i deklarowali rezygnację z płatnej subskrypcji. Kiedy dobijali do 9 tys. podpisów, strona została zaatakowana przez hakerów.

– Globalne firmy, dokonując światopoglądowych deklaracji, nie przejmują się szczególnie konsumenckimi bojkotami. Po pierwsze, dysponują badaniami klientów, więc wiedzą, jakiego odbioru mogą się spodziewać. Po drugie, do takiego bojkotu potrzebna jest prężnie działająca i zorganizowana społeczność potrafiąca dotrzeć do kolejnych osób. W Polsce na razie nie ma organizacji, które byłyby w stanie szybko zagospodarować oburzenie setek tysięcy ludzi i zagrozić gigantom. Trudność takich konsumenckich protestów polega także na tym, że z usług wielu potentatów technologicznych dziś w ogóle ciężko byłoby zrezygnować – ocenia Joanna Gepfert z agencji PR Projekt.

Działania w rodzaju szantaży czy bojkotów to nie tylko domena branży filmowej. W 2016 r. z ogłoszonej decyzji zainwestowania w Karolinie Północnej wycofał się PayPal – gigant w branży elektronicznych płatności. Poszło o „ustawę toaletową”.

Rada miasta Charlotte uchwaliła poszerzenie obowiązującego już prawa antydyskryminacyjnego o preferencje seksualne. Znalazł się w nim zapis o tym, że korzystanie z toalet damskich i męskich w miejscach publicznych (w tym w szkołach) ma być zgodne z płcią, z którą akurat identyfikuje się dana osoba, a nie z tą z aktu urodzenia. Władze stanowe cofnęły przyjęte przez radnych Charlotte prawo, jednocześnie przyjmując zapis, według którego lokalnie nie można poszerzać stanowego prawa antydyskryminacyjnego.

– Zostanie pracodawcą w Północnej Karolinie, gdzie członkowie naszych zespołów nie będą mieli równych praw zgodnie z przepisami, jest po prostu nie do obrony – stwierdził Dan Schulman, prezes PayPala. Karolina Północna straciła 400 miejsc pracy, które firma miała utworzyć w nowym centrum operacyjnym.

PayPal, znany z zaangażowania na rzecz społeczności LGBT, nie zwalnia tempa. Ostatnio zapowiedział, że faszysta nie zrobi u nich przelewu. – Kto i według jakich kryteriów będzie decydował, kto jest faszystą, a więc nie może korzystać z PayPala? Wiemy, jak łatwo dzisiaj zostać faszystą czy homofobem. YouTube, który zdecydował o kasowaniu filmów propagujących nienawiść, usuwa nawet filmy dokumentalne, w których pojawia się postać Hitlera. Technologiczne giganty nie potrzebują nawet wpływać na ustawo-

dawców, wystarczy, że zmieniają algorytm we własnych serwisach – wskazuje Kratiuk.

ŚWIATOWY TREND W POLSCE

Nie algorytm, ale polecenia dla pracowników lodziarni wystosował producent lodów Ben&Jerry’s. Marka (w 2000 r. jej właścicielem został Unilever) znana jest z aktywizmu na rzecz społeczności LGBT. Od 40 lat wspiera postulaty gejów i lesbijek w wielu krajach świata, m.in. sponsorując organizacje i przedsięwzięcia LGBT, manifestując poparcie dla środowisk homoseksualnych na opakowaniach lodów. W 2017 r. firma zastosowała lodowy „szantaż” wobec Australii. Zdecydowała, że nie będzie sprzedawać klientom dwóch takich samych kulek lodów dopóty, dopóki kraj ten nie zalegalizuje małżeństw homoseksualnych. Decyzję o dopuszczeniu ślubów osób tej samej płci Australia przyjęła w grudniu 2017 r. Trudno stwierdzić, w jakim stopniu przyczynił się do tego lodowy „szantaż”.

Ben&Jerry’s mocno działa także na rzecz wprowadzenia homomałżeństw w Polsce. – Wraz ze stowarzyszeniem Miłość Nie Wyklucza i fundacją Wolontariat Równości zawiązaliśmy współpracę, której celem jest osiągnięcie równości małżeńskiej do roku 2025 – informował niedawno „Do Rzeczy” rzecznik Unilever Maciej Lasoń.

Marka obecna w Polsce od dwóch lat po raz kolejny wsparła Paradę Równości. W tym roku firm, które pojawiły się na wydarzeniu środowiska LGBT, było szczególnie dużo – m.in. Levis, Citibank, BNP Paribas, Aviva, Microsoft, JP Morgan, Google, Goldman Sachs czy Procter and Gamble. Eksperci w swoich analizach podkreślali, że to globalny trend, który dotarł do Polski. – Warto jednak zwrócić uwagę, że mówimy tu o zachodnich koncernach, które działają także u nas i tutejszy rynek jest dla nich jednym z wielu. Liczą się bardziej z resztą lewicującej Europy niż z prawicową Polską czy Węgrami – zaznacza Gepfert. – Nasze rodzime firmy są ostrożniejsze, jeżeli chodzi o światopoglądowe deklaracje, chociaż większość ich szefów ma poglądy bardzo liberalne. Widać, że biorą pod uwagę przekonania Polaków i uznają, że ze względu na wizerunek lepiej będzie nie zabierać głosu w sprawach światopoglądowych po żadnej ze stron.



Błażej Kmiecik

Żyjemy w czasach, w których o postępie medycyny coraz częściej świadczyć mają nie wyniki badań naukowców, ale stanowiska ogłaszane przez międzynarodowe organizacje

Czy transseksualizm jest zaburzeniem psychicznym? Jak zaznaczają m.in. J.P. Watson, T. Davis, transseksualizm to „[...] zaburzenie, w którym występuje utrwalone przez całe życie przekonanie, że właściwa płeć danej osoby jest inna niż płeć fenotypowa” („ABC zdrowia psychicznego”). Także w Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób i Zaburzeń Psychiczych (ICD 10) możemy przeczytać, że transseksualny pacjent „pragnie żyć i być akceptowanym jako przedstawiciel płci przeciwnej, czemu towarzyszą zazwyczaj uczucie niezadowolenia z powodu niewłaściwości własnych anatomicznych cech płciowych oraz chęć poddania się leczeniu hormonalnemu czy operacyjnemu, by własne ciało uczynić możliwie najbardziej podobnym do ciała płci preferowanej” (F 64.0). Jak się okazuje, podobne podejście kliniczne musi ulec modyfikacji. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) ogłosiła bowiem w ostatnim czasie, że transseksualizm przestanie być już niebawem uznawany za zaburzenie psychiczne.

ZMIANA, ZMIANA

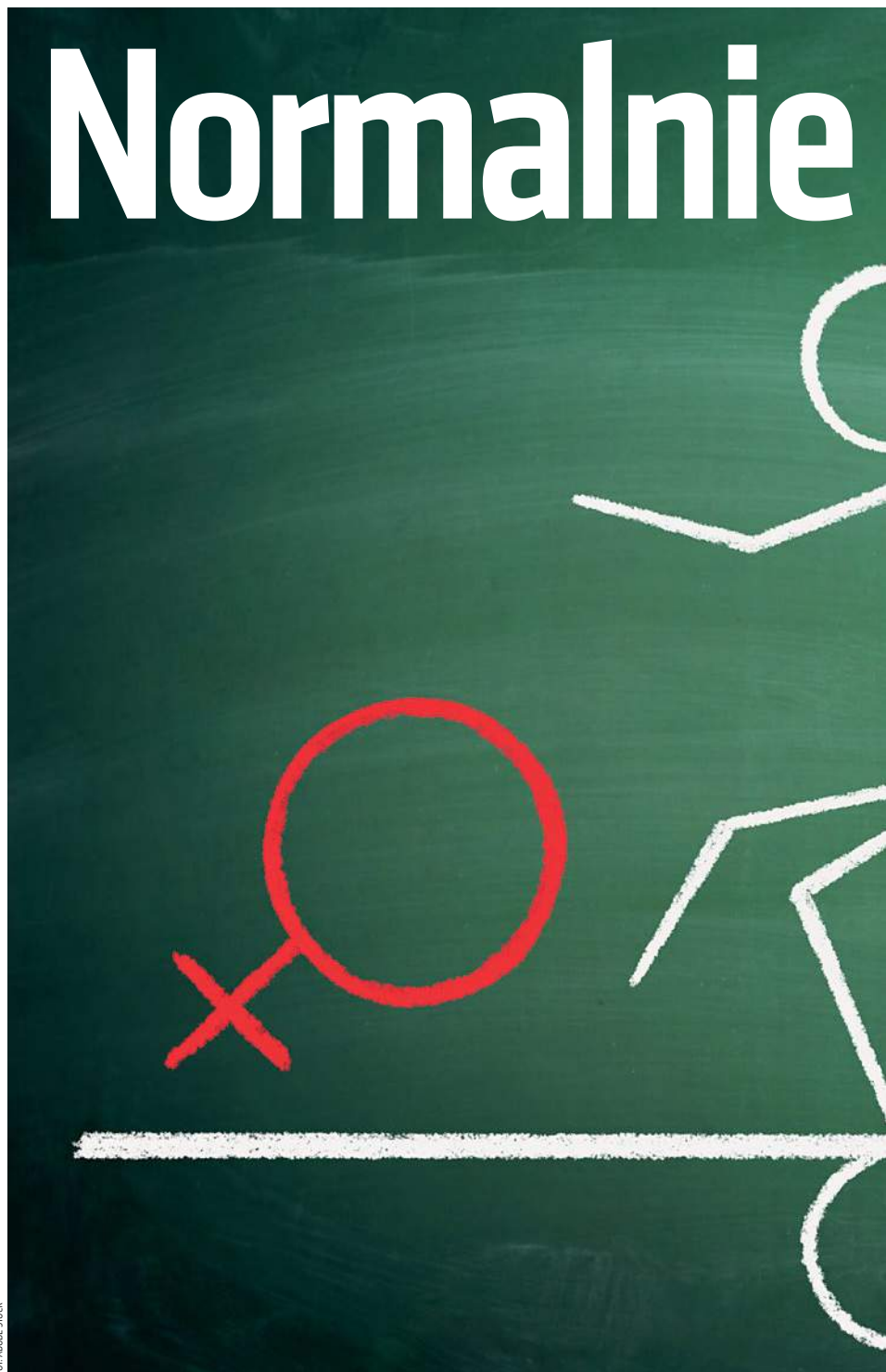
Julia Ehrh z organizacji Transgender Europe, którą cytowały media, dostrzegła, że opisywana modyfikacja jest wynikiem „ogromnej pracy aktywistów trans i gender z całego świata”, i dodawała: „[...] jestem podekscytowana, że WHO zgadza się, że tożsamość płciowa nie jest chorobą psychiczną”.

Warto jednak wiedzieć, że transseksualizm nie jest chorobą psychiczną. W standardach międzynarodowych już od dłuższego czasu podobne pojęcie nie istnieje. W Polsce wskazany zwrot odnosi się do tych schorzeń psychicznych, w których obserwujemy pojawienie się zaburzeń psychotycznych/psychozy (występują np. omamy, urojenia). Precyzyjnie zatem rzecz ujmując – odnosząc się do zachowań osoby zdiagnozowanej jako transsek-

sualista, wskazujemy na postać doświadczającą zaburzeń identyfikacji płciowej. Najnowsza rewizja proponowanych przez WHO klasyfikacji doprowadzić ma jednak do zmiany i tego stanu rzeczy.

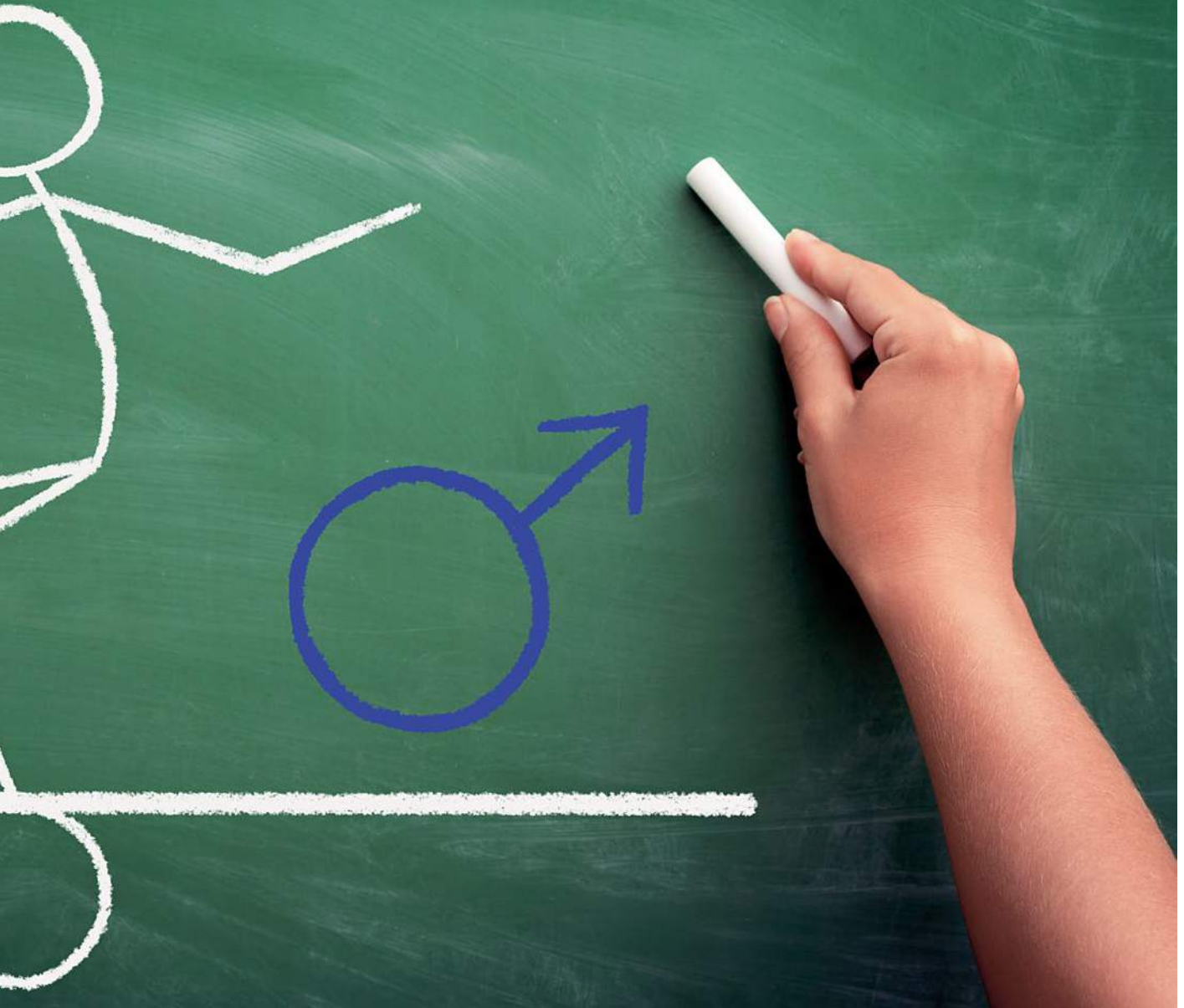
Dziennikarz i aktywista, który dokonał korekty płci – Anton Ambroziak – z entuzjazmem zaznacza, że „kwestie związane z transpłciowością zostały w dokumencie usunięte z listy zaburzeń

psychicznych i przeniesione do rozdziału związanego szeroko ze zdrowiem seksualnym (»Conditions Related to Sexual Health«). Dodaje, że „zamiast zaburzeń i zmedyalizowanych terminów takich jak »transseksualizm« [...] zostały one podzielone na dwie kategorie: niezgodność płciowa u osób nastoletnich i dorosłych; niezgodność płciowa u dzieci”. Innymi słowy, znany dotąd klinicystom rozdział



FOT. ADRIAN STOLK

trans?



pt. „Zaburzenia identyfikacji płciowej” ustępuje miejsca nowej części klasyfikacji, która – co interesujące – odnosi się do problematyki zdrowia seksualnego, a nie jego zaburzeń.

Z innych informacji w mediach wynika, że w najnowszej rewizji WHO ma zniknąć całkowicie pojęcie homoseksualizmu. W jednym z rozdziałów wydanej kilka lat temu książki „Bioetyka” lekarz oraz

etyk, prof. Andrzej Kapusta, stwierdzał, że skreślenie homoseksualizmu z listy chorób psychicznych stanowiło szczególnie istotny element w walce nie tylko ze stygmatyzacją osób „spod znaku tęczy”. Było to także działanie mające na celu odejście od standardowej, wykluczającej nomenklatury, wyłączającej ze społeczeństwa osoby doświadczające zaburzeń psychicznych.

Doktor Lale Say z WHO podkreśla, że ostatnia rewizja spowodowana została analizą oraz konsensusem, jaki obserwuje się w gronie naukowców. Anton Ambroziak przypomina jednak, iż „[...] dowody jasno świadczą o tym, że nie jest to [transseksualizm – przyp. red.] zaburzenie psychiczne i w istocie klasyfikowanie [niezgodności płciowej] w ten sposób może powodować

■ olbrzymią stygmatyzację osób, które są transpłciowe”. Innymi słowy – kryzysy psychiczne u wspomnianej grupy osób pojawiają się nie z powodu frustracji wynikającej z niezgodności płci, ale w związku z doświadczaną społeczną stygmatyzacją.

IDZIE „NOWE”

W branżowej literaturze przedmiotu bez trudu dostrzec można, że współczesna medycyna opiera się na pewnym kluczowym paradygmacie. Mówi się o medycynie opartej na dowodach (EBM: evidence-based medicine). Decyzja WHO podyktowana jest jednakże innym spojrzeniem. To „medycyna oparta na emocjach”. Transseksualizm zostaje uznany za zjawisko, które wzbudza „mieszane” społeczne emocje. W wyniku oficjalnie ukazywanej aktywności określonych środowisk następuje „anulowanie zaburzenia”. Stwierdza się, że dyskomforty psychiczne wynikają z negatywnego działania społeczeństwa. Jest to jednakże diagnoza całkowicie uznaniowa, pomijająca dotychczasowe osiągnięcia nie tylko psychologii i pedagogiki, lecz także medycyny: osiągnięcia np. endokrynologii dziecięcej muszą spotkać się z nową klasyfikacyjną rewizją, która wyrzuca poza nawias wszelkie dociekania dotyczące m.in. hormonalnego funkcjonowania ludzkiego organizmu.

Warto bowiem przypomnieć, że diagnoza transseksualizmu opierała się dotąd na konkretnej analizie. Najpierw badano daną osobę pod kątem genetycznym (tzw. zgodności genotypowo-fenotypowej). Analizowano, czy wyposażeniu genetycznemu „odpowiada” wygląd zewnętrzny. Do diagnozy mogli być dołączeni endokrynolodzy. Jak podkreślają m.in. Andrzej Brodziać oraz Tomasz Kłopotowski na łamach „Annales Academiae Medicae Silesiensis”, przyczyny transseksualizmu pojawiać się mogą już w okresie prenatalnego rozwoju człowieka. Zdaniem ww. badaczy: „Jeżeli w łonie matki embrion o płci genetycznej XY będzie pod wpływem zbyt małych stężeń testosteronu [...], to może nie dojść do męskiego ukierunkowania zmian mózgu i wtedy zachowa on cechy żeńskie. Osoba taka będzie czuła się kobietą mimo posiadania cech genetycznych, gonadalnych typu męskiego. Jest to główna przyczyna powstania tzw. transseksualizmu”. Modyfikacja zapisów klasyfikacji ICD powoduje, że podobne dociekania tracą jednak sens. Podobnie jak spostrzeżenia prof. Adama Bilikiewicza. Ten autor jednego z waż-

niejszych w ostatnich dwóch dekadach podręcznika do psychiatrii stwierdzał, że kryteria rozpoznawania transseksualizmu powinny opierać się na ocenie zachowania danej osoby, które cechuje w omawianym kontekście m.in. utrwalona niechęć do własnej płci biologicznej. Mowa tutaj o dłuższym okresie, trwającym nawet dwa lata. Powinien pojawić się również tzw. test życia codziennego udowadniający, że dana osoba nie potrafi zachowywać się ani wykonywać podstawowych, elementarnych wręcz działań charakterystycznych dla przedstawicieli jej płci.

PROBLEM Z „TRANS”

Transseksualizm ma „nieco pod górkę”. W znany zapewne już większości obserwatorów życia społecznego skrócie LGBT dostrzec można istotną niespójność, o której m.in. wprost informuje Wikipedia. Litery LGB (lesbijki, geje, biseksualiści) to skróty literowe odnoszące się do orientacji seksualnej danej osoby. Przez słowo

Współczesna medycyna opiera się na naukowo potwierdzonych dowodach. Decyzja WHO to „medycyna oparta na emocjach”

„sex” rozumiemy tutaj przede wszystkim pociąg seksualny do drugiej osoby. Transseksualizm pokazuje nam „sex” jako płeć rozumianą w sposób najbardziej oczywisty – posiadane przez organizm wyposażenie biologiczne. W działaniach terapeutycznych w przypadku transseksualistów, o których wspomina Stefan Kornas w „Encyklopedii bioetyki”, odnosić się należy do kilku etapów działań: wsparcia psychospołecznego, pomocy hormonalnej oraz chirurgicznej modyfikacji płci, której celem jest osiągnięcie skutku leczniczego. To ważny z perspektywy prawnej element. Paweł Daniluk przypomina bowiem, że operacja zmiany płci tylko w podobnym, terapeutycznym kontekście nie będzie mieć charakteru, który będzie w istocie formą okaleczenia człowieka (np. pozbawienia go zdolności płodzenia).

Modyfikacja, która ma obowiązywać państwa zrzeszone w WHO, doprowadzi do interesującego, ale prawdopodobnie również tragicznego dla wielu osób stanu. Jeśli transseksualizm przestanie być uzna-

wany za zaburzenie, wówczas niemożliwe będzie podjęcie m.in. na terenie Polski działań chirurgicznych zmierzających do modyfikacji/dostosowania płci do silnych i utrwalonych stanów ukazujących własną płeć. WHO, pod wyraźnym wpływem środowisk trans i gender, idzie w zupełnie innym kierunku: kryterium zaburzenia ma zastąpić klasyfikacja pokazująca stany zdrowotne odnoszące się do rzeczywistości seksualnej; diagnoza stanu opiera się nie na własnych doświadczeniach wynikających z np. wyposażenia hormonalnego, ale z zewnętrznych wyzwalaczy społecznych, wpływających na pojawienie się smutku; rozwój hormonalno-emocjonalny dziecka zostaje podważony; zmiana płci przestanie obowiązywać, zastąpi ją uzgodnienie płci.

Ostatni z wskazanych punktów wydaje się w tej chwili najistotniejszy. Środowiska LGBT przekonały, jak widać, WHO, że płeć to przede wszystkim subiektywne doświadczenia, które nie wymagają modyfikacji chirurgicznej. Dotąd to właśnie zmiana wyglądu ciała miała być finalnym, leczniczym elementem pozwalającym na rozpoczęcie „nowego życia”.

Kryteria WHO wprowadzają uzasadnienie dla prawnej, a nie medycznej zmiany płci. Prawniczka Justyna Juzwa już kilka lat temu podkreślała, że pominięcie w ramach procedury zmiany płci obowiązku dokonania operacji chirurgicznej prowadzi do stanu, w którym to obserwujemy w praktyce pojawienie się „trzeciej płci”. Z perspektywy formalnej mowa tutaj o osobach, które zaliczyć należy do jednej z płci, przy jednoczesnym posiadaniu wyglądu płci przeciwnej. Zdaniem tej autorki prowadzić to może do sytuacji paradoksalnych: np. formalnie ojcem dziecka jest osoba, która z perspektywy biologicznej jest kobietą.

A może taki jest właśnie cel WHO? Ekspertka ds. bioetyki i filozofii prawa Marta Soniewicka w „Paradoksach bioetyki prawniczej” dostrzegła, że powoli widać kształtowanie się społeczeństwa „ślepego na płeć”. Może mamy być również ślepi na wszelkie formy zaburzeń? Czy jednak nie jest to nieco... chore? © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem nauk społecznych, socjologiem prawa, pedagogiem specjalnym i bioetykiem, wykładowcą akademickim oraz ekspertem Instytutu Ordo Iuris. W ostatnich latach opublikował m.in. książki: „Prawa pacjenta i ich ochrona. Studium socjologiczne prawa dziecka jako pacjenta” oraz „Prawo – psychiatria – społeczeństwo”.



POZNAJ JAKOŚĆ STACJI PALIW

LOTOS - TWÓJ PARTNER W PODRÓŻY

Dbamy o komfort Twojej podróży, nieustannie doskonaląc naszą ofertę. Zatrzymaj się na stacji LOTOS, napij się aromatycznej kawy i zjedz coś pysznego z oferty Cafe Punkt.

Troszczymy się o wszystkich pasażerów, dlatego na Twojego pupila czeka miska ze świeżą wodą.

Podróżujesz motocyklem? Mamy dla Ciebie liczne udogodnienia i rabaty na paliwo z kartą Navigator.

www.lotos.pl





Piotr Semka

Czy władze Gdańska chorują na proniemieckość? Tak formułowane podejrzenia i dyskusja o Gdańsku wywołują ogromne emocje. Tym bardziej że spór podsycany jest politycznym konfliktem

Zrosnącym zaniepokojeniem obserwujemy kolejne wypowiedzi uczestników gdańskiego życia publicznego, w których fałszowana jest historia Gdańska i Polski, a historyczne odniesienia w całkowicie nieuprawniony sposób stosowane są do krytycznego opisu dzisiejszej rzeczywistości politycznej – napisali w liście otwartym do prezydent Gdańska Aleksandry Dulciewicz gdańscy naukowcy i byli działacze opozycji – m.in. prof. Jerzy Falandysz z Uniwersytetu Gdańskiego, prof. Piotr Czauderna i dr hab. n. med. Tomasz Zdrojewski z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, prof. Andrzej Stepnowski i prof. Marek Czachor z Politechniki Gdańskiej oraz Joanna i Andrzej Gwiazdowie.

„Pani zastępca stwierdził niedawno, że przyczyną wybuchu II wojny światowej było »złe słowo«. Najwyraźniej nawiązując do współczesnego, mglistego i często wykorzystywanego w walce politycznej pojęcia »mowy nienawiści« wskazał wprost, iż Polacy są współodpowiedzialni za rozpętanie najbardziej krwawego konfliktu w dziejach ludzkości”. Autorzy listu skrytykowali też wypowiedzi przedstawicieli klubu PO używających w dyskusji o statusie Westerplatte porównań władzy centralnej do „zaborców” i „komuny”.

Prezydent Dulciewicz na list nie odpowiedziała. Jednak parę dni potem media podjęły swoistą obronę prezydent Gdańska poprzez kontratak – list podpisany m.in. przez prof. Krzysztofa Pomiana, prof. Antoniego Dudka, prof. Andrzeja Paczkowskiego i prof. Grzegorza Motykę.

„Od długiego czasu Gdańsk – zarówno jego mieszkańcy, jak i władze samorządowe oraz osoby publiczne wywodzące się z miasta są nieustannie dyskredytowane z tytułu rzekomej fascynacji niemieckością, uległości wobec Niemiec, reprezentowania niemieckich interesów, chęci odbudowy Wolnego Miasta itd.” – piszą



Gdańscy naukowcy i byli działacze opozycji napisali list do prezydent Gdańska Aleksandry Dulciewicz (na zdjęciu z Donaldem Tuskiem), w którym sprzeciwili się próbom fałszowania historii Gdańska i Polski

FOT. PIOTR ZAGIELL/EAST NEWS

Co z tym Gdańskiem?

autorzy listu. „Z tymi zarzutami nieustannie spotykał się śp. prezydent Paweł Adamowicz, ale nic się po jego śmierci nie zmieniło. [...] Wykorzystuje się każdą okazję, aby Gdańsk stygmatyzować za pomocą »niemieckiego straszaka«, odwołując się do negatywnych stereotypów, uprzedzeń i lęków. Dzieje się tak szczególnie w mediach związanych z obozem rządowym”.

Tak więc w krótkim czasie pojawiły się w obiegu publicznym dwa stanowiska. Pierwsze wyrażające obawy przed fałszowaniem historii Gdańska i drugie, broniące władz metropolii nad Motławą przed zarzutami o fascynację niemieckością.

Czy władze Gdańska istotnie ulegają fascynacji mitem Wolnego Miasta Gdańska czy – szerzej – niemieckim dziedzictwem miasta?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, warto przyrzeć się dyskusjom w ciągu ostatnich czterech dekad. Sam konflikt trwa już od połowy lat 90. Podzieliłem historie tych potyczek na pięć kolejnych faz.

FAZA 1, CZYLI ROMANTYZM STRYCHÓW (PRZED 1989)

W latach 70. w Gdańsku w aktywne życie weszło pierwsze młode pokolenie, które nie dorastało w atmosferze bezpośredniego wpływu wojny. Przedwojenny Gdańsk pobudzał ich wyobraźnię jak zaginiona Atlantyda. Szkolna wiedza o niemieckim terrorze, brunatnych rządach gauleitera Alberta Forstera czy o Stutthofie zderzała się ze śladami przedwojennego miasta w rodzinnych domach, gazetach i książkach znajdujących na strychach lub jak w wypadku gdańskich autochtonów z opowieściami rodzinnymi o dużym, zamożnym mieście o europejskim formacie. Pokolenie to miało dosyć prostackiej propagandy PRL o odwiecznej polskości Gdańska i kultu Armii Czerwonej, która „wyzwoliła” miasto w 1945 r. Na tym tle wydany w 1983 r. „Błaszany bębenek” był wydarzeniem. Z jednej strony zawierał potępienie nazizmu, z drugiej opowiadał o miejscach, które Donald Tusk czy Paweł Huelle znali jako miejsca dziecięcych zabaw.

To zapoczątkowało zainteresowanie Wolnym Miastem Gdańskiem, które z czasem zamieniło się miało w grassomanię. Ten kult miał swoją cenę, nakazywał przełknięcie paru wyraźnie lekceważących fragmentów o Polakach i katolicyzmie. Ten dysonans poznawczy rozwiązywano dość łatwo – pytano, czym jest te parę nieprzyjemnych wtrętów wobec potęgi prozy Grassa i wprowadzenia przez niego walk o budynek Poczty Polskiej do światowej literatury.

FAZA 2, CZYLI WSZECHWŁADZA LIBERAŁÓW (1989–2005)

W 1989 r. pokolenie wyrosłe na Grassie weszło do polityki. Już w 1990 r. wyłania się Kongres Liberalno-Demokratyczny, który od stycznia 1991 r. miał własnego premiera rządzącego Polską. W samorządzie gdańską KLD początkowo musi dzielić wpływy z konserwatystami-sierotami po Aleksandrze Hallu i solidarnościowcami, ale ci ostatni nie mają ciekawej opowieści o mieście. Wychowanek konserwatystów z RMP Paweł Adamowicz zostaje w 1998 r. prezydentem Gdańska, ale szybko wchodzi w narrację liberałów o grodzie nad Motławą jako spadkobiercy hanzeatyc-

kich wartości. Świat bogoojczyźnianych uroczystości monopolizuje ks. Henryk Jankowski w coraz bardziej operetkowym stylu. Nic dziwnego, że na tym tle liberałowie gdańscy ze swym zaciekawieniem niemieckim Gdańskiem są o niebo bardziej atrakcyjni dla młodej generacji gdańskiej inteligencji.

Z kręgu Donalda Tuska wywodzi się grupa – na czele z Wojciechem Dudą – inicjująca wydawanie pisma „Dialog” o współpracy polsko-niemieckiej. Pisma dofinansowywanego przez niemiecki MSZ. Niemiecka chadecja jest zachwycona gdańskimi liberałami, którzy nie skupiają się jak wcześniejsze generacje na skali wojennych ofiar i myślą o przyszłości Polski oraz Niemiec w nowoczesnych, europejskich standardach.

Sam Donald Tusk wydaje w tym czasie serię albumów „Był sobie Gdańsk” ze zdjęciami miasta sprzed hekatomb 1945 r. To swoiste spełnienie snów generacji „Błaszane bębenka” o przywróceniu pamięci o pięknie przedwojennego miasta.

W latach 1995–2004 ukazują się dwie typowe dla nowej tendencji książki: „Hannemann” Stefana Chwina o dobrym Niemcu, który musi opuścić rodzinne miasto w 1945 r., oraz „Castorp” Pawła Huellego – portret gdańsko-sopockiej arkadii sprzed 1914 r.

Pojawia się niepisana poprawność polityczna, która zbyt ostre wypominanie Niemcom wojennych zbrodni i krytykę WMG uznaje za zaciętrzewienie ludzi „wiecznie wczorajszych”. Nie znaczy to, że władze miasta nie składają kwiatów w rocznicę 1 września pod gmachem Poczty Polskiej czy w Stutthofie, ale przyjmuje to raczej charakter wychłodzonego rytuału niż żywej emocji. Prezydent Adamowicz w 2002 r. inicjuje światowy zjazd gdańszczan. W tym samym czasie władarz miasta rozwija swoją koncepcję Gdańska jako miasta wolności i otwartości. Nawiązuje w tym do mitu dawnej republiki kupieckiej, w której krzyżować się miały wpływy niemieckie, polskie, niderlandzkie i żydowskie. Mało kto pamięta, że konstrukt ten wykipił młody niemiecki badacz Gdańska Peter Oliver Loew, który przypominał Adamowiczowi, że gród nad Motławą był w czasach Rzeczypospolitej głównie niemiecki. Były to jednak spory w gdańskim salonie. Na zewnątrz przewodnictwem liberałów w sferze gdańskich idei było niemal całkowite. Przyczyniała się do tego absolutna dominacja medialna gdańskich „Europejczyków”. Ich wpływową trybuną

był wielostronicowy i wpływowy wówczas gdański dodatek „Gazety Wyborczej”. To on nadawał ton w dyskusji o tożsamości miasta. „Dziennik Bałtycki”, będący własnością „Passauer Neue Presse”, oraz Radio Gdańsk zazwyczaj akceptowały w tamtych latach ton nadawany przez „Wyborczą”. Prawica własnych mediów w Gdańsku długo nie miała. Skargi na spychanie tradycji Polonii w WMG na margines zbywano kpina lub wzruszeniem ramion. PiS w Gdańsku był słaby i bez tuzów potrafiących podjąć historyczną dyskusję z liberałami.

Po tradycji Ruchu Młodej Polski zostało niewiele, a jej nieliczni weterani, jak np. Grzegorz Grzelak, przeszli do Platformy, przyjmując jej wizję historii. To jego syn Piotr wywołał w tym roku skandal z tezą o mowie nienawiści Polaków i Niemców jako przyczynie II wojny światowej.

Już wtedy kiełkowały dwa pomysły Donalda Tuska – duże muzea: II wojny światowej i Solidarności pomyślane jako placówki z morałem – od walki narodów między sobą lub walki z komunizmem do integracji europejskiej.

Wygrana PiS w 2005 r. była dla liberalnych elit gdańskich i samego Tuska dużym szokiem i spowodowała chwilową dezorientację. Zegar postępu historii ku zaskoczeniu liberałów na chwilę się zatrzymał.

FAZA 3, CZYLI PIERWSZE RZĄDY PiS (2005–2007)

Na początku był szok podwójną wygraną PiS. Prezydent Adamowicz po raz pierwszy zderzył się z rządem spoza układu pookrągłościowego. Donald Tusk poczuł się ugodzony wytknięciem w kampanii liderowi PO słynnego już dziadka z Wehrmachtu. Po raz pierwszy gdańscy liberałowie zaczęli przebąkiwać o „PiS-owskiej okupacji Polski” i żyzmac się na łamach pisma „Dialog” na popsucie relacji polsko-niemieckich przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

W tej sytuacji zimnej wojny na linii PiS-PO inicjatywa PiS-owskiego ministra kultury Kazimierza Ujazdowskiego i jego zastępcy Jarosława Sellina o budowie parku historycznego na Westerplatte przyjęto obojętnie, a niekiedy z niechęcią.

Z racji napięć polsko-niemieckich dodatkowego „niepokornego” charakteru nabrał kult Grassa, tym bardziej że pisarz zaczął ostro krytykować w niemieckich mediach rządy braci Kaczyńskich.

Gdy w 2006 r. pisarz przyznaje się do służby w Waffen-SS – władze Gdańska stają z nim murem. Jeden z literatów

gdańskich, broniąc Grassa, wyznaje, że gdyby żył wtedy w Niemczech, być może sam marzyłby jako chłopiec o służbie w elitarnych jednostkach z dwoma runicznymi błyskawicami. Wszelkie opinie, że ujawniony fakt bycia esesmanem powinien skłonić władze Gdańska do odebrania honorowego obywatelstwa, uznawano za małostkowość i szowinizm. Rok potem, w październiku 2007 r. – uroczyste 80. urodziny autora „Błaszanego bębena” w Gdańsku przybrały wręcz wymiar święta miejskiego.

FAZA 4, CZYLI APOGEUM SIŁY TUSKA (2007–2015)

W 2007 r. Platforma zdobywa władzę. Premierem zostaje Donald Tusk i szybko przystępuje do wcielania w życie swoich wizji polityki historycznej w Gdańsku.

Pierwszym krokiem Platformy jest zlikwidowanie projektu parku historycznego na Westerplatte. Za to, nie szczędząc pieniędzy, rozpoczyna dwa prestiżowe projekty: ECS z nową, dużą siedzibą – w 2011 r. jej szefem zostanie dobry znajomy Tuska z „Dialogu” Basil Kerski. Drugi projekt marzeń Tuska to Muzeum II Wojny Światowej, zaprojektowane pod kątem myślenia o historii gdańskich liberałów. Jego dyrektor Paweł Machcewicz to z kolei wychowanek prof. Marcina Kuli, głównej postaci „europejskiego” spojrzenia na historię. W tej sytuacji nie dziwiły deklaracje twórców muzeum, że placówka nie ma zamiaru być muzeum chwały oręza polskiego, ale chce się skupić na losach ludności cywilnej w Europie.

W obu wypadkach nie dopuszczono, by kształt programowy muzeum był przedmiotem dyskusji z badaczami o bardziej konserwatywnych poglądach. Rządząca Platforma realizowała swoją wizję polityki historycznej, nie idąc na żadne kompromisy.

FAZA 5, CZYLI POWRÓT PIŚ I PREZYDENCI GDAŃSKA W ROLI REBELIANTÓW (2015–2019)

Po powrocie PiS do władzy prezydent Gdańska znów staje wobec sytuacji, gdy kończy się wszechwładza liberałów nad polityką historyczną w Gdańsku. Szybko dochodzi do sporu o Muzeum II Wojny – który wygrywa minister kultury. Potem dochodzi do sporu o większy pluralizm ideowy w ekspozycji ECS, zakończony cofnięciem części dotacji ministerialnych ze strony ministra Glińskiego.

Paweł Adamowicz używa sporów o historię do podkreślania opozycyjności miasta wobec nielubianej władzy PiS.

Tradycja WMG wraca. Adamowicz demonstracyjnie odsłania rondo Wolnego Miasta Gdańska, a miejskie tramwaje zostają przemalowane na beżowo – dokładnie tak jak przed rokiem 1945. W ramach chęci powrotu do idei parku historycznego na Westerplatte rząd PiS składa wniosek o przejęcie terenów całego słynnego półwyspu na rzecz Skarbu Państwa.

Nowa prezydent Gdańska Aleksandra Dulciewicz nagle przypomina sobie o miejsu walk z 1939 r. i rozpoczyna kampanię przeciw odbieraniu miastu władzy nad kluczową częścią Westerplatte.

Teraz wajcha się odwraca. Gdańsk płaci za winy popełnione i niepopołnione. Ze strony prawicowych mediów pojawia się daleko idąca podejrzliwość wobec tego, co się dzieje w Gdańsku. Przykład? Gdy w Dzień Flagi 2 maja na gdańskiej alei Zwycięstwa rozwieszone zostają tylko unijne flagi, pojawiają się pytania, czy Gdańsk chce być poza Polską. 3 czerwca gdańska grupa rekonstrukcyjna w mundurach z XVIII w. obejmuje wartę

Aleksandra Dulciewicz dolewa oliwy do ognia, używając wyzywającego języka, np. nazywając przyszły park muzealny na Westerplatte historycznym Disneylandem

honorową przed grobem Pawła Adamowicza. Część prawej strony oburza się, że mundury rekonstruktorów to replika uniformów armii pruskiej. Rekonstruktorzy, jak się okazuje, odtwarzali oddziały gdańskie podległe Rzeczypospolitej. Rzecz w tym, że komendy zmiany warty wydawane po niemiecku wzbudzały u widzów niedobre skojarzenia. Niemieckojęzyczny „Komandostimme” nadal zgrzyta w polskich uszach.

CO JEST CZYM

Opisałem spory o historię z ostatnich 40 lat, aby pokazać, że geneza tego konfliktu i oskarżeń z jednej i drugiej strony mają długą genealogię. Po powoduje, że np. podejrzliwość wobec posunięć i wypowiedzi przedstawicieli władz Gdańska bazuje na dużej ilości złych doświadczeń gdańszczan odrzucających liberalne poglądy. To dlatego inne reakcje wywołują wyłącznie unijne

flagi w Dzień Flagi 2 maja w Gdańsku, a inaczej reagowano by np. w Poznaniu.

Czy władze Gdańska chorują na proniemieckość? W Polsce tak formułowane podejrzenia wywołują ogromne emocje. Traktowane są jako zakwestionowanie czyjejs polskości. I to zapewne powoduje stopień emocjonalności listu w obronie prezydent Dulciewicz.

Część z wymienionych wcześniej kontrowersji nie jest wprost proniemiecka, lecz wynika z poprawności politycznej – np. „europejska” wizja Muzeum II Wojny Światowej jako opowieści o niedoli wszystkich cywilów, także Niemców, ma janusowe oblicze. Jest pacyfistyczna, a jednocześnie działa na rzecz zrzucania z Niemców kolektywnej winy za ostatnią wojnę.

W politycznej wojnie PiS z PO – bo ona jest tem tej dyskusji – trudno jednak spodziewać się tak wyczelowanych ocen. Tu pociski w polemikach mają zaszkodzić rywalom, a nie być precyzyjną oceną. Dlatego padają oskarżenia o znieważanie Gdańska czy igranie z ideą secesji. Sama pani prezydent dolewa oliwy do ognia, używając wyzywającego języka, np. nazywając przyszły park muzealny na Westerplatte historycznym Disneylandem. Gra też bardzo nieuczciwie, sugerując, że PiS insynuuje proniemieckość wszystkim gdańszczanom. Chodzi o decyzje władz miasta, a nie jego mieszkańców. Dulciewicz powtarza manewr Ruchu Autonomii Śląska, który słowa o ukrytej opcji proniemieckiej szybko zdefiniował jako obrazę wobec wszystkich Górnolazaków.

Zwraca wreszcie uwagę taktyka stawiania „naukowości” przeciw „propagandowości” w tym sporze. Jeden z sygnatariuszy listu protestacyjnego przeciw oskarżaniu gdańszczan, Jan Daniluk, tak wyjaśniał spór na stronach Onetu: „Ewidentnie niejednoznaczna i skomplikowana historia Gdańska jest elementem wojny politycznej. A na temat historii wypowiadają się ludzie, którzy nie mają o tym pojęcia. Niech politycy nie bawią się w historyków”. To powtórka ze sporu o Muzeum II Wojny Światowej, w którym rzekomej czystej naukowości grupy Machcewicza przeciwstawiano polityczne intencje PiS. Takich nieuczciwych chwytów jest w debacie o Gdańsku znacznie więcej. Jedno jest pewne – ten spór trwa od wielu dekad i łatwo się nie skończy. Skończyć się może jedno – trwająca od ponad 25 lat dominacja obozu liberalnej lewicy nad Gdańskiem. O tym jednak zadecydują wyborcy. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

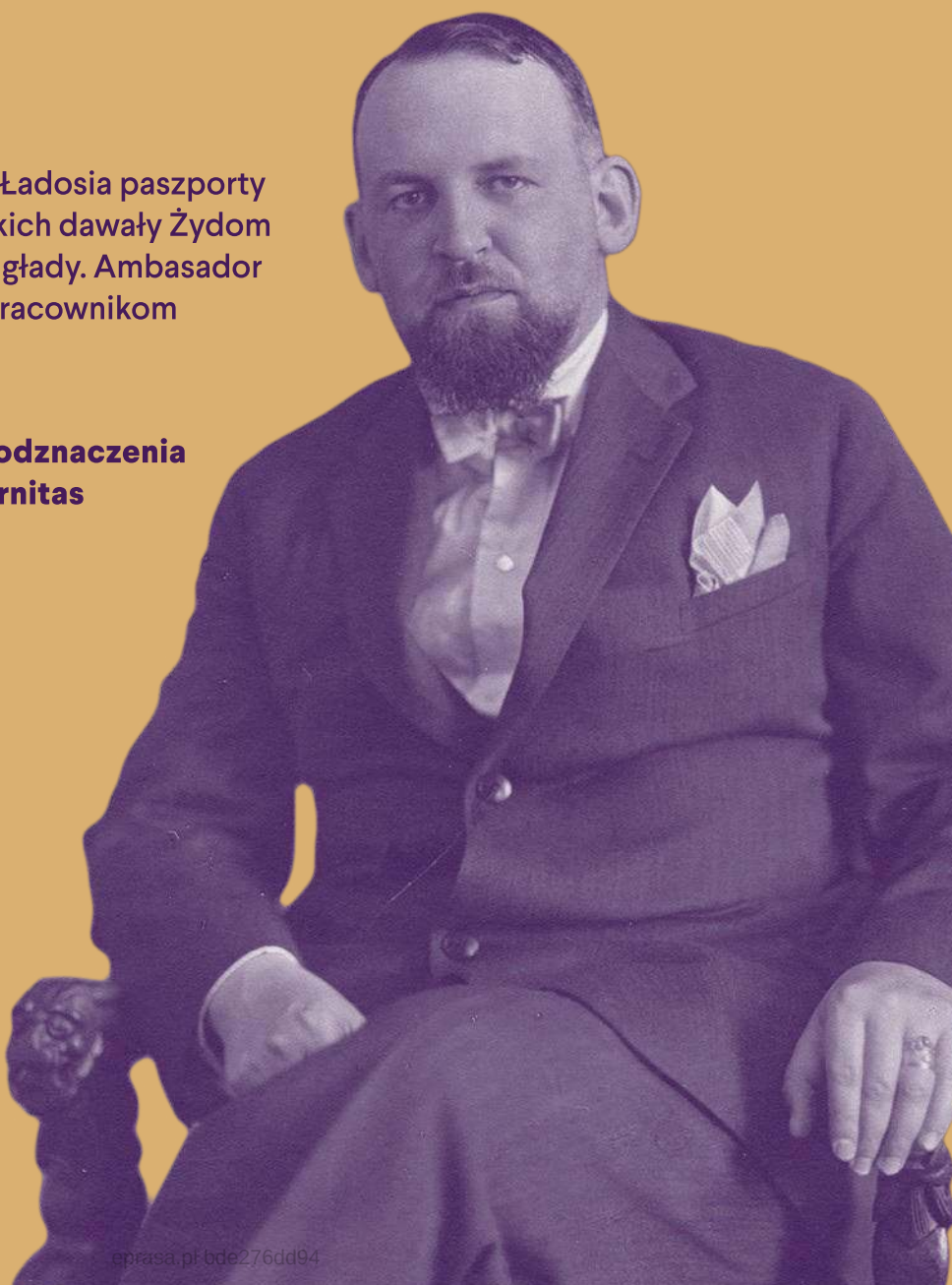
ocalił nam życie

Aleksander Ładoś

Fałszowane przez Grupę Ładosia paszporty krajów latynoamerykańskich dawały Żydom szansę na przetrwanie Zagłady. Ambasador Ładoś zapewniał współpracownikom ochronę dyplomatyczną.



Zgłoszony do odznaczenia
Virtus et Fraternitas



W trakcie majowego spotkania szefów MSZ Polski – Jacka Czaputowicza (pierwszy z lewej) i Rosji – Siergieja Ławrowa (pierwszy z prawej) polscy dyplomaci jednoznacznie podkreślili, że zwrot wraku tupolewa pozostanie najważniejszym postulatem Warszawy w relacjach z Moskwą. FOT. ALEXANDER SHCHERBAK



Warszawa Moskwie nie



Maciej Pieczyński

Spotkania polskich i rosyjskich dyplomatów nie doprowadziły na razie do ocieplenia wzajemnych stosunków. Tupolew i Ukraina – te sprawy wciąż nas dzielą. Impas trwa

Pojawiły się głosy, że majowa rozmowa Czaputowicza z Ławrowem – pierwsze od pięciu lat oficjalne spotkanie szefów MSZ obu krajów – to krok w kierunku polsko-rosyjskiego porozumienia. W tle – wrak tupolewa, sankcje nałożone na Rosję za agresję na Ukrainie, ewentualne zaproszenie Putina do Polski... Moskwa, rozumiejąc, jak wielkie znaczenie mają szczątki prezydenckiego samolotu, może próbować wiele ugrać z Warszawą. Stanisław Stremidłowski, publicysta wpływowej i bliskiej Kremlowi agencji Regnum.ru, niejednokrotnie postulujący zbliżenie Polski i Rosji kosztem Ukrainy, chwali PiS i sugeruje, że partia Kaczyńskiego powinna „konkretnie zadbać o swoje interesy w regionie”, w „przewidywalnym” sojuszu z Rosją oczywiście, bez oglądania się na to, „co pomyśla sobie w Berlinie czy Waszyngtonie”.

W rozmowie z Ławrowem Czaputowicz jednoznacznie podkreślił, że zwrot wraku pozostanie najważniejszym postulatem Warszawy w relacjach z Moskwą. „Do czasu powrotu polskiej własności do Polski nasz dialog obarczony będzie ogromnym bagażem emocjonalnym i brakiem zaufania. Nie widzimy podstaw do dalszego przetrzymywania wraku przez Rosję” – tak brzmi oficjalne stanowisko polskiej dyplomacji. – W tej sytuacji „oferowanie czegoś w zamian” nie jest adekwatne i nie jest obecnie przedmiotem dyskusji – zapewnia w rozmowie z „Do Rzeczy” dr Ewa Suwara, rzecznik MSZ. – Polska jest natomiast zawsze gotowa do rozmów z Federacją Rosyjską na ten temat, w tym z ewentualnym udziałem partnerów międzynarodowych. Zwłaszcza w świetle rezolucji Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy 2246 z 12 października 2018 r. – dodaje. Chodzi o dokument, w którym ZPRE wezwało Rosję do zwrotu Polsce wraku tupolewa.

DIALOG MA TRWAĆ

Andrzej Halicki stwierdził niedawno, że „w Radzie Europy polski ambasador głosował za zniesieniem sankcji wobec Rosji i otrzymała ona możliwość powrotu do Rady”. MSZ zdementowało te rewelacje, wskazując, że Rosja nigdy z samej RE wykluczona nie została. Ponadto, jak

podaje resort, „nieprawidłowe” jest też stwierdzenie, jakoby Polska zajęła stanowisko popierające „likwidację i zatrzymanie sankcji wobec Rosji w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy”. „Stały przedstawiciel Polski w RE nie głosował za zniesieniem sankcji wobec Rosji” – zapewnia MSZ. – Rada Europy (Komitet Ministrów) nie rozważała i obecnie nie rozważa nałożenia na Rosję sankcji po aneksji Krymu i Sewastopola. Rosyjska delegacja parlamentarna do Zgromadzenia Parlamentarnego RE została natomiast pozbawiona prawa głosu oraz innych praw w ramach tego organu na sesjach w latach 2014 i 2015, decyzje te za każdym razem miały termin jednoroczny; w 2016 r. Rosja zaprzestała wysyłania swoich przedstawicieli do ZPRE, co uniemożliwiło formalnie zawieszenie praw tej delegacji przez ZPRE podczas sesji – mówi Ewa Suwara. – Decyzja odnośnie do ewentualnego powrotu delegacji rosyjskiej do ZPRE pozostaje w gestii samego Zgromadzenia. Delegacja polska do ZPRE składa się z posłów i senatorów różnych opcji politycznych reprezentowanych w Parlamencie, którzy działają niezależnie od MSZ – dodaje.

Faktem jest natomiast, że majowe spotkanie szefów dyplomacji Polski i Rosji znalazło swoją formalną kontynuację. 21 czerwca w Moskwie odbyły się



wierzy

konsultacje dyrektorów departamentów terytorialnych obu resortów. – Omówiono m.in. kwestię zwrotu wraku, nieruchomości dyplomatycznych oraz bieżące kwestie konsularne. Dokonano również wstępnego przeglądu dwustronnej bazy prawno-traktatowej. Pierwsze od dwóch lat rozmowy dyrektorów departamentów terytorialnych pozwoliły na przedyskutowanie najważniejszych problemów w relacjach dwustronnych oraz nakreślenie planu dalszego dialogu na niektóre z podniesionych tematów – mówi rzecznik MSZ.

Jak zapewnia, Ukraina nie stanie się kartą przetargową w relacjach polsko-rosyjskich. Zgodnie z oficjalną wykładnią Polska w pełni popiera suwerenność i integralność terytorialną Ukrainy i konsekwentnie stoi na stanowisku, że zniesienie sankcji możliwe będzie dopiero po wypełnieniu przez Rosję porozumień mińskich.

ZAPROSZENIE DLA PUTINA?

Doktor Łukasz Jasina z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych nie zgadza się jednak z tezą, jakoby sam fakt wznowienia kontaktów zapowiadał trwały i pozytywny zwrot we wzajemnych relacjach. – Absolutnie nie rozpatrywałbym spotkania Czaputowicz-Ławrow w kategoriach ocieplenia stosunków – komentuje ekspert PISM w rozmowie z „Do Rzeczy”. – To nie jest żadna jaskółka, która

czyni wiosną na linii Warszawa–Moskwa. Celem samego spotkania było załatwienie konkretnej sprawy w konkretnym czasie. Rosji zależało na odbudowie pozycji międzynarodowej i swojego znaczenia w Radzie Europy. Nawet jeśli cel Putina nie zostanie osiągnięty, samo wznowienie rozmów jest już pewnym pozytywnym dla Moskwy gestem, na który pięć lat po wprowadzeniu sankcji szef polskiej dyplomacji zdecydowanie może sobie pozwolić – dodaje Jasina. Jego zdaniem jednak gest ten na razie w żaden sposób nie przekłada się na realne korzyści po stronie polskiej. – Protokół rozbieżności jest tak długi, że nie sposób liczyć na ocieplenie, dopóki którykolwiek z punktów spornych nie zostanie rozwiązany – mówi dr Jasina.

Zaproszenie dla Putina w zamian za zwrot wraku? Według Jasiny to również nie byłby dla Polski korzystny interes: – Z pewnością Putin nie będzie obecny na Westerplatte 1 września. Natomiast jeśli chodzi o okrągłą rocznicę wyzwolenia Auschwitz, to już podczas uroczystości w 2015 r. w Oświęcimiu gościła rosyjska delegacja wysokiego szczebla, bez żadnych ustępstw z polskiej strony. Nie ma sensu podnosić jej rangi i zapraszać prezydenta. Nic na tym nie zyskamy.

W nagłe zbliżenie na linii Moskwa – Warszawa nie wierzy dr Ernest Wyciszkievicz, dyrektor Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia. – Dzieli nas fundamentalny konflikt strategiczny. Rosja z pewnością chciałaby przede wszystkim uzyskać poparcie dla zniesienia sankcji. Jednak w ciągu pięciu lat, które minęły od aneksji Krymu i wybuchu wojny w Donbasie, oficjalne stanowisko Polski wobec Rosji się nie zmieniło. Nie zmieni się również i teraz – mówi dr Wyciszkievicz. – Dlatego też nie wyolbrzymiałbym znaczenia spotkań, do których doszło w ostatnich tygodniach. To jedynie symboliczne gesty, które w żaden sposób nie przybliżają nas do jakiegoś wiążącego kompromisu.

Dyrektor CPRDiP sceptycznie odnosi się do sugestii, by „wytargować” od Rosji wrak tupolewa w zamian za jakieś ustępstwa ze strony Polski. – Polityka międzynarodowa nie powinna być targowiskiem. Rosjanie traktują wrak instrumentalnie, od lat za jego pomocą próbując wpływać na wewnętrzną sytuację w Polsce – komentuje Wyciszkievicz. – Oczywiście rozumiem ogromne znaczenie emocjonalne tej sprawy, ale jednak zwrot szczątków prezydenckiego samolotu nie powinien być walutą,

za którą Moskwa kupi przychylność Warszawy. Rosjanie nie mogą handlować z nami czymś, co należy do nas. Wydaje się raczej, że Rosjanie wypuszczają „próbną balon”, chcąc wysondować, ile mogą uzyskać z naszej strony.

Jest wątpliwe, czy Putin zostanie zaproszony, a jeśli tak, to czy przyjedzie na Westerplatte 1 września. Sam fakt zaproszenia też może być przedmiotem targu ze strony Rosji. Z pewnością taka forma „ustępstwa” wobec Kremla byłaby o wiele bardziej wyłudaczalna i o wiele mniej kontrowersyjna niż jakiejkolwiek próby zmiany polityki wobec Ukrainy. Szczególnie że Rosja brała czynny udział w konflikcie, tyle że po różnych stronach frontu. – O ile wojna zakończyła się pokonaniem Hitlera przez ZSRS, o tyle we wrześniu będziemy obchodzić przecież rocznicę wybuchu wojny, a wtedy ZSRS był dla Hitlera sojusznikiem. Ten kontekst musi być wyraźnie zaznaczony. Wątpliwe, by Putin zgodził się przyjechać do Polski jako przywódca państwa, które rozpętało II wojnę światową – zauważa Wyciszkievicz.

CZY ROSJA SIĘ ZMIENI?

Dyrektor CPRDiP jest pesymistą, jeśli chodzi o poprawę wzajemnych relacji przy obecnej władzy na Kremlu. – Jako dyrektor instytucji zajmującej się dialogiem muszę wierzyć, że Rosja kiedyś się zmieni, zdemokratyzuje, bo tylko wówczas jest szansa na reset – mówi.

Samo centrum działa w sferze inicjatyw oddolnych, takich jak wymiana młodzieży, finansowanie stypendiów itp. W założeniu to ma być inwestycja w przyszłość – budowa fundamentów dialogu na poziomie poniżej polityki. Niedawno CPRDiP utworzyło portal Novayapolsha.pl – internetowe wydanie rosyjskojęzycznego miesięcznika „Nowaja Polska”, który przez lata ukazywał się w Rosji.

Wyciszkievicz zapewnia, że to nie Polska jest winna upolitycznieniu wzajemnych stosunków: – Ze strony Warszawy były już próby nawiązania dialogu poza politycznymi podziałami. Niestety, za każdym razem, gdy chcemy zainicjować jakieś działania w tym kierunku, Moskwa stawia warunek: „Albo normalizacja stosunków, albo nie będziemy rozmawiać”. Przy czym pod normalizacją Rosjanie rozumieją zdjęcie sankcji. To warunek dla nich niezbędny, dla nas – nieakceptowalny – wyjaśnia. Stąd ten impas, którego na razie przełamać nie sposób.



Łukasz Zboralski

Polska kupi od USA najnowocześniejsze myśliwce V generacji. Co potrafi maszyna F-35 Lightning II?

To ma być koniec postsowieckiej ery w polskim lotnictwie wojskowym. Wycofane zostaną samoloty MiG-29 i Su-22. Zastąpią je najnowocześniejsze na świecie samoloty bojowe – amerykańskie F-35 Lightning II. Już w maju tego roku minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak zapowiedział, że Polska wysłała do Amerykanów zapytanie ofertowe w sprawie zakupu tych myśliwców. Zakup ma obejmować pakiety logistyczny i szkoleniowy.

Podczas ubiegłotygodniowej wizyty polskich władz w Stanach Zjednoczonych minister ujawnił, że od czasu złożenia zapytania odbyło się już kilka spotkań między ekspertami sił zbrojnych obu krajów. I dał do zrozumienia, że proces negocjacji może się wkrótce zakończyć. – Jesteśmy zaawansowani, jeśli chodzi o proces pozyskiwania tego najnowocześniejszego sprzętu – myśliwców F-35. To jest duży przełom, jeśli chodzi o zdolności bojowe polskich sił powietrznych. To jest wyzwanie, ale to jest taki element, który z całą pewnością będzie odstraszał potencjalnego agresora – powiedział Błaszczak.

Jak się można było spodziewać, ze strony opozycji pojawiło się dużo krytyki dotyczącej polskich zakupów zbrojeniowych. Jednak w sprawie F-35 nawet przeciwnikom politycznym PiS trudno było nie przyznać, że to obecnie najlepsze myśliwce na świecie. Były szef MON Tomasz Siemoniak nie krył więc, że to „światny sprzęt”, a uznał tylko, iż zamiast niego powinniśmy kupić nowoczesne systemy obrony przeciwrakietowej i przeciwlotniczej. Z kolei gen. Stanisław Koziej twierdził, że F-35 są drogie, więc powinniśmy kupić więcej starych samolotów F-16, a jeśli myślimy o przyszłości, to powinniśmy zainwestować w międzynarodowe konsorcjum badawczo-rozwojowe i pracować nad systemami bezzałogowymi. – W perspektywie 20–30 lat będą wypierać samoloty zało-

gowe – powiedział gen. Koziej na portalu Wiadomo.co.

Amerykanie chyba inaczej niż gen. Koziej widzieli i widzą przyszłość lotnictwa bojowego. Jeszcze w 1996 r. uruchomili program Joint Strike Fighter. Zakładał on zaplanowanie nowego modelu samolotu, który – przy niewielkich modyfikacjach – zastąpi różne modele używane przez różne rodzaje wojsk. Konkurs w 2001 r. wygrał projekt Lockheed Martina. Był to koncept X-35, który dziś ma już oficjalną nazwę F-35.

sobie dostęp do transferu technologii i udziału ich gospodarki w produkcji elementów samolotów. Dla przykładu – zaangażowanych w produkcję komponentów dla F-35 w Wielkiej Brytanii jest ponad 100 firm. Głównym zakładem jest BAE Systems. Ta brytyjska firma produkuje m.in. tylne elementy kadłubów myśliwców, systemy paliwowe, systemy ratunkowe (z wyrzucanym fotelem) i systemy podtrzymywania życia.

Pierwszy seryjny samolot F-35 publicznie zaprezentowano w lipcu 2006 r. To



Program od początku zakładał wielomiliardowe wydatki. W sumie wartość projektu szacowano na ponad 55 mld dol.

NAJDROŻSZY PROJEKT W HISTORII

Większość kosztów poniosły Stany Zjednoczone i Wielka Brytania. Jednak do programu JSF włączyły się też Włochy, Turcja, Holandia, Australia, Norwegia, Dania, Kanada, Izrael, Singapur, Japonia i Korea Południowa. W zależności od poziomu wkładu własnego państwa zapewniały

wówczas zyskał nazwę „Lightning” („Błyskawica”) – nawiązano w ten sposób zarówno do amerykańskiego myśliwca dalekiego zasięgu z czasów II wojny światowej P-38, jak i do brytyjskiego myśliwca z okresu zimnej wojny – English Electric Lightning.

F-35 ma trzy wersje. Oprócz tej z konwencjonalnym startem powstają jeszcze F-35B (samoloty krótkiego startu i pionowego lądowania) oraz F-35C – czyli wersja pokładowa, która będzie służyć na lotniskowcach.

Pierwsze egzemplarze F-35A (takie właśnie zamówi Polska) kosztowały ponad

220 mln dol. za sztukę. Obecnie ich cena szacowana jest na 90 mld dol., ale prognozuje się, że mogą niebawem być jeszcze tańsze. – Wiadomość z ostatnich dni jest taka, że Amerykanie zamówili prawie 500 sztuk F-35 jednocześnie, czyli drugie tyle, ile kupili do tej pory – mówi Maciej Szopa, redaktor Defence24.pl. – Jest prognoza, że cena spadnie nawet do 70 mln dol. za sztukę. To taniej niż myśliwce IV generacji typu Eurofighter – zauważa.

Program SJF jest bardzo ambitny. Zakłada bowiem stworzenie samolotu,

uziemiono maszyny, a także kłopoty systemu sterowania, chłodzenia elektroniki czy wady hełmu pilota. Wygląda jednak na to, że F-35 to ostatecznie konstrukcyjny sukces.

MNIEJ WIDOCZNE, LEPIEJ UZBROJONE

– Jest trudno wykrywalny, trudniej go wykryć za pomocą radarów i urządzeń termowizyjnych – wlicza zalety F-35 Szopa. – Ma też więcej punktów podwieszenia uzbrojenia. F-16, któ-

Samoloty F-35 nie mają też miejsca dla dwóch żołnierzy. Zaprojektowano w nich jednoosobową kabinę pilota. Ten do dyspozycji ma m.in. duże ekrany, zapewniające mu doskonałą orientację podczas wykonywania zadań. Według ekspertów samolot jest też łatwy w prowadzeniu i obsłudze. – Piloci, po oblataniu samolotów szkoleniowych, uczą się wyłącznie na symulatorze, który w stu procentach oddaje to, jak zachowuje się F-35 – opowiada Maciej Szopa. – Po nauce na symulatorze pilot lata już sam. To tak łatwo prowadzący się samolot, że można w nim puścić ster i będzie leciał dalej na wektorze, na którym zostawił go pilot.

Są i inne nowoczesne rzeczy. System w samolotach został tak przystosowany, że dokonują one autodiagnozy i potrafią nawet same zamówić potrzebne części.

F-35A mają 2222 km zasięgu i latają na pułapie 15 km. Osiągają prędkość maksymalną 1,8 Ma, czyli 2250 km/godz.

Dla Polski pozyskanie w ramach programu Harpia najnowocześniejszych samolotów V generacji to na pewno krok w stronę unowocześniania lotnictwa. Oprócz 48 samolotów F-16 mamy dziś bowiem w lotnictwie postsowieckie konstrukcje. A z nimi nie jest dobrze. Jak przyznawał podczas niedawnej debaty Defence24.pl gen. Ireneusz Starzyński, zastępca Dowódcy Centrum Operacji Powietrznych, samoloty Su-22 są już u schyłku swojej kariery w wojsku. Nie lepiej jest z MiG-29 będącymi na służbie w Polsce od lat 80. ubiegłego wieku. W marcu tego roku doszło do katastrofy tego samolotu pod Węgrowcem. To był lot sprawdzający samolot. Pilot się kaptował. Była to już czwarta katastrofa MiG-29 w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy.

Wiadomo od dawna, że stare myśliwce utrzymywane były „przy życiu” trochę za długo. Jednak nawet i teraz, gdy szybko sfinalizujemy zakup F-35, najszybciej osiągną zdolność operacyjną za kilka lat (trzeba przeszkolić pilotów, serwisantów itd.). Nie wiadomo też, czy Polska zdecyduje się na upgrade do wyższej wersji posiadanych F-16. – Te nasze samoloty kupiliśmy w niezłej wersji, zaliczają się do generacji IV+ – mówi Szopa. – Chociaż oczywiście można je jeszcze udoskonalić. Ponieważ to, co się dało załadować z F-35 do F-16, przewidziano w upgrade.

na niebie



który będzie miał przewagę konstrukcyjną nad wszystkimi maszynami na świecie. Problematyczne było jednak to, jak upchnąć w konstrukcji najnowocześniejsze rozwiązania i zarazem sprawić, żeby cena nie była zaporowa. Tutaj pomogło właśnie projektowanie samolotu „do wszystkiego”, czyli w różnych wersjach. Chociaż stało się to również przekleństwem, to przez długi czas borykano się z wieloma problemami konstrukcyjnymi, balansując na granicy opłacalności i szczytów techniki. Wykryto m.in. wady instalacji paliwowej, przez co na chwilę

ry w swoich czasach był konstrukcją doskonałą, ma takich punktów dziewięć i pod siedmioma można podwiesić uzbrojenie. F-35 ma takich punktów 10. Poza tym ma też bardzo dobre sensory do wykrywania obiektów z dużej odległości. To m.in. radar najwyższej klasy w technologii azotku galu oraz systemy optoelektroniczne, które nie zdradzają pozycji samolotu, gdy jego pilot dokonuje obserwacji. Ma też potężny silnik. Wszystkie podobne myśliwce mają dwa silniki, a tu udało się zrobić jeden o takiej mocy, że wystarcza.



Kamila Baranowska

Michał Dworczyk z szerzej nieznanego eksperta od spraw wschodnich w krótkim czasie stał się jedną z twarzy obozu rządzącego. Jest politykiem sprawnym i skutecznym, a takich w PiS wcale nie ma wielu

Drzwi do jego gabinetu w kancelarii premiera prawie się nie zamykają. Ciągłe ktoś wchodzi, wychodzi, ma sprawę. – Lubię, kiedy dużo się dzieje – mówi Michał Dworczyk, gdy w końcu udaje się nam spotkać. – Chociaż oczywiście trzeba uważać, aby nie dochodziło do takich sytuacji, w których będziemy biegać z pustymi taczkami, tak bardzo zajęci, że nie wystarczy czasu, aby je załadować. Krótko mówiąc, poza działaniem potrzebny jest również czas na planowanie i refleksję – mówi.

Szefem kancelarii premiera jest od grudnia 2017 r. Od 4 czerwca 2019 r. jest także członkiem Rady Ministrów. Ta nominacja, dokonana przy okazji ostatniej rekonstrukcji rządu, to chęć docenienia jego pracy przez premiera Mateusza Morawieckiego, ale też wzmocnienie jego pozycji w rządzie i wyraźny sygnał, że politycznie zaczyna znaczyć coraz więcej.

Rozstrzał spraw, którymi zajmuje się w kancelarii premiera, jest bardzo duży. Czasem nawet za duży. Sam opowiada, jak niedawno, jadąc samochodem, usiłował rozbijać bombę, którą zaczynała się właśnie stawać sprawa stada 160 krów w województwie lubuskim i jednocześnie konsultować ustawę pozwalającą Polskiemu Funduszowi Rozwoju na emisję obligacji. Tematy od Sasa do Lasa, ale Michał Dworczyk przyznaje, że ten rodzaj i takie tempo pracy mu odpowiadają.

– Nie jestem typem urzędnika, a właśnie tego, że czeka mnie głównie praca urzędnicza, obawiałem się, rozpoczynając pracę w kancelarii premiera. Nie spodziewałem się, że będzie to praca tak zróżnicowana, intensywna i dynamiczna – podkreśla.



Minister od gaszenia pożarów

FOT. PIOTR MOLECI

W PiS dorobił się miana człowieka do zadań specjalnych. Takiego, który sprawdza się w sytuacjach kryzysowych, gdy trzeba gasić pożary. A tych w polityce nigdy nie brakuje. – Najwięcej porównań widzę z hydraulikiem, który przetyka różne zatkałe rury – tak opisywał swoją rolę w jednym z wywiadów dla „Polski the Times”. – Jestem niczym hydraulik, który jeśli trzeba, to i elektrykę naprawi – dodawał.

WSPÓŁPRACA Z SAMORZĄDAMI

Dlatego to do niego trafiają sprawy z gatunku tych politycznie beznadziejnych. Jak choćby strajk nauczycieli, który wybuchł w trakcie kampanii do Parlamentu Europejskiego i groził odwołaniem egzaminów gimnazjalnych i matur. Rząd był w trudnej sytuacji, wydawało się, że politycznie i wizerunkowo na proteście polegnie, tymczasem sprawę rozegrano tak, że wyszedł z tego bez większych strat. Szybka organizacja alternatywnych komisji egzaminacyjnych, by egzaminy mogły się odbyć w terminie, ekspresowa zmiana ustawy oświatowej, by to dyrektorzy, a nie wyłącznie nauczyciele mogli decydować o dopuszczeniu uczniów do matur, wreszcie pomysł organizacji edukacyjnego okrągłego stołu rządu ze środowiskiem nauczycieli – wszystkie te działania na bieżąco koordynował minister Dworczyk.

– W sprawie strajku nauczycieli każde rozwiązanie wydawało się złe, trzeba było znaleźć jakąś drogę, żeby minimalizować straty, aby mimo wszystko znaleźć jakieś wyjście z tamtej trudnej sytuacji. Myślę, że udało nam się osiągnąć najważniejszy cel. Ochroniliśmy uczniów, którzy mogli zdawać egzaminy w zaplanowanym terminie. Mam jednak świadomość, że problem nauczycieli będzie jeszcze wracał, dlatego próbujemy cały czas rozmawiać. Myślę, że formuła okrągłego stołu okazała się trafiona i uda nam się wypracować dobre rozwiązania – podkreśla w rozmowie z „Do Rzeczy”.

Chociaż przy okazji strajku nauczycieli i sam Dworczyk trafił na minę. Media wytknęły mu, że jego dzieci chodzą do prywatnych szkół, w których nauczyciele nie strajkowali. Przy okazji portal OKO.press odkrył, że Dworczyk jest udziałowcem spółki będącej właścicielem szkół, w których uczą się jego dzieci, ale nie umieścił tego faktu

w swoich oświadczeniach majątkowych. Po ujawnieniu tej sprawy minister dokonał korekty oświadczeń. Tłumaczył też, że zapisując dziecko do przedszkola, uiścił opłatę wpisową, która była nabywaniem 0,13 proc. udziałów spółki, będącej właścicielem placówki. Dodał, że nigdy nie uzyskał z tego tytułu żadnych przychodów i dlatego nie pamiętał, by wpisywać swoje udziały do oświadczeń majątkowych.

Ta historia zupełnie mu nie zaszkodziła. Wręcz przeciwnie, umocniła w samym PiS jako człowieka, którego zaczynają prześwieć i atakować niechętnie tej partii media. To w PiS i w oczach prezesa partii najlepsza rekomendacja.

Zaufanie ścisłego kierownictwa Dworczyk zyskał już wcześniej. Przede wszystkim tym, jak poradził sobie z zadaniem prowadzenia rozmów koalicyjnych po wyborach samorządowych w sejmikach, w których PiS nie uzyskał większości. To Dworczykowi PiS zawdzięcza koalicję z Bezpartyjnymi Samorządowcami na Dolnym Śląsku, która nie była wcale taka oczywista. Dzięki temu PiS nie tylko odbił Platformie ważny sejmik, lecz także zadał wizerunkowy cios Grzegorzowi Schetynie. Dolny Śląsk to region, z którego wywodzi się obecny lider PO.

EKSPRESOWA NOWELIZACJA

Media wytykały wówczas, że jeden z listopadowych lotów ministra Dworczyka na Dolny Śląsk rządowym embraerem kosztował podatników 40 tys. zł. Następnego dnia minister przyleciał na Dolny Śląsk samolotem rejsowym. Chciał osobiście przypilnować, by podpisana wcześniej umowa koalicyjna weszła w życie. Uczestniczył nawet w pierwszej sesji nowego sejmiku.

– Potrafi prowadzić rozmowy tak, że się dogaduje. Nie wiem, na czym to polega. To jest fenomen dobrych negocjatorów – tak Dworczyka podsumował w TVN24 Adam Lipiński, który razem z nim rozmawiał z samorządowcami. Dobrym negocjatorem okazał się także na Śląsku. Tam PiS udało się przejąć władzę w sejmiku wskutek pozyskania radnego Nowoczesnej Wojciecha Kałuży.

Szef kancelarii odegrał też istotną rolę, gdy trzeba było minimalizować straty związane z kryzysem w relacjach z Izraelem wokół nowelizacji ustawy o IPN. Spotykał się z politykami izraelskimi, a później przeprowadził ekspresową nowelizację ustawy, w której

■ wycofano się z zapisów o odpowiedzialności karnej za przypisywanie Polsce odpowiedzialności za Holocaust. To po części rozładowało napięcie związane z kryzysem międzynarodowym, w który nieopatrznie wpakował się rząd.

– Jestem typowym zadaniowcem. Kiedy mam coś do zrobienia, to skupiam się na zrealizowaniu celu i doprowadzeniu sprawy do końca. Znajoma posłanka kiedyś sarkastycznie porównała moje działania do desantu przeprowadzanego z łądu morza i powietrza – opowiada Dworczyk.

W PiS krążą na jego temat dwie teorie. Pierwsza – że patronem jego politycznej kariery jest wpływowy dolnośląski polityk PiS Adam Lipiński. Druga – że Dworczyk to człowiek Macierewicza, u którego jeszcze do niedawna był wiceministrem.

– Szufladkowanie ludzi zawsze wzbudzało moją dużą niechęć. Mogę się z kimś lubić, znać, przyjaźnić, mieć dobre relacje, ale w decyzjach, które podejmuję, jestem samodzielny – odpowiada Dworczyk.

MIŁOŚĆ DO WOJSKA

Adama Lipińskiego poznał w 2004 r., gdy Konrad Ciesiońkiewicz, późniejszy rzecznik rządu Kazimierza Marcinkiewicza, organizował mu wyjazd obserwatorów na wybory na Ukrainie. Zwrócił się do Dworczyka, wówczas działacza stowarzyszenia Wspólnota Polska, zajmującego się pomocą dla Polaków mieszkających na dawnych Kresach.

Ciesiońkiewicz z Dworczykiem znali się z harcerstwa, Dworczyk przez wiele lat był instruktorem Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. Kiedy rok później PiS wygrał wybory, a Lipiński został sekretarzem stanu w KPRM, zaproponował Dworczykowi funkcję doradcy do spraw polityki wschodniej. Dworczyk zaangażował się w prace nad Kartą Polaka i ustawą repatriacyjną. Udało mu się nie tylko ją opracować, lecz także doprowadzić do wejścia w życie. O tym, jak zmieniło to życie Polaków wracających do ojczyzny, może opowiadać długo, widać, że te tematy nadal go bardzo interesują. Gdy premierem został Jarosław Kaczyński, Dworczyk był jedynym doradcą, który przetrwał. Po przegranych przez PiS wyborach parlamentarnych trafił do Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, pełnił tam także funkcję doradcy do spraw Polonii i Polaków za granicą.

Z Macierewiczem Dworczyk zna się dłużej niż z Lipińskim. Lata temu przyjaźnił się z jego córką i jej przyszłym mężem, którego znał z harcerstwa. Macierewicz poręczył za niego, gdy został zatrzymany za przechowywanie materiałów wybuchowych. To historia, do której Dworczyk niespecjalnie lubi wracać.

W jego piwnicy znaleziono pociski z II wojny światowej. Ewakuowano wtedy cały blok. Dworczyk do wszystkiego się przyznał, tłumaczył, że wszystkie zgromadzone w piwnicy rzeczy zbierał hobbystycznie, chodząc z wykrywaczem metalu po polach, na których toczono walki. Dostał wyrok, dziś już zatarty. – Za grzechy młodości i brak wyobraźni płaci się i ta historia zapewne co jakiś czas będzie mi przypomniana. Miłość do militariów i wojska towarzyszą mi od zawsze, dlatego po studiach na ochotnika zgłosiłem się do wojska. Ta pasja została mi do dzisiaj, ale kolekcjonuję już tylko książki i nic więcej – zapewnia.

Z tamtej historii została też znajomość z Macierewiczem i jego zaufanie, które sprawiło, że Dworczyk został jego zastępcą w Ministerstwie Obrony Narodowej.

Z MON odszedł w grudniu 2017 r. na stanowisko szefa kancelarii premiera Mateusza Morawieckiego, który mocno naciskał na dymisję Macierewicza

– Wojsko zawsze mnie pasjonowało. Bardzo cenię sobie okres pracy w MON. W stosunkowo krótkim czasie udało się rozpocząć, a w niektórych przypadkach zrealizować szereg ważnych projektów. Wielką wartością była dla mnie współpraca z oficerami i urzędnikami, którzy swoją pracę traktowali jako autentyczną służbę Polsce – wspomina Dworczyk.

Z MON odszedł w grudniu 2017 r. prosto na stanowisko szefa kancelarii świeżo mianowanego premiera Mateusza Morawieckiego. Tego samego, który od początku mocno naciskał na dymisję Macierewicza, w efekcie czego szef MON musiał odejść. To niejedyny paradoks w politycznej karierze Dworczyka.

Przez wiele lat był warszawskim radnym – dzielnicy, miasta, później sejmiku. Dzisiaj przyznaje jednak, że samorząd... zupełnie go nie pociąga. – Dlaczego nie zostałem w samorządzie? Bo szybko zrozumiałem, że to nie jest dla mnie, a w życiu najlepiej pracuję ci, którzy w swojej pracy kierują się pasją – mówi krótko. Tym też tłumaczy fakt, że nie palił się do kandydowania na prezydenta Warszawy, choć jego kandydatura była przez długi czas poważnie rozważana przez kierownictwo partii. Oregodownikiem tego pomysłu był zresztą sam Morawiecki. Ostatecznie jednak Jarosław Kaczyński postawił na Patryka Jakiego także dlatego, że ten wykazywał się większą wolą walki i determinacją, by zostać kandydatem.

O PRZYSZŁOŚCI BEZ EMOCJI

– Byłem gotów wystartować w wyborach na prezydenta Warszawy, gdyby taka była decyzja kierownictwa partii, ale nigdy nie udawałem, że to marzenie mojego życia. Dobrze się stało, że kandydatem był Patryk Jaki. Zrobił świetną kampanię, włożył w to mnóstwo energii, dużo serca i osiągnął świetny wynik – mówi dzisiaj Dworczyk.

W trakcie naszej rozmowy wielokrotnie podkreśla, że nie czuje się do końca politykiem.

– Wszedłem do polityki, wychodząc ze świata organizacji pozarządowych, więc pewnie dlatego najbardziej doceniam polityków, którzy robią coś konkretnego, mają swoją specjalizację, własne pole działania. Samo dyskutowanie w studiach telewizyjnych zdecydowanie mnie nie ekscytuje – mówi. – Nie czuję się wyłącznie politykiem, patrzę na swoje obowiązki szerzej. Staram się unikać w debacie publicznej zbędnych emocji. Tak jak wspominałem, jestem zadaniowcem i kiedy mam wytyczony jasny cel, potrafię się poświęcić. Dlatego cieszę się, że właśnie taki charakter ma moja praca w KPRM – dodaje.

O politycznej przyszłości i swoich planach rozmawiać nie chce. Mówi, że najpierw trzeba wygrać wybory. Jednego jest pewien – chciałby ponownie kandydować do Sejmu, co oznacza, że mimo wszystkich zastrzeżeń, iż politykiem się nie czuje, w polityce czuje się dobrze. A patrząc na drogę, którą przeszedł w krótkim czasie mijającej kadencji – nawet bardzo dobrze.



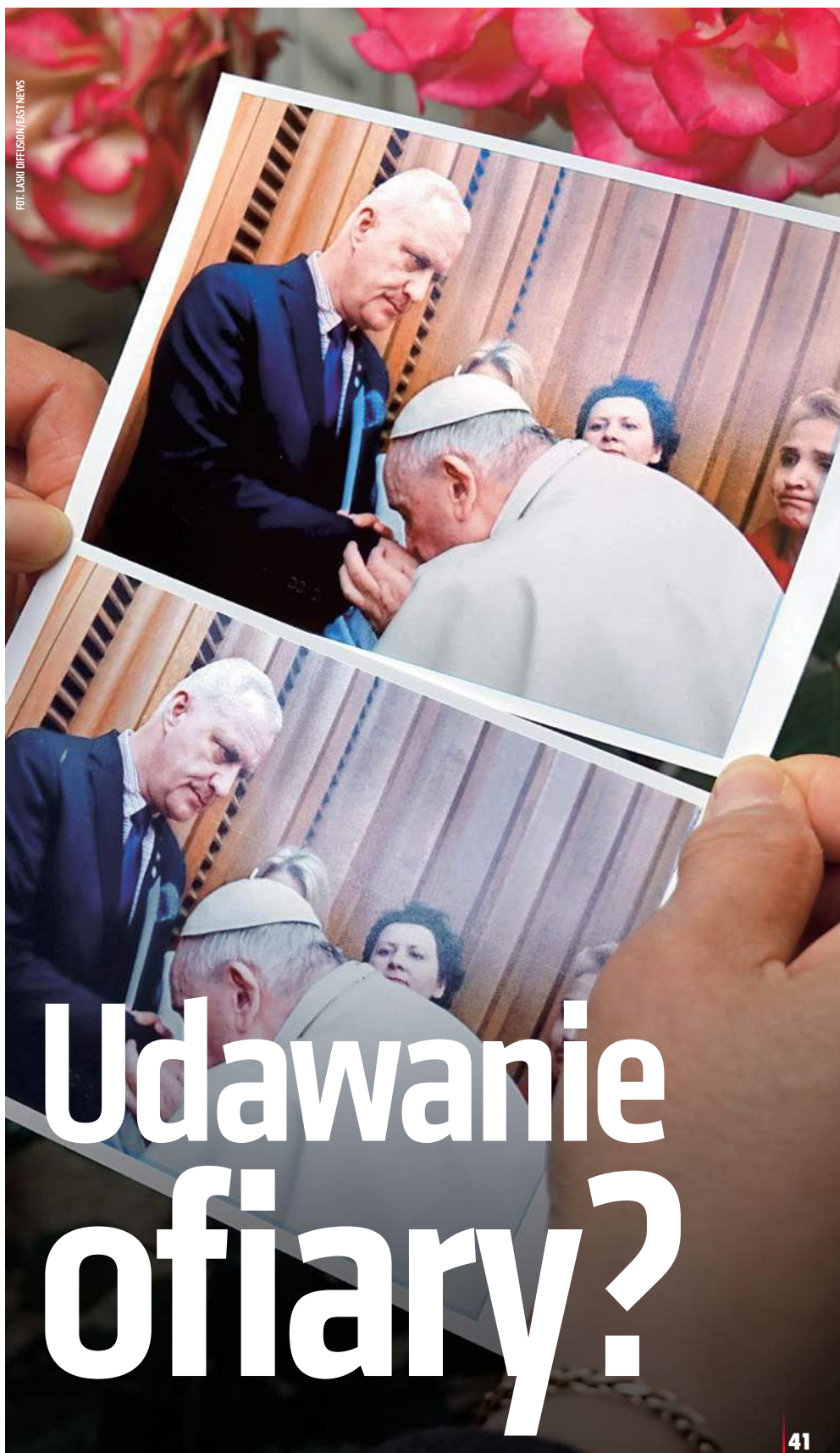
Wojciech Wybranowski

Stał się ikoną środowiska tropiącego pedofilię wśród osób duchownych. Papież Franciszek całował go w rękę. Okazało się jednak, że Marek Lisiński może być oszustem

W 2009 r. poprosił mnie o pomoc finansową na opłacenie swojego udziału w kursie »Program Rozwoju Osobistego« [...]. Tym samym zobowiązał się, że zdobytą tam wiedzę wykorzysta do jeszcze lepszej pracy w zakresie pomocy osobom uzależnionym na terenie gminy. Prośbę jego spełniłam [...]. Kurs ukończył w grudniu 2009 roku, a na początku 2010 roku nie stawiał się już w pracy, wyjechał z Bieżunia, zostawiając rodzinę i nie najlepsze wspomnienia (liczne zadłużenia) [...]. Nie wywiązał się z podjętych zobowiązań, tym samym nie zwrócił do Kasy Gminy otrzymanych pieniędzy. Jak się później okazało, to pobierał pieniądze od innych uczestników kursu za podróże, mimo że otrzymał na to już pieniądze gminne” – pisała w 2014 r. o Marku Lisińskim, do niedawna szefie Fundacji „Nie lękajcie się” Ewa Łubińska, była burmistrz miasta i gminy Bieżeń. Zatrudniała go w gminie na stanowisku specjalisty ds. rozwiązywania problemów alkoholowych. Łubińska zmarła w 2015 r., ale nam udało się dotrzeć do jej oświadczenia.

O kogo chodzi? O Marka Lisińskiego, do niedawna prezesa Fundacji „Nie lękajcie się” i współautora głośnego raportu „Mapa kościelnej pedofilii”. Twierdzi on, że był molestowany przez ks. Zdzisława Witkowskiego. Jako ofiara seksualnego prześladowania przez duchownych został uhonorowany podczas spotkania z papieżem Franciszkiem.

„Gazeta Wyborcza” i Wirtualna Polska ustaliły, że Marek Lisiński mógł mijać się z prawdą, a wizerunek ofiary księdza pedofila” wykorzystywał, by realizować własne, również finansowe, interesy. Taką wersję potwierdzają inne materiały, do których dotarło „Do Rzeczy”.



Udawanie ofiary?

O Marku Lisińskim stało się głośno w 2010 r. Wtedy to, pod wpływem Wincentego Szymańskiego prowadzącego internetowy, skrajnie lewicowy Ruch Ofiar Księży i nakłaniającego ofiary księży-pedofilów do występowania z finansowymi roszczeniami, napisał do płockiej kurii doniesienie na ks. Witkowskiego. Twierdził, że 30 lat wcześniej miał być przez niego molestowany.

POŻYCZKA I OSKARŻENIE

Rządzący wówczas płocką kurią bp Piotr Libera wszczął postępowanie, które prowadziła Kongregacja Nauki Wiary. Szybko zapadła decyzja o uznaniu ks. Witkowskiego za winnego molestowania Lisińskiego. „Zarówno zebrane materiały, jak i postawa oskarżonego duchownego w toku postępowania kanonicznego dały podstawy do uznania Pana Marka Lisińskiego za ofiarę molestowania seksualnego” – napisano w oświadczeniu wydanym przez rzecznika kurii diecezji płockiej.

Lisiński przed Sądem Apelacyjnym w Łodzi domaga się od płockiej diecezji miliona złotych odszkodowania za naruszenie dóbr osobistych i nietykalności cielesnej. Tyle że, jak ujawnił portal Wirtualna Polska, sprawa ma drugie dno. Lisiński najpierw wyłudził pieniądze od ks. Witkowskiego, którego znał z rodzinnej parafii Poniatowo na Mazowszu, a dopiero kiedy ten domagał się ich zwrotu, oskarżył kapłana o molestowanie. – Przyjechał do mnie w 2007 r., do parafii pod Płockiem, opowiadając, że żona choruje na raka, że operacja, że on będzie pracował w Niemczech, że zarobi i odda. Ale nie oddał, tylko ogłosił, że gdy był młody, to go molestowałem. Zaszczuł mnie – mówi nam ks. Witkowski.

Ksiądz pożyczył Lisińskiemu 15 tys. zł. Na oświadczeniu, które widzieliśmy, widnieje podpis dzisiejszego „łowcy pedofilów”. Kapłan został już jakiś czas temu przywrócony przez Stolicę Apostolską, ale nie otrzymał przydziału do żadnej z parafii.

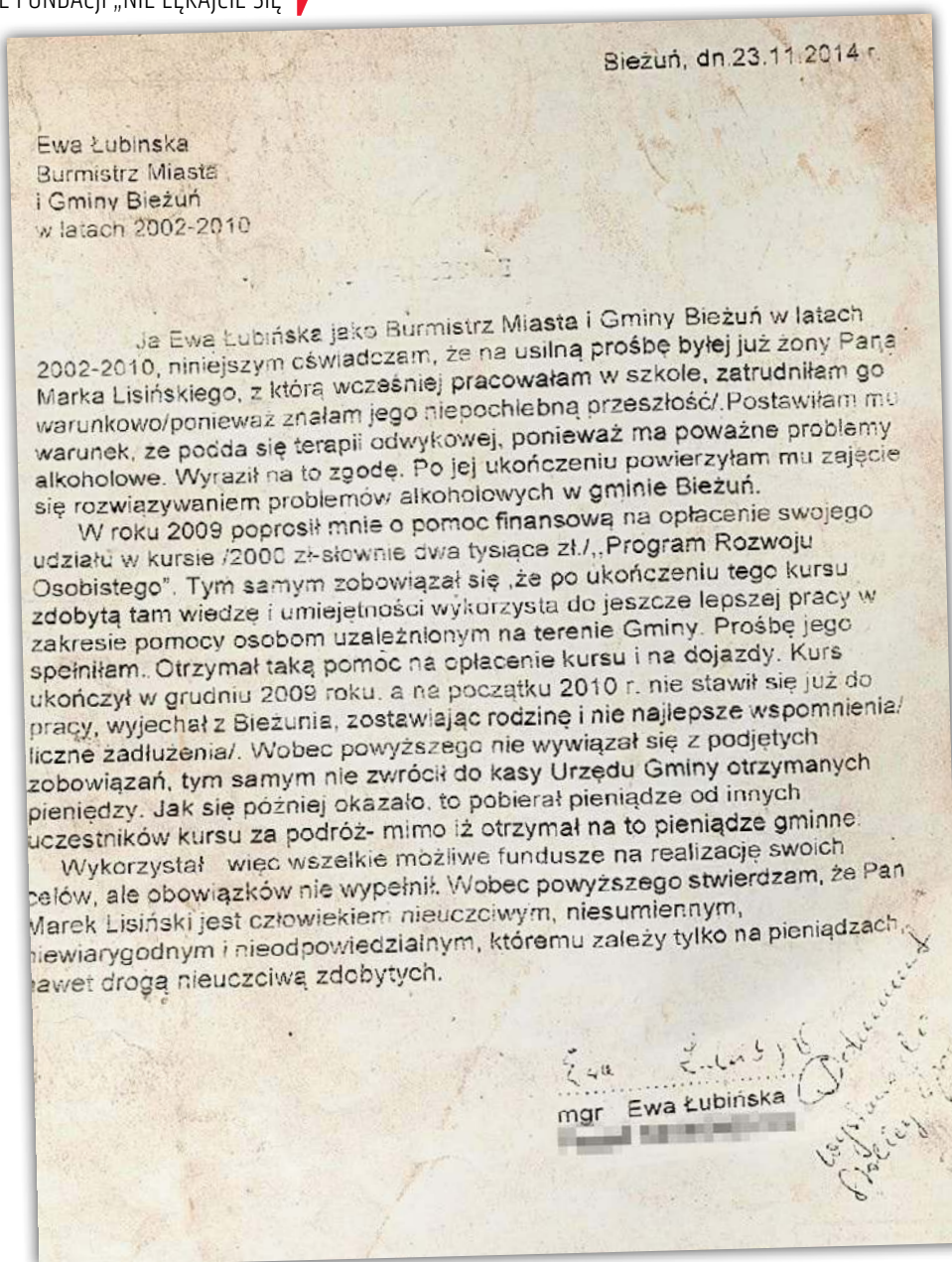
– Lisiński nie tylko to ma na sumieniu. Oszust nie z tej ziemi. Oszukał nie tylko mnie, lecz także wielu ludzi – słyszymy od księdza.

My także dotarliśmy do materiałów, które budzą wątpliwości co do historii opowiedzianej przez Lisińskiego. To m.in. pisemne oświadczenie mężczyzny, który był ministrantem w parafii Pomianowo w latach 1980–1987, a więc w czasie,

gdy obecny „łowca pedofilów” miał być molestowany. W dokumencie czytamy, że Lisiński nie był ministrantem, nie uczestniczył w życiu Kościoła i nie pojawiał się na parafii, którą zawiadywał ks. Witkowski. Mamy także podobne oświadczenie kobiety, która w tamtym czasie sprzątała na plebanii, wskazujące, że Lisiński nie bywał u ks. Witkowskiego. Wreszcie inne oświadczenie – podpisane przez kilkunastu parafian zaangażowanych w życie wspólnoty parafialnej (na dokumencie widnieją też ich numery PESEL). Wskazują w nim, iż Lisiński minął się z prawdą.

Tymczasem w trakcie kościelnego procesu, w którym skazano ks. Witkowskiego, żaden ze świadków, którzy mogliby zeznawać na jego korzyść, nie został przesłuchany.

– Po pierwsze, dawno Kościół katolicki powinien wypracować odpowiednie procedury, które stwierdzałyby, czy dany duchowny był winny czy nie, również jest to ważne dla tych duchownych, którzy zostali niesłusznie oskarżeni. Przypadek Lisińskiego pokazuje, że oszuści są. Niestety i w sprawie lustracji, i skandali obyczajowych Kościół nie ma jasnych, skutecznych form, które by to wyjaśniały – zwraca uwagę w rozmowie z „Do Rzeczy” ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Kapłan dodaje też, że niezbędne byłoby powołanie specjalnej, niezależnej komisji, która takie sprawy by badała. – To jest w interesie tych osób niesłusznie oskarżonych. Dzisiaj przyszedł już taki czas, byśmy wszyscy się nad tym poważnie zastanowili, bo powołanie takiej komisji byłoby nie



przeciwko Kościołowi, tylko pomogłoby dokładnie zweryfikować zarzuty w sprawach o pedofilię. Bo zawsze, zwłaszcza gdy sprawa jest głośna medialnie, znajdują się oszuści liczący na łatwy zarobek albo osoby nie zrównoważone psychicznie skłonne do konfabulacji pod wpływem mediów – mówi ks. Isakowicz-Zaleski.

Warto jednak zaznaczyć, że „Gazeta Wyborcza” twierdzi, że dotarła do osób, które rzeczywiście miały być molestowane przez ks. Witkowskiego. One jednak żadnych zawiadomień o tych sprawach nie złożyły.

Sprawa ks. Witkowskiego uczyniła z Marka Lisińskiego medialną gwiazdę. W 2013 r. stał się współzałożycielem Fundacji „Nie lękajcie się”, której głównym celem jest dokumentowanie przypadków molestowania przez księży, a także pomoc prawna dla nich w pozyskiwaniu odszkodowań finansowych od Kościoła. W 2015 r. Lisiński został prezesem fundacji.

Chcieliśmy z nim porozmawiać, jednak do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy” nie odpowiedział na prośbę o kontakt.

OBNAŻENIE I DISKUSJA

Jesienią 2018 r. Lisiński zapowiedział przygotowanie „Mapy kościelnej pedofilii”. Kilka miesięcy później współpracująca z nim posłanka Joanna Scheuring-Wielgus zaprezentowała ją w Sejmie. Ma zawierać opisy kilkuset przypadków nadużyć seksualnych ze strony księży i siostr zakonnych, informacje na temat pedofilii w Kościele, a także opis przypadków, w których doszło do skazania duchownego. – Najstarsza osoba, która się do nas zgłosiła, ma 79 lat. To mężczyzna, który był molestowany jako dziecko w 1946 r. Najmłodsza ofiara ma 11 lat. Kiedy była gwałcona, miała dziewięć – mówił na konferencji w Sejmie Marek Lisiński.

Sceptycy wskazywali, że część przedstawionych na „Mapie...” spraw nie została dostatecznie zweryfikowana, że często jedynym źródłem były wyłącznie publikacje internetowe.

Pod koniec lutego tego roku Lisiński pojechał z posłanką Joanną Scheuring-Wielgus i lewicową stołeczną radną Agatą Diduszką-Zyglewską do Watykanu. Papieżowi Franciszkowi wręczyli raport o tym, jak polscy biskupi chronią księży wykorzystujących seksualnie nieletnich. Lisiński został przedstawiony Francisz-

kowi jako ofiara księdza pedofila. Papież ścisnął mu rękę, po czym pocałował go w dłoń.

Kilka tygodni później Wirtualna Polska poinformowała, że opowieść Lisińskiego o jego molestowaniu przez księdza może być mocno naciągana.

Dziennikarki „Dużego Formatu” – Katarzyna Włodkowska i Katarzyna Surmiak-Domańska – ujawniły z kolei, że Marek Lisiński wyłudził pieniądze od ofiary księdza pedofila i domagał się pieniędzy od braci Sekielskich za udział w ich filmie „Tylko nie mów nikomu”. Ujawniono e-mail, który Lisiński wysłał do znajomego: „Pisałem ci, że kto mi pomoże, to odwdzięczę się, choć wiem, że nikt mi już nie wierzy, bo tyle nawywiłłem w życiu i tylu skrzywdziłem, nawet i rodzina mi nie ufa. Ale teraz obiecuję, że będę słowny. Tego nie możesz mi ani nikomu powiedzieć, bo wtedy jestem załatwiony i mój plan nie powiedzie się. Tobie też wynagrodzę. Wiem, że kuria go wspiera [księdza] i chce pomóc, by dał te 150 000 złotych, których domagam się, a to rozwiąże moją sytuację. Ta kwota nie jest wygórowana, tym bardziej dla tak zamożnego Kościoła w Polsce”.

Ksiądz Zdzisław Witkowski zapowiada, że będzie walczył o odzyskanie dobrego imienia. Twierdzi, że ani jedno słowo Lisińskiego nie jest prawdą

„Gazeta Wyborcza” opisała też, jak Lisiński wyłudził pieniądze od kobiety, która zwróciła się o pomoc do Fundacji „Nie lękajcie się”. Opowiedział jej podobną historię jak wcześniej ks. Witkowskiemu – w nowej wersji to jednak on sam miał być chory na raka i potrzebować pieniędzy na leczenie. Kobieta przekazała mu 20 tys. zł, z czego 10 tys. podarowała. Pożyczoną kwotę nie odzyskała.

Dzień przed publikacją „GW” Lisiński podał się do dymisji. „Swoimi działaniami zawiodłem zaufanie samych ofiar duchownych, które zwróciły się do mnie o pomoc, jak i osób działających w Zarządzie i Radzie Fundacji, które nie wiedziały o moich działaniach narażających

na szwank dobre imię i wiarygodność Fundacji” – napisał w oświadczeniu.

Okazało się przy tym, że według Agaty Diduszek-Zyglewskiej Katarzyna Włodkowska, współautorka materiałów w „GW”, miała naciskać, aby władze Fundacji wstrzymały się z dymisją Lisińskiego do czasu, gdy ukaże się jej tekst. Z kolei sama dziennikarka na Twitterze zasugerowała, że Diduszek-Zyglewska naciskała szefa „Dużego Formatu”, by publikację tekstu o Lisińskim wstrzymać. „Ciekawy ruch wyprzedzający. Ważniejsze: Czy Pani Agata Diduszek pamięta swój telefon do redaktora DF-u z prośbą o wstrzymanie publikacji o Marku Lisińskim?” – napisała dziennikarka.

Kolejne medialne informacje o kulisach działania Fundacji „Nie lękajcie się” i jej byłego już szefa Marka Lisińskiego budzą jeszcze więcej pytań. Może z nich wynikać, iż członkowie fundacji wiedzieli o wyłudzeniu pieniędzy, którego miał się dopuścić Lisiński, i nie podjęli żadnych działań.

Ksiądz Zdzisław Witkowski zapowiedział, że będzie walczył o odzyskanie dobrego imienia. W rozmowie z nami twierdzi, że ani jedno słowo Lisińskiego na jego temat, które się pojawiło – również w ostatnim czasie w mediach – nie jest prawdziwe. Zastanawia się nad pozwaniem biskupa Libery, który według niego uniemożliwił mu obronę i „zdemaskowanie łgarstw”.

Sam Lisiński nadal bryluje w mediach in aureoli „łowcy pedofilów”. Jak informował portal Press.pl, mimo ujawnienia kompromitujących mężczyźną informacji Radio TOK FM nie zamierza usuwać go z grona laureatów nagrody TOK FM im. Anny Laszuk, którą otrzymał w marcu.

– Sytuacja bardzo smutna. Po pierwsze, potrzebna jest pomoc wszystkim ofiarom pedofilii, niezależnie od tego, czy ofiary te zostały poddane tej zbrodni przez duchownych czy przez ludzi innych zawodów – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” ks. Daniel Wachowiak, proboszcz parafii pw. NMP Wniebowziętej w Piłce. – Sytuacja, o której dowiadujemy się w związku z liderem „Nie lękajcie się”, powoduje, że zamiast skupiać się na pomocy prawdziwym ofiarom, zastanawiamy się nad intencjami tych, którzy o pedofilii mówią tylko tak, jakby dotyczyła ona jedynie Kościoła, i dodatkowo wątpimy w szczerość walki z tą patologią przez tych, którzy uczynili z niej pewien niemoralny sposób na życie.



**Z Jarosławem Jakimowiczem,
aktorem i przedsiębiorcą
rozmawia Łukasz Warzecha**

ŁUKASZ WARZECHA: Kiedy nagrywałeś wideo, w którym wyraziłeś poparcie dla Zofii Klepackiej, atakowanej za swoje opinie na temat karty LGBT, wyobrażałeś sobie, że konsekwencją będą m.in. zerwane znajomości? Tak się zachował Andrzej Pągowski, znany rysownik i twój znajomy od wielu lat.

JAROSŁAW JAKIMOWICZ: Pewnie, że nie spodziewałem się takich reakcji. Muszę tu jednak wyjaśnić, że w mediach społecznościowych jestem nowy. Konto na Facebooku założyłem sobie dopiero 1 września ubiegłego roku. Dość szybko pojawiły się duże zasięgi. I nagle okazało się, że jestem „kontrowersyjny”, że „kontrowersyjne” są moje poglądy. Miałem przecież wcześniej takie same przekonania i opinie, ale nie zdawałem sobie sprawy, że dla niektórych jestem megaprawicowy. Ludzie muszą ci zaszufladkować i nazwać. A na koniec muszą ci dopier..., co polega na tym, że piszą do ciebie „pisiorze”.

Okazało się, że jestem kontrowersyjny

FOT. KAMIL PIKIEWICZ / ODWYBAST NEWS

Nie spotkałeś się z czymś takim w bezpośrednich kontaktach z ludźmi, zanim znalazłeś się w mediach społecznościowych?

Nie. Może dlatego, że mam fajnych znajomych, z którymi nie rozmawiam o pierdołach. Wielu ludzi bardzo dużo czasu spędza, rozmawiając o polityce i politykach, a ja, jako mocno już dorosły 50-letni facet, dochodzę do wniosku, że w ogóle nie mamy na to, na politykę, wpływu. Raczej ktoś to wszystko układa za naszymi plecami... Nie wchodzę w ten temat, bo zaraz będzie, że weszę jakieś spiski. W każdym razie nie spodziewałem się takich reakcji, wchodząc na Facebooka. Moje konto jest otwarte, każdy może tam zajrzeć. Piszę o różnych sprawach: o tatuażach, pieskach, ludziach, których spotkałem. O tym, co mi akurat przyjdzie do głowy.

Kiedy jednak piszesz o polityce, musisz mieć świadomość, że to temat wzbudzający ogromne emocje.

Ja tak naprawdę wcale nie czekam na reakcje. Szczerze mówiąc, one mnie nie interesują. Zwykle wyglądają tak samo: połowa jest fajna, a połowa nachrzenia cię z prawej i z lewej, cokolwiek byś zrobił czy napisał.

Brzmi to trochę tak, jakby Jarosław Jakimowicz zakończył nagle swoje wykluczenie cyfrowe i opowiadał o wrażeniach. Ja jestem na Twitterze od 2010 r., tam jest naprawdę brutalna jazda. Tak to niestety wygląda.

Mnie wszyscy namawiają, żebym założył konto na Instagramie. Artysta musi mieć bowiem profil na Instagramie, to jest

jego platforma do porozumiewania się ze światem. Nie, nie będę miał Instagrama! Ja mam już nawet dość Facebooka. A nawet rok nie minął. Może bym to nawet zamknął, ale tymczasem mam dwa profile: „Jarosław Jakimowicz” i „Jarek Jakimowicz”.

Irytuje cię Facebook, ale masz na nim dwa profile? Dlaczego?

Dwa miesiące temu usłyszałem w telewizorze pana Biedronia, który mnie pouczał, jak wychowywać dzieci. Mam dwóch synów, jeden ma 19 lat, drugi 15. I tak mnie te pouczenia pana Biedronia zirytowały, że napisałem: „Trudno, żeby p... wychowywał moje dzieci”. I bach, od następnego dnia miałem wyłączony profil „Jarosław Jakimowicz”. Więc założyłem drugi.

Dopadła cię cenzura Facebooka.

Tak. I wiem to już także po swoich znajomych: nic dzisiaj złego nie można powiedzieć o panu Biedroniu ani o Wiośnie. Cokolwiek takiego napiszesz, umieścisz mem, nawet zdjęcie dolnej partii roweru – już jesteś atakowany. Usłyszałem o karcie LGBT, pomyśle panów Rabieja i Trzaskowskiego. To mi się kompletnie nie podoba. To jakaś kosmiczna bzdura. Tam są brednie w rodzaju klubów sportowych dedykowanych gejom czy hosteli LGBT. Jeśli jesteś młodym, trochę pogubionym człowiekiem, który może ma wątpliwości co do własnej tożsamości, szuka jej, trochę się boi, to nie chciałbyś przecież, żeby za tobą w szkole gadali: „Ten jest z tego klubu dla p...”. Bo tak by było. To jest chore. W zeszłym roku byłem w Izraelu. Mam tam dużo znajo-

mych Żydów. Specjalnie to podkreślam, bo jakbyś poczytał, co na mój temat się pisze w Internecie, to jestem także antysemitą, bo jestem przeciw ustawie 447. No więc jako ten antysemita byłem u swoich znajomych Żydów w Izraelu. Rozmawialiśmy o wszystkim, bo mnie wszystko interesuje. Między innymi spytałem ich, czy są w Tel Awiwie kluby dla gejów. A oni na to, że nie ma czegoś takiego. „Jak to? – mówię – To u was nie ma gejów?”. Oni mówią: „Oczywiście, że są, ale my tu wszyscy jesteśmy razem”. Jakie to proste i jakie piękne.

Czy w realnym świecie, w którym funkcjonujesz – to jest częściowo biznes, częściowo aktorstwo – istnieje polityczna poprawność i czy np. jest możliwe, że przyjdzie do ciebie jakiś kontrahent i powie: „Panie Jakimowicz, zrywam z panem umowę, bo nie akceptuję pana opinii na temat LGBT”?

Poproszono mnie o wypowiedź na temat opinii Zośki Klepackiej o karcie LGBT. Znam tę opinię i uważam, że to, co Zośka na ten temat mówi, jest spójne. Ludzie zaczęli do mnie pisać: „Ale ty nie wiesz, co ona tam wypisuje” – nie wiem, czy na jakimś blogu, czy na Facebooku, ale to mnie nie interesuje. Ja się odnosiłem do jej konkretnej wypowiedzi. Uważam, że to fajna dziewczyna, zresztą koleżanka mojej żony ze szkoły, więc wiem, że była buntowniczką już jako dziecko. Była wyjątkowa. I pewnie dlatego, że jest wyjątkowa, zdobywała tytuły, była na olimpiadzie – chwala jej za to. Powiedziałem więc kilka słów na ten temat i się zaczęło. Wspomniałeś o Andrzeju Pągowskim. Znam go bardzo długo. On zna moją historię, wie, że mam dziecko

po transplantacji, która się zdarzyła 15 lat temu, a ja jestem żywym dawcą. Jeździliśmy na sympozja w Wiśle – „Bieg po nowe życie”. Był wzruszony, kilka miesięcy temu znowu słuchając mojej opowieści. Jeździliśmy do Międzyzdrojów na Festiwal Gwiazd, leżeliśmy łóżko w łóżko... I teraz dorosły chłop pisze do mnie: nie mogę być twoim kolegą, bo obrażasz moich kolegów. Przecież to dziecinada!

I co zrobiliście?

On on powinien do mnie zadzwonić, ale ja zadzwoniłem do niego. Odrzucał połączenia z wiadomością: „Nie mogę rozmawiać, jestem na spotkaniu”. Chyba już piątą dzień jest na tym spotkaniu. To niewiarygodne. To jest chór. Musisz być w chórze i śpiewać jak on. Jeśli śpiewasz inaczej, to będą cię tępić. Tak niestety jest w tym środowisku. Teraz odpowiadając na twoje pytanie: miałem zacząć zdjęcia do serialu dla Canal+. Wszystko już było przygotowane i dogadane. Na następny dzień miałem umówiony samochód na godz. 6.20 spod domu. Miałem tekst do nauczania się. Dzień wcześniej zadzwoniła do mnie moja agentka i powiedziała: „Jarek, oni z ciebie rezygnują przez twoje wypowiedzi”. Pytam: „Ania, jakie wypowiedzi? Które wypowiedzi? Co ja takiego powiedziałem?”. „No, nie wiem, jakieś tam...”

Wiedziałem, że takie rzeczy się dzieją, ale to jest przerażające. Za poglądy uderzają w twoją karierę, w kwestie finansowe, bo przecież rola to pieniądze.

Tak, to prawda. Tyle że ja mam szczęście, bo robię też inne rzeczy. Uśmiechnąłem się, kiedy pytałeś, czy możesz mnie przedstawić jako aktora. Kiedy się tak przedstawiam, zaraz pojawiają się komentarze: „Jaki tam aktor, aktorzyzna jednej roli, Szycc to jest aktor, Stuhrr to jest aktor”. A przecież ja wiem, że ci dwaj są super. Ja takim aktorem nigdy nie będę. Obaj będą kiedyś prawdziwymi tuzami. Czy naprawdę nie można jednak na tym rynku funkcjonować w innym miejscu? Oni będą jak Al Pacino, a ja, niech będzie, że jak Don Johnson.

Powinno być też miejsce dla Dona Johnsona z własnymi poglądami, nawet jeśli one się nie podobają jakimś celebrytom.

No właśnie. I teraz Karolina Korwin-Piotrowska pisze: „Aktorzyzna jednego filmu”. Co to za pogarda dla ludzi? A chłop z Podkarpacia, który nie zagrał nigdy w żadnym filmie, chyba tylko w tym, na

którym tańczył na weselu, to już chyba nie nie mógłby powiedzieć. To jest ta pieprzona pogarda, którą ciągle słyszymy w mediach ze strony opozycji. Opozycji, która nie szanuje ludzi, a w ostatnich wyborach dostała w głowę jak grabiami, na które się nadeptnie. Bo ludzie nie lubią być traktowani jak idioci i takich polityków nie będą nigdy szanować.

Miałeś jakieś inne nieprzyjemności poza wyrzuceniem z serialu, w którym miałeś zagrać?

Działam w akcji charytatywnej na rzecz dzieci. Robiliśmy to w Warszawie, w Krakowie. Oczywiście non profit. Lubię robić takie rzeczy. Dzisiaj na przykład idę do szpitala na Kasprzaka na oddział onkologiczny, by wręczać dzieciom paczki na Dzień Dziecka. Robię mnóstwo takich rzeczy i to mnie cieszy. Więc uczestniczę w tej akcji, szykuje się w jej ramach kolejny trzydniowy wyjazd, tym razem do Hrubieszowa. Nagle patrzę – zniknąłem z grupy uczestników wydarzenia na Messengerze. Za chwilę dostaję SMS – zauważ, SMS, nikt nie zadzwonił, ale dzwonili, kiedy mnie namawiali, żebym wziął w nim udział – w którym jest napisane, że inni aktorzy uczestniczący w tej akcji powiedzieli, iż jeśli ja będę w niej brał udział, to oni rezygnują. Więc w tej sytuacji organizator akcji rezygnuje ze mnie. Odpisałem tylko: „Czyli dzieci są najważniejsze?”

Shokujące.

Ale są też może lepsze momenty. Wspominałem o Borysie Szyccu...

Który dość brutalnie zaatakował Klepacką w Internecie. A twoja riposta w nagraniu, w którym wspierasz Klepacką, została odebrana jako atak na Szyca. Powiedziałeś: „Jak jakiś chory pacjent, który przebalował pół życia, może mówić takie rzeczy?”

Nie skierowałem tych słów do Szyca, ale uderzyłem w stół i nożyce się odezwały. Więc jeśli ktoś mówi, że zaatakowałem Borysa, to nieprawda. Nie zaatakowałem go. Znam go pół życia, 19 lat temu produkowałem sztukę teatralną, w której grał Borys, ledwo co po skończeniu szkoły teatralnej. Nazywało się to „Dobry wieczór kawalerski”. Z Borysem przebalowałem niejedną noc. Przecież ja nie jestem święty, robiłem dokładnie to samo co Borys. Czy ja mówię, że jestem lepszy? A Borys na słowa Klepackiej zareagował emocjonalnie, przecież jest artystą, ale te słowa mi się nie spodobały. Pisał do Zośki: „Oddaj medale”. Za to, co powiedziała, ma oddać medale?! Można się nie zgadzać, ale to?

Mnie uderza, że niektórzy zapomnieli o czymś takim jak wolność słowa.

Nie ma wolności słowa! Jest większość i mniejszość, i jeśli większość nie zareaguje pozytywnie na cokolwiek, czego chce mniejszość – obojętnie jaka, seksualna czy inna – to zostaje nazwana albo antysemitami, albo ksenofobami, albo kim tam jeszcze. Musisz się zgadzać. Ja się czasem sam gubię. Słyszę tyle różnych opowieści, tyle różnych historii – był trotyl w samolocie, nie było trotylu, był jakiś rosyjski agent z Tuskiem albo nie było... Sam już nie wiem, co jest prawdą, a co nie. Nie jestem przekonany do wszystkiego, co do mnie dociera. Ale myślę, że jeśli człowiek jest mądry, to nie jest pewny. Tylko głupi jest pewny. Mądry, wrażliwy, otwarty nie może być pewny. Nie jestem zatwardziały, mnie można przekonać. Zawsze mówię, jeśli z kimś się różni: zadaj mi 10 pytań i posłuchaj moich 10 odpowiedzi. To już jest coś, już się czegoś można dowiedzieć.

Wracając do Borysa: jego wpis był emocjonalny, on się przyjaźni z Kingą Rusin. Potem wydał oświadczenie na pół strony, ładnie napisane, zredagowane. A ja nie miałem żadnego zredagowanego oświadczenia, kiedy nagrywałem poparcie dla Zośki. Poszedłem na żywioł i powiedziałem, co powiedziałem. Nie żałuję. Ale jako ktoś, kto sobie zawsze zadaje pytania, myślałem o tym przez trzy dni: źle, dobrze, niepotrzebnie, potrzebnie. Zastanawiałem się: Po co? Bo gdyby ta sprawa się rozegrała tylko między mną a Borysem, to by było okej, ale oni wszyscy będą to teraz pompować. To jest obrzydliwe, to jest fałszywostki, co ci ludzie wyprawiają. Przy sprawie 447 miałem skomasowany atak na swój profil. Kilkaset osób ubliżało mi na Facebooku, bombardowało, zarznęli mnie po prostu. I tego się obawiałem, dlatego się zastanawiałem, czy było warto.

Ale wracając do Borysa. Przedwcześniej, koło północy, wdaliśmy się w rozmowę, pisząc do siebie wiadomości. Bo przecież i mnie, i jemu nie pasowała ta sytuacja. Rozmawialiśmy z półtorej godziny. To była fajna wymiana. Nie tak jak z Pagowskim czy panią Korwin-Piotrowską. Powiem tylko, jak się skończyło: napisałem mu „przepraszam”. I już.

Czyli mimo wszystko da się rozmawiać, jeśli po obu stronach nie ma zacietrzewienia.

Da się.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wywiad jest zapisem rozmowy dla telewizji internetowej wSensie.pl.



Piotr Gociek

„Cari Mora” to już nie psychologiczny thriller, ale klasyczny kryminał, choć z potworem w tle. Thomas Harris w wersji light

Witajcie na Florydzie, w krainie emerytów, bogaczy i handlarzy narkotyków. Jeden z nich, owiany zasłużoną złą sławą i równie zasłużenie martwy, czyli Pablo Escobar, zostawił po sobie w Miami interesującą pamiątkę. W posiadłości tyleż luksusowej, co obciachowo urządzonej (słynny narkotykowy baron nie wyróżniał się dobrym gustem) ukryty jest sejf. A w sejfie złoto warte 25 mln dol.

Sekret skarbu Escobara znany jest pewnemu staremu „bandido”, który sam nie może odzyskać złota, ale chce na nim zarobić, sprzedając informacje graczom potężniejszym od siebie. Umierający Jesus Villarreal nie należy jednak do ludzi wiernych danemu słowu i negocjuje jednocześnie z dwoma partnerami. Jednym z nich jest wpływowy kolumbijski gangster Don Ernesto. Drugim – sadystyczny morderca, specjalista od zaspokajania chorych seksualnych zachcianek bogaczy, niejaki Hans-Peter Schneider.

Gdy rozpoczyna się akcja powieści „Cari Mora”, bliżej sukcesu wydaje się ten ostatni. Udało mu się wynająć posiadłość (wraz z zatrudnionymi zbirami podszywa się pod ekipę filmową) i rozpocząć poszukiwania. Konkurencja jednak depcze mu po piętach – grupa Schneidera znajduje się pod pilną obserwacją podwładnych Don Ernesta. Mamy więc klasyczny motyw literatury popularnej: wyścig po skarb. Od samego początku kibicujemy jednak zupełnie innej postaci dramatu.

SKARB I DZIEWCZYNA

Tytułowa Cari Mora to piękna Kolumbijka o bolesnej przeszłości. Jako dziecko poddana praniu mózgu przez komunistyczną partyzantkę, nauczona przemocy bez granic, wychowywana na bezwzględnie bojowniczkę rewolucji. Wyzwolona z dawnego życia w USA stara się trzymać z dala od kłopotów (wisi nad nią groźba deportacji), ale to nie znaczy, że kłopoty



Pewnego razu w Miami

się nią nie interesują. Cari, która pracuje jako sprzątaczką w dawnym domu Escobara, wpada w oko wspomnianemu Schneiderowi. Wizja skrzywdzenia (w absolutnie przerażający sposób) niezwykle, milczącej dziewczyny jest dla zwyrodnialca dużo bardziej atrakcyjna od blasku milionów dolarów w złocie.

„Cari Mora” to pierwsza od ponad 40 lat powieść Thomasa Harris, w której nie znajdziemy jego sztandarowej kreacji, czyli Hannibala Lectera. Poprzednią była debiutancka „Czarna niedziela” z 1975 r. (polska edycja 1991) o terrory-

stycznym zamachu na Super Bowl (najważniejszy mecz w futbolu amerykańskim). Potem Harris na dobre zagłębił się w świat seryjnych morderców i agentów FBI („Czerwony smok”, „Milczenie owiec”, „Hannibal”, „Hannibal po drugiej stronie maski”). Kanibal Lecter stał się złowrogą ikoną popkultury, bohaterem filmów i serialu telewizyjnego (trzy sezony), a w pamięć widzów zapadł dzięki kreacji Anthony’ego Hopkinsa (kino) oraz Madsa Mikkelsena (serial).

Nowa książka Harris bardziej przypomina klasyczny kryminał. Większość miej-



FOT. LOUIS MONIER/CANAL-RAPIHD/CETTY IMAGES

i do basenu Morza Śródziemnego” – wskazywał Eco. Na przykład Hugo Drax u Fleminga „uchodzi za Anglika – lecz w istocie to Niemiec”, „jest diabłem, który przybrał ludzką postać, mistrzem planowania, geniuszem organizacji” (to już o Blofeldzie), „w miarę nielojalnym, seksualnie niewydolnym”, „a w każdym razie poza normą seksualnych zachowań. Pełen inwencji i zdolności organizacyjnych, prowadzi własne interesy”. Jest także odpowiednio odrażający fizycznie, obdarzony jakimś widocznym defektem itd. (odsylam czytelnika do polskiej edycji esejów Eco na ten temat, ukazała się nakładem PIW w roku 1996).

Hans-Peter Schneider z powieści Harris’a jest Niemcem, choć urodzonym w Paragwaju (nigdzie nie napisano tego wprost, ale prawdopodobnie w rodzinie zbiegłych nazistów). Niezwykle przebiegły i piekielnie inteligentny, dotknięty jest rzadkim schorzeniem – nie posiada na całym ciele ani jednego włosa. Jego seksualne preferencje są odrażające, bardzo dalekie od normalnych. Swoją geniusz organizacji wykorzystuje tyleż w służbie bogatych (równie odrażających) zleceniodawców, co dla zaspokajania własnych perwersji. Perfekcyjnie manipuluje innymi i wykorzystuje ich do własnych celów. Zabija bez wahania i bez cienia wyrzutów sumienia. Tak, to właśnie „diabeł, który przybrał ludzką postać”.

W odróżnieniu od cyklu o Hannibale, gdzie to potwór przesłania wszystko inne, w powieści „Cari Mora” Herr Schneider niknie jednak w cieniu mocnej postaci kobiecej. To piękna Kolumbijka wysuwa się na pierwszy plan. Od chwili, gdy ich drogi się skrzyżują, wiemy, że Cari nie będzie dla Schneidera łatwą ofiarą. To ona jest najbardziej udaną kreacją powieści. Schneider zaś wydaje się gorszą wersją Hannibala Lectera – także uwielbia operę i jest smakoszem (również w hm... potwornym znaczeniu tego słowa), jednak jego seksualne obsesje wskazują od razu na słaby punkt demonicznego przeciwnika. Żądza kroczy przed upadkiem.

„Cari Mora” jest więc powieścią dużo bardziej konwencjonalną od pamiętnego „Milczenia owiec”, ale wciąż dziełem wytrawnego gawędziarza, bo Harris pisze ładnie. „Harris w wersji light”, chciałoby się powiedzieć. Na miejscu pro-

ducentów z Hollywood już ustawiałbym się w kolejce po prawa do ekranizacji. Najlepsze partie książki to kolumbijskie retrospekcje o wcześniejszych losach Cari, ale i reszta to niezła robota.

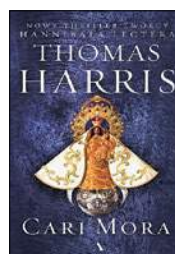
PAN EMERYT

W wywiadzie dla „The New York Times” mówił: „Chciałem wynaleźć się na nowo”. Pokazał, że potrafi, choć oczywiście nigdy nie będziemy w stanie spojrzeć na wymyślonych przez niego złoczyńców bez przypomnienia sobie Hannibala Lectera. Sam wywiad, który ukazał się w maju tego roku, był nie lada sensacją. Harris przez dekady trzymał się z dala od dziennikarzy i pilnie strzegł swego życia prywatnego. Dzisiaj uchylił rąbka tajemnicy.

78-letni pisarz mieszka na Florydzie. Sąsiedzi nie wiedzą, kim jest, co napisał. To po prostu kolejny siwowłosy emeryt, który lubi siedzieć w ogródku, patrzeć na zatokę, wystawiać twarz ku słońcu. Od 1999 r. pracuje jako wolontariusz w Pelican Harbor Seabird Station, placówce ratującej dzikie ptaki. Pracownicy stacji dopiero kilka lat temu dowiedzieli się, że ich współpracownik to „ten Thomas Harris”. Alexandra Alter opisała pokrótce jego zwyczaje – nie ma w nich nic niezwykłego. Od ósmej rano do drugiej po południu pisze. Czasem ręcznie, gdy utknę na jakimś akapicie. Lubi gotować, trochę rysuje, zaprasza na kolacje przyjaciół.

Nie jest odludkiem, który odwrócił się od rzeczywistości. Trzyma rękę na pulsie. Swoje niezadowolenie okazuje w książce bardzo dyskretnie. Głównie w dwóch sprawach: polityki migracyjnej obecnej administracji amerykańskiej oraz tego, jak ludzie traktują przyrodę. Unika fanów, bo są męczący. Wywiadów od dawna nie udziela, bo uważa, że jego książki radzą sobie świetnie i bez tego (ma rację).

Szczęśliwy człowiek, po którym nie widać, by jego głowę zamieszkiwały demony. Cóż, wyrzucił je i zamknął w książkach. Teraz są naszym zmar-twieniem. A jednak Thomas Harris przeraża. W chwili, gdy mówi nowojorskiej reporterce: „Ja niczego nie zmyślam. Wszystko, o czym piszę, w taki czy inny sposób wydarzyło się naprawdę”.



★★★★★
THOMAS HARRIS
„CARI MORA”
AGORA 2019

sca poświęcono manewrom przestępców próbujących przechytrzyć się nawzajem w pogoni za skarbem Escobara. Pytanie „Gdzie?” szybko zostaje zastąpione przez „Jak?”, bo kolumbijski boss narkotykowy zabezpieczył swój sejf wymyślną pułapką – kto spróbuje sforsować stalowe drzwi, ten wyleci w powietrze.

ZŁO KLASYCZNE

Wiele partii opowieści przypomina kryminały Elmore’a Leonarda, innego amerykańskiego klasyka, który pozostawił po sobie w amerykańskiej literaturze celne portrety rozmaitej klasy rzeźmieszków i świetne dialogi (z czego zresztą obficie korzysta Hollywood) i wybierając miejsca akcji, nie omijał Florydy. Z kolei postać Hansa-Petera Schneidera skonstruowana została według klasycznych wzorów pięknie zanalizowanych kiedyś przez Umberta Eco w książce „Superman w kulturze masowej”. Eco rozłożył na czynniki pierwsze powieści Iana Fleminga o Jamesie Bondzie, wskazując kluczowe elementy budowy czarnego charakteru.

„Czarny Charakter [pisownia oryg. – przyp. P.G.] przychodzi na świat w strefie etnicznej rozciągającej się od Europy Środkowej poprzez kraje słowiańskie

Kandydaci na włoskich Matejków



Wiesław Chelminiak z Forlì

Sztuka pomogła stworzyć naród. Jednak nie ta oficjalna, powstająca na zamówienie państwa, lecz młoda i zbuntowana

Trzeba bezgranicznej wiary w siebie, by praktykować malarstwo po Raffaelu, Tycjanie i Caravaggiu, rzeźbę po Michale Aniele i Canovie, architekturę po Brunelleschim i Berninim. W XIX stuleciu mieszkańcom Italii tej wiary, podszytej bezczelnością, zabrakło. Przejęci ideą jedności i niepodległości, odpuścili kulturę, przestali być narodem dającym światu genialnych artystów. Z tą opinią polemizują kuratorzy wystawy „Ottocento. Sztuka włoska od Hayeza do Segantiniego”.

W wieku pary i elektryczności przybysze z Paryża, Londynu, Berlina czy Wiednia postrzegali Półwysep Apeniński jako wielkie muzeum. Zachwytem nad osiągnięciami dawnych mistrzów zwykle towarzyszyły narzekania na współczesnych Włochów, którzy jakoby popadli w barbarzyństwo, kicz i banał. Aż tak źle jednak nie było. Rodacy Leonarda, zapatrzeni w akademickie wzory, przegapili moment, w którym podstawowym kryterium oceny sztuki stało się jej nowatorstwo. Nie stracili jednak talentu i wyobraźni. Wystawa, będąca przeglądem artystycznych dokonań Włochów od romantyzmu do futuryzmu, od zjednoczenia do I wojny światowej, świadczy na ich korzyść.

ITALIO, WSTAŃ Z KOLAN!

Forlì nie jest perłą Emilii-Romanii. Turysci wolą zaglądać do pobliskiej Faenzy, gdzie oprócz zwyczajowych atrakcji w postaci omszałych kościołów i pałaców wabi światowej sławy muzeum ceramiki. Główny plac miasta, które przez większą część swej historii znajdowało się pod władzą legatów papieskich, nosi imię rewolucjonisty Aurelio Saffiego.

Umieszczenie popiersia tego pana w gronie głównych protagonistów epoki jest, jak się wydaje, ukłonem autorów wystawy w stronę gospodarzy. Zwłaszcza że wizerunków ludzi kultury jest tu znacznie więcej niż polityków. Królują muzycy, na czele z Verdim. Skomponowa-



Gwiazdą pierwszej, „romantycznej” części wystawy jest Francesco Hayez. Na zdjęciu: obraz jego autorstwa z 1859 r. – „Pocahunek” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

na przezeń pieśń „Va, pensiero” uchodziła za hymn Włoch, zanim takie państwo pojawiło się na mapie.

Z ludzi pióra rzuca się w oczy Alessandro Manzoni, wykuty w marmurze. Autor historycznej rozprawy o germańskich Longobardach, którzy we wczesnym średniowieczu gnębili lud włoski (czytelnicy dobrze wiedzieli, kogo tak naprawdę profesor ma na myśli), parał się również poezją, serca rodaków zaś podbił powieścią „Narzeczony”. Akcja rozgrywała się w Lombardii w czasach hiszpańskiej okupacji. Można powiedzieć: Lelewel i Sienkiewicz w jednym. Kiedy Manzoni umarł, Verdi napisał na jego cześć „Requiem”.

W tamtych czasach jechaliśmy z Włochami na jednym wózku, dzieląc się zaszłoną sławą mącieli ładu europejskiego i nałogowych konspiratorów. Oprócz wiary katolickiej łączyła nas chęć obalenia porządku ustanowionego na kongresie wiedeńskim. Radykałom Garibaldiego nieobcy był też mesjanizm. Uważali, że przeznaczeniem narodu, który wydał tylu geniuszy, jest zmiana świata.

Żle przygotowane, samobójcze de facto zryw rewolucyjne przysparzały

sprawie wciąż nowych męczenników. Polacy, wierni zasadzie „Za wolność naszą i waszą”, przelewali krew w intencji zjednoczenia Italii. Artyści nie mogli stać z boku, wielu z nich zaciągało się w szeregi wyzwolenczej armii.

JAK ROZŚMIESZYĆ GIOCONDE

Kandydatów na włoskich Matejków było kilku. Co ciekawe, z narodowej przeszłości wybierali epizody nie tyle chwalebne, ile dramatyczne. „Zemsta Poppei”, „Nieszpory sycylijskie”, „Śmierć Giovanniego Marii Viscontiego”, „Ostatnia godzina wolności Sieny” – tytuły mówią same za siebie. Obraz Gaetana Previatiego „Cesare Borgia w Kapui” można uznać wręcz za polemikę z historykami, którzy chcieli widzieć w awanturczym synu papieża prekursora risorgimenta (czyli zjednoczenia Włoch).

Jego koledzy nie wznosili się ponad poziom anegdoty. Mediolańczyk Francesco Valaperta namalował Rafaela w objęciach Fornariny. Cesare Maccari ze Sieny zawierzył plotce puszczonej w obieg przez Vasarięgo. Jak Leonardo rozbawił Giocondę? Otoczył ją grupą młodzieńców: jeden gra, drugi śpiewa,

trzeci trzyma małpę na smyczy. Na usta modelki wkrada się kokieterijny uśmiešek, który mistrz, nie zwlekając, utrwała dla potomnych.

Gwiazdą pierwszej, „romantycznej” części wystawy jest Francesco Hayez. Największy autorytet moralny, Giuseppe Mazzini, pasował go na malarza narodu. Hayez, po ojcu Francuz, po matce Weneccjanin, trzymał się jednak własnego kursu. Inspiracji szukał w Biblii i u Szekspira. Za jego artystyczny testament uchodzi epickie „Zniszczenie świątyni jerozolimskiej”, otwarcie wyrażające wstręt do wojny i fanatyzmu. Na logo wystawy kuratorzy wybrali jednak „Ruth”. Młoda kobieta, na wpół obnażona, jedną ręką ścisła kłosa jęczmienia, drugą wykonuje zapraszający gest. Nie dziwota, że właściciel pola wziął Moabitkę za żonę, grono fanów Hayeza zaś stale rośnie, gdyż płócienn utrzymywanych w zmysłowo-melancholijnej stylistyce pozostało po nim sporo.

NARODZINY NARODU

Na piętrze zwiedzających wita bitewny zgiełk. Bersalierzy atakują, trójkolorowy sztandar dumnie powiewa na wietrze, wrogowie w niepraktycznych

REKLAMA

Prestige
MJM

REGENT
WARSAW HOTEL

Radio
złote przeboje

wprost

DO RZECZY

onet

VIXON
RADIO

PRESS
SERVICE
monitoring mediów

pap



Obraz Gaetana Previati „Cesare Borgia w Kapui” można uznać wręcz za polemikę z historykami, którzy chcieli widzieć w awanturniczym synu papieża prekursora risorgimenta (czyli zjednoczenia Włoch) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ białych mundurach padają jak muchy lub proszą o pardon. Polityka historyczna młodego włoskiego państwa była prosta, malarze zaś uważali gloryfikowanie heroizmu rodaków za swój patriotyczny obowiązek. Tacy bracia Induno śmiało mogliby stanąć w jednym szeregu z naszymi Kossakami. Giovanni Fattori już nie bardzo: z apologety wojny wyzwolitej stał się sceptykiem. Jego obraz „Strzeżenie”, ze spłoszonym koniem, który wlecze zwłoki żołnierza, zostawiając krwawy ślad na kamieniach, na długo zepsuł humor królowej Marghericie.

Polakom zaimponował sukces włoskich rewolucjonistów. Ci jednak mieli do czynienia tylko z jednym zaborcą – pogrążonym w kryzysie cesarstwem Habsburgów, a zwyciężyli dopiero wówczas, gdy w sukurs przyszły im wojska Napoleona III. Społeczne realia Italii niewiele odbiegały wówczas od porządków panujących nad Wisłą. Liberalna elita, konserwatywny Kościół, wyspy bogactwa otoczone morzem nędzy, rozwijające się miasta i zacofana wieś. Chłopi – analfabeci stanowiący przeważającą część ludności – nie identyfikowali się z narodem.

„Teraz, kiedy stworzyliśmy Włochy, musimy stworzyć Włochów” – oświadczył Massimo d’Azeglio, premier, malarz i literat. To przedsięwzięcie było zbyt ambitne, by pozostawić je politykom. Tożsamość mieszkańców słonecznej Italii w dużym stopniu zbudowana była na kulturze. Teraz należało tylko przełamać partykularyzmy. Sprawić, by piszącego w tokańskim dialekcie Dantego uznali za swojaka także mieszkańcy Neapolu oraz Wenecji.

Spodziewano się, że współcześni artyści zdołają nawiązać do wspaniałych tradycji. Już w 1861 r. w tymczasowej stolicy państwa, we Florencji, urządzono wielką wystawę nowej sztuki. Pięćdziesiąt lat później w podobnym stylu

uczczono półwiecze jedności Włoch. Najlepsze dzieła z tych ekspozycji można teraz podziwiać w Forlì.

ŻYJEMY W DOMU WARIATÓW

Euforia trwała krótko. Niepodległość nie stała się panaceum na społeczne nierówności, korupcję, fiskalizm, drożyznę i biurokrację (skąd my to znamy?). Italia dostarczała taniej siły roboczej lepiej rozwiniętym krajom Europy. Reakcją wiesniaków na brak perspektyw i powracające widmo głodu była masowa emigracja za wielką wodę. W tej sytuacji do głosu zaczęli dochodzić artyści porzucający akademickie konwencje na rzecz realizmu i szukania nowych form ekspresji.

Lider grupy tokańskich macchiaioli (malarzy płam) Telemaco Signorini celował w tematach niemiłe widzianych w salonach. Rozstawiał sztalugi na ulicach, w więzieniach i zakładach dla umysłowo chorych kobiet. Ozdobą wystawy jest „Ścieżka nad brzegiem” z 1864 r. Oto pięciu robotników z wysiłkiem ciągnie niewidoczną barkę, starając się nadążyć (bezsukutecznie) za jej właścicielem, dżentelmenem w cylindrze, jego córeczką i kudłatym pieskiem. Obraz długo uchodził za zaginiony, wypłynął 16 lat temu na aukcji w Londynie, z miejsca osiągając cenę niemal 3 mln funtów. Choćby tylko dla niego warto było pofatygować się do Forlì.

Eskapizm wyrażał się w sztuce tego okresu przede wszystkim w opiewaniu nietkniętego przez cywilizację włoskiego pejzażu. Rzecz jasna, od artystów zainteresowanych egzystencją niższych sfer lepiej zarabiali tacy, którym nie przeszkadzała nowobogacki glamour. Kolejny dział wystawy poświęcono zadowolonym z siebie elitom, okupującym teatralne łóża, modne kawiarnie, restauracje i kurorty.

Zwiedzający najliczniej gromadzą się przy rzeźbionych i malowanych konterfektach celebrytek belle époque. Sycylijska arystokratka Franca Florio (którą olśniony cesarz niemiecki Wilhelm II nazwał gwiazdą Italii), wenecka contessa Anna Maria Rombo Morosini, gwiazda niemiego kina Lyda Borelli, królowa teatralnych scen, „boska” Eleonora Duse, uśmiechają się zalotnie do obecnych i przyszłych fanów.

ZWYCIĘSKIE KROWY

Długi wiek XIX dobiegał końca, gdy do głosu doszła generacja buntowników i wizjonerów. Estetyczna rewolucja wyprzedziła polityczną, bo Italię wciąż rządziła plutokracja zblatowana z urzędniczą mafią. Manifest futurystów – ogłoszony, co znamienne, w Paryżu – optował za „gorączkową bezsennością, niebezpiecznym skokiem i uderzeniem pięścią”. Młodzieńcy Umberto Boccioni i jego koledzy chcieli swoją sztuką wyrażać zarazem nowoczesną cywilizację oraz stany wewnętrzne człowieka.

Autorzy ekspozycji postawili jednak na artystę osobnego. Dywizjonista Giovanni Segantini wielkomiejskiego pędu nie lubił. Zaszły się na prowincji, by malować stada krów pasących się na alpejskich halach. Żył tylko 41 lat, ale zdążył poznać smak sukcesu. Dzisiaj największą kolekcję dzieł Segantiniego można obejrzeć w Sankt Moritz – mieście milionerów.

„Ottocento” kończy się więc optymistycznie: świat znów docenił twórców z Italii. Sprawdziła się przepowiednia Adama Mickiewicza, wygłoszona ustami Telimeny: „Włochy były, są, będą ojczyzną malarzów”. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Ottocento. L’arte dell’Italia tra Hayez e Segantini” w Musei San Domenico w Forlì była otwarta do 16 czerwca.



FOT. WIKI-MANAGERS/PRIMAVERA SOUND

Katalońska Primavera Sound wystartowała w 2001 r. Od piątej edycji festiwal odbywa się w Parc del Fòrum, na gigantycznym betonowym terenie targowo-ekspozycyjnym usytuowanym nad brzegiem Morza Śródziemnego.

Pierwszy z letnich europejskich festiwali muzycznych poraża rozmachem. Impreza odbywa się na 18 scenach, główny program trwa od godz. 14 do 6 rano dnia następnego, a przez cztery dni przewija się przez imprezę do 200 tys. widzów. Jednak sama muzyka nie jest dziś wyznacznikiem popularności imprez plenerowych. Liczy się uczestnictwo, bo ta wakacyjna wspólnota młodych ludzi jest współczesną ucieczką ku wolności.

W 11-dniowym, amerykańskim Milwaukee Summerfest uczestniczy około miliona widzów. Nasz Przystanek Woodstock jest na drugim miejscu wśród najpopularniejszych festiwali (w 2014 r. było tam 750 tys. widzów), tyle że jest to impreza niebiletowana. Najstarszym czynnym rockowym festiwalem jest holenderski Pinkpop, który odbywa się regularnie od 1970 r. Natomiast za najbardziej prestiżowe uchodzą w Europie duński Roskilde i angielski Glastonbury.

Primavera Sound należy do najważniejszych europejskich

Nie panikujcie! Jesteśmy z Polski



Grzegorz Brzozowicz

W Barcelonie na przełomie maja i czerwca rozpoczął się coroczny szal letnich festiwali muzycznych. W głównym programie Primavera Sound wystąpiło ponad 300 wykonawców i DJ-ów, w tym trzy zespoły z Polski

festiwali, ale jeśli chodzi o sam program, to nasz Open'er jemu nie ustępuje. W tym roku gwiazdami byli: Erykah Badu, Suede, Miley Cyrus, Tame Impala, Interpol, NAS i Rosalia. A jednak z polskiej perspektywy barceloński festiwal jest jednym z najważniejszych. Jako impreza promująca

przede wszystkim wykonawców sceny alternatywnej był wzorcem choćby dla katowickiego OFF Festivalu. I nie jest to przypadek, bo na Primavera spotykają się obserwatorzy z najważniejszych festiwali promujących nowe trendy.

Od dziewięciu lat z imprezą związany jest Instytut Ada-

ma Mickiewicza. W ramach programu „Don't Panic! We're from Poland” (Nie panikujcie! Jesteśmy z Polski) promuje na Primavera Pro, imprezie towarzyszącej festiwalowi, naszych wykonawców. W pierwszych latach nasza aktywność w Barcelonie ograniczała się do prezentacji artystów na showcase'owej scenie Adidas Pro. Od 2014 r. polscy wykonawcy występują w prestiżowym klubie Apolo przed ponad półmilionową widownią, a od czterech lat grają dodatkowo w ramach głównego festiwalu.

To dzięki „Don't Panic!” na zachodnich rynkach pierwsze kroki stawiali zespół Trupa Trupa oraz Tomasz Biliński jako Perfect Son, Michał Obara i Zamilska. Pierwsze dwa zespoły nagrały albumy dla legendarnej amerykańskiej wytwórni Sub Pop (wypromowała Nirvanę), a Obara ma album ze znakiem renomowanej jazzowej firmy ECM.

W tym roku na scenie „Night Pro”, umiejscowionej zaraz za głównym wejściem na festiwal, zaprezentowały się zespoły Tęskno, Lonker See oraz Aleksandra Grunholz. Była to bardzo ciekawa propozycja szczególnie ze względu na muzyczną różnorodność – od współczesnej piosenki autorskiej przez nu-jazz do awangardowej elektroniki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Krzysztof Halicz: Na platformie Instytutu ogłaszamy nabór na dany festiwal. Wykonawcy aplikują, wstawiając materiały o sobie, w tym linki z występami. Najwięcej zgłoszeń, ok. 80, przyjmujemy na targi showcase'owe Eurosonic w Holandii i Reeperbahn w Hamburgu. W przypadku Primavera przygotowujemy listę 20–30 wykonawców, z których organizatorzy wybierają trzech. Alberto, dyrektor artystyczny Primavera, ma słabość do polskiego heavy metalu. IAM pokrywa koszty przelotu i noclegów oraz an-

gażuje tutejszą agencję promocyjną. Podczas prezentacji artyści dają 30-minutowe koncerty, uczestniczą w panelach, mają tam dostęp do stref networkingowych. My inicjujemy spotkania, ale to artysta musi mieć inicjatywę. Przy czym występ na Primavera jest mocnym punktem w CV zauważalnym na całym świecie.

Rolą programu „Don't Panic! We're from Poland” jest dostarczanie narzędzi pozwalających polskim artystom na budowanie pozycji na rynkach zagranicznych. Dzięki Instytutowi

Adama Mickiewicza zaprezentowało się przeszło 300 wykonawców na ponad 500 wydarzeniach w 21 krajach. Marka DPWFP jest obecna na międzynarodowych konferencjach, targach muzycznych (Jazzahed!, WOMEX) i imprezach networkingowych. Z drugiej strony IAM współorganizuje w Polsce panele dyskusyjne, warsztaty, wykłady i konferencje poświęcone zasadom działania biznesu muzycznego na świecie. Priorytetem jest szkolenie młodej kadry menedżerów muzycznych, promotorów i wydawców.



FOT. MATERIAL Y PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMNIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Dziewczyny wołają ideowców



★★★★★

REŻ. LARS KRAUME
„MILCZĄCA REWOLUCJA”
 („DAS SCHWEIGENDE KLASSENZIMMER”)
NIEMCY 2018

wyst. Leonard Scheicher,
 Tom Gramenz,
 Lena Klenke

Uzależnienie od historii to choroba, na którą nie wymyślono jeszcze lekarstwa. Chorzy tracą kontakt z rzeczywistością, psują sobie wzrok, ślęcząc nad pożółkłymi ze starości książkami i gazetami. Kręcą ich rocznice wydarzeń, które zdrowych ludzi zgoła nie obchodzą. W cięższych przypadkach grzebanie się w przeszłości ma charakter permanentny. Lars Kraume mógł poczekać z „Milcząca rewolucja” chociaż do jesieni, gdy obchodzone będą 70. urodziny NRD. Nie wytrzymał.

O prawdziwej naturze „państwa chłopów i robotników” świadczy szkolny incydent z jesieni 1956 r. Uczniowie jednej z klas maturalnych uczcili wówczas dwoma minutami milczenia poległych węgierskich patriotów. Władza, dla której powstań-

cy z Budapesztu byli faszystami, wpadła w szal. Kraume dodatkowo rzecz udratyzował i przeniósł akcję do Stalinstadt (dawniej i obecnie Eisenhüttenstadt).

Dyrektor szkoły, były parobek, który na każdą okazję ma jakieś rolnicze przysłowie, rad by zignorować protest, lecz inni towarzysze są bardziej czujni. Do akcji wkracza kuratorium, a kiedy czarną wołgą przyjedzie na inspekcję sam minister oświaty, staje się jasne, że „ognisko kontrewolucji” zostanie brutalnie zgaszone, zaś prowodyrzy buntu – zdemaskowani i przykładnie ukarani.

A druga strona? 18-latkom podoba się myśl, by „wysłać ruskich do domu”, lecz w domach wbito im do głów, że czas bohaterów minął. Szczytem odwagi jest więc rzucić orzeszkiem w sołdata

w knajpie. Wierzą w socjalizm, ale już nie w kłamstwa komunistycznej propagandy, gdyż słuchają zachodniobrzeńskiego radia. Poza tym – jak to młodzi – popalają papierosy, piją wino i całują się po kątach (Kurt i Theo rywalizują o względy tej samej dziewczyny).

Polskie pokolenie '56 było podobne: też chciało się bawić, współczuło Węgrom i sprzyjało idei socjalizmu „bez wypaczeń”. Pokoleniowy konflikt idealistów z konformistami, gotowymi dostosować się do reguł systemu, nad Wisłą miał jednak łagodniejszy przebieg. Po śmierci Stalina władcy PRL zaniechali przypierania społeczeństwa do ściany. Po zachodniej stronie Odry człowiekiem myślącym zbyt samodzielnie otrzymywał prosty komunikat: zostaniesz donosicielem albo cię zgnoimy. Większość wybrała ucieczkę na Zachód.

Poprzedni film Kraume „Franz Bauer kontra państwo” o prokuratorze, który postanowił tropić nazistowskich zbrodniarzy (choć naród sobie tego wcale nie życzył), trochę raził plakatowością. „Milcząca rewolucja” wydaje się wiarygodniejsza w opisie uwikłania bohaterów. Tylko Edgar – wujek dobra rada – to postać z innej bajki. Tęczowej bajki. ©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „OSZUSTKI”

Trzecia wersja historii, którą w roku 1964 przyniósł film „Opowieść do poduszki” z Marlonem Brando i Davidem Nivenem. Drugą był film „Parszywe dranie” (1988). Teraz zamiast dwóch panów złodziejasków dostajemy dwie specjalizujące się w przekrętach panie (Anne Hathaway i Rebel Wilson), które próbują się nawzajem

przechrztyć w wyścigu po pół miliona dolarów z kieszeni pewnego bogacza. Wakacyjny sezon komedii uważam za otwarty. ©

Piotr Gociak

• „Oszustki” („The Hustlers”), reż. Chris Addison, wyst. Anne Hathaway, Rebel Wilson, Alex Sharp, USA 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Ma”, reż. Tate Taylor, USA 2019
- „Laleczka” („Child’s Play”), reż. Lars Klevberg, USA 2019
- „Petro”, reż. Jaime Rosales, Hiszpania/Francja 2018
- „Kobieta idzie na wojnę” („Kona fer i strid”), reż. Benedikt Erlingsson, Islandia/Francja 2018

Spalona słońcem

Dwunasta odsłona cyklu o X-Menach. Tym razem nasi sympatyczni mutanci naparają się z kosmicznymi pożeraczami ciał, zamierzającymi odbudować swą rasę na Ziemi. Ludzie, jak to ludzie – zamiast wdzięczności okazują im czarną niewdzięczność, co daje pretekst do przypomnienia, że Hollywood w walce o prawa odmienców i społecznie wykluczonych stoi po jedynej słusznej stronie.

Centralną postacią uczyniono nastolatkę, która ma dar telepatii, lecz nie bardzo potrafi go kontrolować. Jej destrukcyjne skłonności ulegną zwielokrotnieniu, gdy nawiąże zbyt bliski kontakt ze słońcem. Kryzys tożsamości, pokusa zemsty, bunt przeciw przyszywanej

rodzinie – to wszystko już było, więc znudzonemu widzowi pozostaje kontemplować efekty specjalne.

Co tu kryć, formuła się wyczerpała i nawet wychowani na komiksach Marvela zdają sobie z tego sprawę. Premierę filmu przekładano,

by dokonywać kolejnych poprawek. Żegnamy się z weteranami (Wolverine nie pojawia się na ekranie w ogóle), ale kłopot w tym, że młode pokolenie jest nijakie, zaś przyszłość mglista. „Zmieńmy nazwę na X-Woman, bo kobiety wykonują większą część roboty” – mówi wkurzona Mystique. Niestety, na feministycznym paliwie gdzie już konkurencja. Zapowiadani „Nowi mutanci” mogą się okazać gwoździem do trumny. ©©

Wiesław Chełmniał



★★★★★

REŻ. SIMON KINBERG
„X-MEN: MROČNA PHOENIX”
(X-MEN: „DARK PHOENIX”)
USA 2019

wyst. Sophie Turner,
 James McAvoy,
 Jennifer Lawrence



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TRAGICZNA HISTORIA FAUŚCIKA

Początek XX stulecia. Skazany za zabójstwo młodej dziewczyny lekarz zostaje w ostatniej chwili ułaskawiony i zamiast na strzykawkę trafia na Sybir. Po latach ucieka z katorgi i szuka schronienia w monarchii austro-węgierskiej. Wykorzystując medyczne talenty, znajduje posadę w armii, jednak bardziej od dbania o zdrowie żołnierzy i prostytutkę zajmują go eksperymenty nad eterem. W substancji tej widzi drogę do panowania nad ludźmi, do budowy nowego świata na gruzach starego. Zanussi próbuje raz jeszcze opowiedzieć historię Fausta, ale przynudza: bohaterowie nie rozmawiają, lecz wygłaszają banalne deklaracje. Bezbożność odbiera życiu sens, wiemy to dobrze, ale równie dobrze wiemy, że pretensjonalność zabija kino. Doktor grany przez Jacka Poniedziałka jest zwyczajnie odrażający, więc miejsca na tragedię tu nie ma. A na końcu reżyser serwuje nam dodatkowe pół godziny filmu objaśniające łopatologicznie, co wydarzyło się przez pierwsze półtorej godziny. Kuriozum.



★★★★★

REŻ. KRZYSZTOF ZANUSSI
„ETER”
POLSKA/
UKRAINA 2019,
DYSTR. AGORA

wyst. Jacek Poniedziałek, Andrzej Chyra,
 Ostap Vakuliuk, Maria Riaboshapka

DZIECIAKI KONTRA OBCY

Sztandarowa premiera Netflixu na Dzień Dziecka okazała się fiaskiem bardziej spektakularnym od wypadków oglądanych na ekranie, a jest to inwazja obcych, którzy zamierzają unicestwić ludzką cywilizację. Zrządzeniem losu klucz do odparcia najeźdźców trafia w ręce czworga dzieciaków z letniego obozu, które muszą ów klucz dostarczyć w odpowiednie miejsce. Popłuczyny po Spielbergowskim kinie lat 80. zostały tu wymieszane z klimatami niby w stylu serialu „Stranger Things”. Komandosów bijących się z obcymi pożyczono zapewne z filmu „Inwazja: Bitwa o Los Angeles”, ale tamci dawali sobie z wrogiem radę dużo lepiej. Oryginalności za grosz, dialogi drugorzędne, sporo scen urągających logice. Reżyserem tego miszmaszu jest kryjący się za pseudonimem McG Joseph McGinty Nichol, twórca takich filmów jak „Terminator: Ocalenie” czy „Aniołki Charliego 2: Zawrotna szybkość”. Co wiele wyjaśnia. ©©



★★★★★

REŻ. MCG
„NA KRAŃCU ŚWIATA” („RIM OF THE WORLD”)
USA 2019,
DYSTR. NETFLIX

wyst. Jack Gore, Miya Cech, Benjamin Flores Jr.

recenzuje Piotr Gocięk

GRA TYGODNIA: „WARHAMMER: CHAOSBANE”

Chociaż komputery osobiste i konsole w ostatnich latach załapała seria gier osadzonych w realiach Warhammera, to takiej jeszcze nie było. Mowa o „średniowiecznej” wersji uniwersum, przełożonej na język nieustannej akcji, w produkcji przypominającej klona „Diablo III”. W obronie Imperium przed

siłami Chaosu możemy pokierować czterema klasami bohaterów: krasnoludem, elfem-lucznikiem, magiem i rycerzem. „Chaosbane” zdaje egzamin z płynności, dobrego systemu walki, ze zróżnicowanych wrogów, z czarów oraz broni. Kuleją nieco fabuła i niezbyt pasujące głosy



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

głównych bohaterów. Solidny tytuł na kilka weekendów. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Hack'and'Slash
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** EKO Software/CDP
- **Klasyfikacja PEGI:** 18+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Emerytura Sándora Máraia

W przekładzie Teresy Worowskiej ukazał się czwarty tom „Dziennika” Sándora Máraia, najważniejszego dzieła tego światnego węgierskiego prozaika, eseisty i poety. Tom obejmuje lata 1967–1976, czyli włoski okres w życiu pisarza, który po przejściu na emeryturę powrócił wtedy właśnie z Ameryki na Stary Kontynent. Oczywiście nie na Węgry, które opuścił w 1948 r., ani – tym bardziej – do rodzinnych Koszyc (wtedy Kassa), gdzie przyszedł na świat w 1900 r. jako Sándor Grosschmid w wywodzącej się z Sasów rodzinie patrycjuszowskiej. Jego ojciec był prawnikiem, po I wojnie światowej senatorem Koszyc w parlamencie praskim. Rodzina przyszłego autora „Żaru” już w wieku XIX całkowicie się zmadziarzyowała.

Z Ameryki, dokąd miał jeszcze powrócić, w roku 1980, i gdzie umrze dziewięć lat potem, strzelając sobie z pistoletu w głowę, wyjeżdżał z niej jakąś ulgą. „Napisałem i nagrałem na taśmę ostatni wykład – odnotowywał – który jeszcze wysłę do Wolnej Europy. Nie chcę się już dalej tym zajmować. To było wielkie zadanie, z ciekawym i bolesnym początkiem. A potem zrobił się z tego głupi i ordynarny przemysł. Wystarczy: trwało to i tak dłużej, niż powinno”. Dla RWE napisał ok. 1 tys. felietonów, a w lutym 1967 r. pokwitował pierwszy czek emerytury – 126 dolarów i 30 centów. Suma mało może imponująca, ale Máraia, jak pisał, stać było na to, by żyć skromnie. W innym miejscu wyliczał, że miesięcznie na mieszkanie, telefon, obsługę, gaz, światło i utrzymanie wydawali z żoną 145 dol., a Lola też wypracowała sobie świadczenie emerytalne. W każdym razie przyjeżdżając do Włoch, mieli na koncie 5 tys. dol., co wydawało im się sumą więcej niż przyzwoitą, i tak pewnie było w istocie, głównie dlatego, że w Sa-



FOT. LERAGE/IST NEWS

lerno koło Neapolu mieli mieszkanie odkupione jakiś czas temu od wuja Loli, Lajosa.

Za Ameryką będą dopiero tęsknić. Na razie Sándor Márai bez żalu żegna się z ludźmi, których niewychowanie go razi („W tutejszej nieobyczajności najczęściej nie ma złej woli, po prostu nie umięją inaczej, tak zostali wychowani”), ze społeczeństwem, dla którego pieniądź nie jest wyłącznie środkiem płatniczym, lecz miarą wartości człowieka, z narodem, z którym nie znajdował wspólnego mianownika kulturowego. „Poza Węgry – powiada Teresa Worowska – jedynym krajem, w którym bez wątpienia odczuwał tę wspólnotę, były Włochy”.

Polityka w dzienniku Máraia jest obecna przede wszystkim w tych miejscach, gdzie dotyka problemów ludzkiego sumienia. Co nie znaczy, że nie reagował on na bieżące wydarzenia. I to jak! Po inwazji państw-członków Układu Warszawskiego na Czechosłowację w sierpniu 1968 r. napisał tak: „Podobno Dubczek, kiedy go aresztowano i wleczono na moskiewskie negocjacje, krzychał: »I ja na to zasługuję, ja, który przez całe życie służyłem Związкови Radzieckiemu...?«. Tak, zasłużył sobie na to”.

A już wcześniej wykazał się przenikliwością, stwierdzając: „Kommunizm upadł, i to w każdym sen-

sie tego słowa. Ale od komunistów trudno będzie się uwolnić, bo nikt nie jest tak uparty i niebezpieczny jak beneficjent upadłej idei, który już nie jej broni, lecz własnego życia i łupu”.

Czyni również Márai uwagi na marginesach swoich lektur. Między innymi z podziwem odczytuje na nowo Conrada, a w „niezwykle prostackim” piśmie „Time” trafia na duży materiał poświęcony autorowi „Folwarku zwierzęcego” i „Roku 1984”.

I powiada tak: „Orwell zmarł w 1950, mając czterdzieści sześć lat, w wielkiej biedzie, ponieważ nie miał zamiaru odgrywać żadnej roli w sektach lewicowej inteligencji angielskiej (za swoje sławne książki otrzymał wszystkiego sześćdziesiąt dolarów zaliczki). Zrobili z niego »politycznego pariasa«, bo śmiał powiedzieć, że »nie ma żadnej różnicy pomiędzy męskimi prostytutkami z Trafalgar Square i inteligentnymi prostytutkami z BBC«, ponieważ inteligencja lewicowa odeszła od chrześcijaństwa, ale nie stała się humanistyczna”.

„Dziennik” w sumie liczy pięć tomów i fragmenty niepublikowane w edycjach emigracyjnych oraz pośmiertny tom szósty, niezwykle studium starości i miłości. Złożyły się nań trudne do odczytania zapiski półślepego pisarza opiekującego się niewidomą, chorą na raka żoną. Przeżyje ją o trzy lata, w tym samym czasie umrze też jego brat, a w następnym roku, nieoczekiwanie, przybrany syn pisarza, Janos. A w końcu, 22 lutego 1989 r., i on sam. Jego ostatnia powieść – „Życie Garrenów” – wydana zostanie w Toronto w 1988 r. W następnym roku Węgierska Akademia Nauk reaktywuje jego członkostwo, a w roku 1990 Sándor Márai otrzyma – już pośmiertnie – najwyższą na Węgrzech Nagrodę Państwową im. Kossutha. ©©



★★★★★
SÁNDOR MÁRAI
„DZIENNIK
1967–1976”
CZYTELNIK 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Pan od wykreślenia

Na tle historycznych antytrumpowskich agitek (publikowanych także w polskich przekładach) książka byłego szefa FBI Jamesa Comeya robi wrażenie wyważonej, ale podobnie jak one jest dowodem tego, jak według innych standardów ocenia się Donalda Trumpa, a innych – jego akceptowanych przez establishment przeciwników.

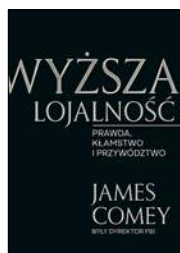
Najciekawsze partie wspomnień dotyczą afery e-maili Hillary Clinton. Comey, który zatytułował swe wyznania „Wyższa lojalność”, opisuje, z jaką troską dbano w śledztwie o to, by, broń Boże, nie skrzywdzić pani Clinton jakimś niefortunnym sformułowaniem wnioskiem czy prawniczym terminem. A w grze był między innymi zarzut „rażące zaniebdanie”. Tyle tylko, że jak odkryto, w roku 1917 skazano na tej podstawie skorumpowanego agenta FBI. Comey osobiście polecił usunąć ten zwrot z pierwszego draftu. Zastąpiono go sformułowaniem „niezwykle nieostrożna”. Brzemienna w skutki zamiana w kraju, gdzie precdensy tak często decydują o wyrokach.

Z jednej strony wypadłoby podziwiać byłego szefa FBI za to, że trzyma się zasady „wątpliwości świadczą na korzyść oskarżonego”. Z drugiej po lekturze jego wersji zdarcie pozostaje wrażenie, jakby lekko paluszkami sam dotykał jednej z szalek wagi. Zresztą sam przyznaje,

że nie jest pewien, czy na jego działania nie wpłynęło to, iż w jego otoczeniu wszyscy (zgodnie z sondażami) przekonani byli, że wyścig o prezydenturę wygra pani Clinton.

Donald Trump tymczasem nie zasługuje już w oczach Comeya na takie same wątpliwości. Jakaż więc jest jego „wyższa lojalność”? I czy naprawdę tylko wobec prawa oraz konstytucji USA? Jest gorzej: sam ma teraz po publikacji raportu Muellera poważne kłopoty. Przyznają to także media, które trudno podejrzewać o sympatię do Trumpa (m.in. świetna analiza w „The Hill”, założonym przez człowieka demokratów Jerry’ego Finkelsteina; sprawdźcie w necie „James Comey is in trouble and he knows it”). Chodzi nie tylko o kwestionowaną bezstronność Comeya, lecz także kontrowersyjne metody stosowane przez FBI w sprawie śledztwa dotyczącego rosyjskich prób wpłynięcia na wybory.

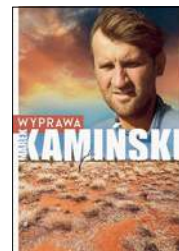
Żałuję tylko, że publikacje zwolenników Trumpa nie są w Polsce tłumaczone i wydawane równie szybko jak jego przeciwników. Samego Comeya żal mi nie będzie. To w końcu facet, który jako szef FBI wygłosił publicznie haniebne słowa zrównujące Polaków i Niemców w udziale w Holokauście. Wtedy jakoś nie czuł potrzeby wykreślenia kontrowersyjnych słów z pierwszego draftu. ©©



★★★★★
JAMES COMEY
„WYŻSZA LOJALNOŚĆ.”
PRAWDA, KŁAMSTWO I PRZYWÓDZTWO
INSIGNIS 2019

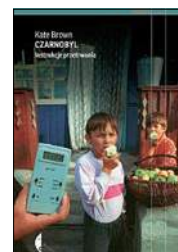
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nowa książka znanego podróżnika-samotnika, ale to nie opowieść o wędrowce na drugi koniec świata, lecz o drodze do poznawania siebie i lepszego, ułożonego życia. Trochę medytacja, trochę autobiografia. Szczere.



MAREK KAMIŃSKI
„WYPRAWA”
MANDO

Za sprawą miniserialu HBO zainteresowanie kulisami atomowej tragedii było w tym roku większe niż w inne rocznice. Książka Brown to opowieść nie tylko o katastrofie i jej ofiarach, lecz także o tym, jak zonglowano prawdą.



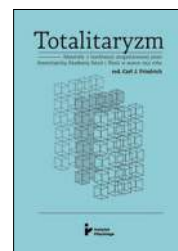
KATE BROWN
„CZARNOBYL. INSTRUKCJE PRZETRWANIA”
CZARNE

Pierwszy tom nowej serii popularnej autorki skandynawskich kryminałów, znanej głównie z sagi o Fjällbace. Thriller psychologiczny o kobiecie, która ma wszystko – to znaczy: tak jej się wydaje. Ale to niejedyny z jej kłopotów.



CAMILLA LÄCKBERG
„ZŁOTA KLATKA”
CZARNA OWCA

Materiały z konferencji z roku 1953 poświęconej zagrożeniu dla wolnego świata ze strony totalitaryzmu. Wśród autorów referatów m.in. George Kennan, w dyskusji brali udział m.in. David Riesman czy Hannah Arendt. ©©



RED. CARL J. FRIEDRICH
„TOTALITARYZM”
INSTYTUT PILECKIEGO

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- 1. Camilla Läckberg „Złota klatka” (Czarna Owca)** – pierwszy tom nowej serii popularnej autorki skandynawskich kryminałów.
- 2. Frederic Martel „Sodoma” (Agora)** – francuski autor książek o kulturze amerykańskiej i gejowskiej o homoseksualizmie w Watykanie.
- 3. Olga Tokarczuk „Prowadź swój pług przez kości umarłych” (Wydawnictwo Literackie)** – wznowienie powieści sfilmowanej przez Holland jako „Pokot”.
- 4. Stephen Hawking „Krótkie odpowiedzi na wielkie pytania” (Zysk i S-ka)** – wprowadzenie w fizykę i kosmologię pióra zmarłego w 2018 r. naukowca.
- 5. Remigiusz Mróz „Kasacja” (Czwarta Strona)** – pierwszy tom cyklu kryminalnego o Joannie Chyłce znów na topie – dzięki serialowi.

(Bestsellery ze strony internetowej sieci księgarskiej MoleMole)

Kroki coraz głośniejsze



FOT. OLA BODNARIUS

Nie są to wyrobnicy wyrzucający z siebie rokrocznie album. Trzeba czekać. Powstali jesienią 2015 r., rok później dali światu siedmioutworową epkę „Stairs”, ciekawie brzmiącą mieszanką inspirowaną jazzem, indie rockiem i soulem z dużą dawką elektroniki. Ich debiutancki materiał został bardzo dobrze przyjęty, doczekał się m.in. nominacji do Fryderyków. Posypały się propozycje koncertowe. Na dniach w sklepach i serwisach streamingowych pojawi się drugi (a w zasadzie pierwszy „duży”) album zespołu Kroki, czyli męskiego trio w składzie: Jaq Merner (wokalista), Szatt (producent) i Paweł Stachowiak (basista).

Można powiedzieć – nie spieszyli się. Jednak przerwa między jednym a drugim wydawnictwem była spowodowana, paradoksalnie, również tym, jak dobrze przyjęto ich pierwszą epkę. – Zagraliśmy ok. 100 koncertów, co utrud-

niało nam wejście w nowy materiał. Poza tym nie chcieliśmy dawać słuchaczom albumu, który w rezultacie mógłby być jedynie kontynuacją „Stairs”. Szukaliśmy nowych rozwiązań – mówią „Do Rzeczy”.

Ich nowy album powstał w dwóch miastach,

w pięciu miejscach. I nie były to jedynie profesjonalne studia nagraniowe. – „Controlled Chaos” to swego rodzaju pamiętnik, który opowiada o niedoskonałych ludziach, przepełnionych skrajnymi emocjami. Niedoskonałość w muzyce staje się dla nas atutem – mówią

nam muzycy. – Rozstrojony fortepian nagrany na przenośny rekorder, partie gitar zarejestrowane poprzez wbudowany mikrofon w laptopie czy same wokale zgrane w kilku miejscach (niekoniecznie były to „sterylne” warunki studyjne), to proste dowody na to, że zależało nam na konkretnych emocjach – dodają.

Jak wyszło? Można już sprawdzić na dwóch singlach, w tym pierwszym polskojęzycznym utworze Kroków pt. „Balon” (tekst napisał Jarek Jaruszewski, znany również jako „Bisz”). Niestety, jest to jedyny nieanglojęzyczny kawałek na liczącym 12 piosenek „Controlled Chaos” (premiera 21 czerwca). A szkoda, bo z polskim im do twarzy. Jednak sam zespół nie wyklucza, że „Balon” to dopiero rozgrzewka przed kolejnymi numerami w rodzimym języku. ©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Trzy powroty do źródeł

Na pierwszej w pełni autorskiej płycie wrocławski kolektyw EABS (Electro-Acoustic Beat Sessions) pisze nową historię polskiego jazzu.

„Slavic Spirits” to album koncepcyjny opowiadający o słowiańskiej duchowości. W załączonym 40-stronicowym eseju menedżer Sebastian Józwiak tłumaczy, jak słowiańskie mity wpływały i wpływają na współczesną kulturę.

Album rozpoczyna „Ciemność” opisująca naszą przedchrześcijańską przeszłość. Słyszymy dźwiękowe żaby, skrzaty, strzygi. Z chaosu stopniowo wyłania się piękny liryczny temat. W kolejnych utworach spotykamy pradawne demony, wspinamy się na świętą górę Ślężę, a w finale witamy wschód słońca. Całość jest opowiedziana językiem

nowoczesnego jazzu ubarwionego folklorystycznymi, dalekimi od cepeliady ozdobnikami. Jednocześnie zespół barwi utwory cytataми z nagrań Niemena, Namysłowskiego, Sławomira Kulpiwicza czy grup Osjan i Laboratorium. Wykonawców, którzy wcześniej mierzyli się z polskim folklorem.

Zachowując szacunek do tradycji, EABS wychodzi poza ramy eksportowego „polish jazzu”. Ta piękna, momentami niepokojąca opowieść jest zgodna z najnowszymi trendami. Liderzy nu-jazzu, brytyjski zespół Sons of Kemet, także inspiracji szuka w pradawnych korzeniach. W tym kontekście udział w nagraniach angielskiego saksofonisty i flecisty Tenderloniousa nabiera dodatkowego znaczenia. ©



★★★★★
EABS
„SLAVIC SPIRITS”
ASTIGMATIC



★★★★★
SANTANA
„AFRICA SPEAKS”
CONCORD

Producent Rick Rubin olśniewająco przetworzył afrykańskie melodie na styl Santany. Gitara Carlosa dawno tak nie lamentowała i nie krzyczała. Hiszpanka Concha Buika zachwyca wokalnymi interpretacjami. Nie spodziewany powrót do formy z lat 70.



★★★★★
PIOTR BARON
„WODECKI JAZZ”
POLSKIE RADIO

Jazzowe wersje piosenek Zbigniewa Wodeckiego (m.in. „Izolda”, „Zaczynaj od Bacha”). Gościnnie wystąpiło troje dzieci trębacza, Sebastian Karpiel-Bułecka zaśpiewał, Tomson zarapował, a Paweł Królikowski zarecytował. Miło i sennie. ©



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNER



PARTNER GALI





FOT. ADRIAN STOK

Eucharystia, czyli cywilizacja



Grzegorz Kucharczyk

Duchowa i intelektualna kondycja naszej zachodniej cywilizacji była (i pozostaje) odzwierciedleniem kondycji, w której znajdował (znajduje) się Kościół. Ta ostatnia zaś była i jest uwarunkowana skalą żywotności kultu Eucharystii

Wniedawnym liście poświęconym zwalczaniu dewiacyjnych zachowań, które zakradły się w szeregi duchowieństwa, były papież Benedykt XVI zwrócił uwagę, że u ich korzeni tkwi defekt duchowy. Ten zaś objawia się zanikiem kultu Eucharystii. Pobrzmiwają tu słowa z encykliki św. Jana Pawła II „Ecclesia de Eucharistia” z 2003 r.: „W Eucharystii mamy Jezusa, Jego odkupieńczą ofiarę, mamy Jego zmartwychwstanie, mamy dar Ducha Świętego, mamy adorację,

posłuszeństwo i umiłowanie Ojca. Jeżeli zaniedbamy Eucharystię, jak będziemy mogli zaradzić naszej nędzy?”.

I odwrotnie – oznaką cywilizacyjnego rozwoju wspólnoty ludów chrześcijańskich (christianitas) był kult Chrystusa eucharystycznego. Nieprzypadkowo święto Ciała i Krwi Pańskiej sięga swoimi początkami XIII w., gdy cywilizacja katedr i uniwersytetów sięgnęła apogeum swojego rozwoju. Wiara w realną obecność Chrystusa pod postaciami chleba i wina była jej rdzeniem od samego początku. Takie było i jest misterium fidei całego Kościoła, a żywa świadomość jej istnienia była zawsze oznaką żywotności samego Kościoła, a w dalszej kolejności cywilizacji, która dzięki niemu powstała.

Jak zauważał w cytowanej encyklice św. Jan Paweł II: „Nawiązując do chrześcijańskiej tajemnicy, architektura, rzeźba, malarstwo, muzyka bezpośrednio lub pośrednio znajdowały w Eucharystii motyw wielkiego natchnienia. [...] Eucharystia kształtowała Kościół i duchowość i wywarła mocny wpływ na kulturę, szczególnie w sferze estetyki”.

Najwspanialsze katedry i małe kościołki, które powstawały w wiekach ożywionej wiary w realną obecność Chrystusa eucharystycznego, były „opakowaniem” dla zawartości tabernakulum. Dlatego portale wiodące do wnętrza katedr były stylizowane na bramy prowadzące do pozaziemskiej rzeczywistości, gdyż nieopodal znajdował się Ten, przed którym zginały się kolana istot ziemskich, niebiańskich i podziemnych.

SKĄD TEN WANDALIZM?

Jak zwracają uwagę badacze dziejów protestanckiego wandalizmu w czasie reformacji, furia, z którą niszczone katolickie świątynie i zgromadzoną w nich sztukę sakralną, była rezultatem wcześniejszego odrzucenia przez „reformatorów” katolickiej nauki o Eucharystii. Im radykalniejszy było to odrzucenie, tym gwałtowniejszy był ikonoklazm (tak jak w przypadku kalwinistów, którzy w odróżnieniu od luteran od razu i radykalnie zanegowali wiarę w realną obecność Chrystusa na ołtarzach). Skoro nikogo ważnego nie ma w tabernakulum, to jest ono, podobnie jak cała jego architektoniczna „oprawa”, niepotrzebne.

Z tego samego powodu niedopuszczalne było organizowanie na obszarach, gdzie zwyciężyła „reformowana wiara”, procesji z Najświętszym Sakramentem. Skoro nie było Eucharystii, to nie było tym samym eucharystycznych procesji. Ich zanik był niechybną oznaką zwycięstwa na danym obszarze protestanckiej reformacji. Tam, gdzie one ponownie się pojawiły, tam też była realna szansa na odnowienie wiary katolickiej.

Charakterystyczne było to, że zazwyczaj powrotu procesji z Bożym Ciałem domagali się tzw. prości ludzie, mieszkańcy globalnego Pleszewa i Świebodzina, którzy nie rozpoznali rychło w czas dobrodziejstw płynących z oferowanej im przez reformatorów „prawdziwej” Ewangelii. Na przykład wśród żądań wysuniętych przez wielkie powstanie chłopskie z 1549 r., które wybuchło w zachodnich hrabstwach Anglii przeciw odgórnie przeprowadzanej protestantyzacji, znalazło się i to dotyczące powrotu procesji eucharystycznych.

Gdy w 1553 r. na krótką chwilę zdawało się, że jest szansa na powrót katolicyzmu na Wyspy w związku z początkiem panowania królowej Marii Katolickiej (starszej córki Henryka VIII, określanej potem w protestanckiej propagandzie jako Krwawa Maria), oznaką oddolnego renesansu wiary katolickiej był powrót na drogi angielskiego królestwa procesji z eucharystycznym Chrystusem. Wychowani w katolickiej wierze angielscy poddani instynktownie wiedzieli, gdzie znajduje się ratunek z nędzy, w którą popadli po zerwaniu Henryka VIII z Rzymem.

REWOLUCYJNE NAŚLADOWNICTWO

Przez kolejne wieki rewolucyjnych szturmów na podstawy zachodniej cywilizacji można było obserwować tę prawidłowość, która po raz pierwszy ujawniła się w epoce protestanckiej reformacji. W czasie rewolucji francuskiej zakaz procesji eucharystycznych, który formalnie został ogłoszony w okresie nasilenia akcji dechrystianizacyjnej (1793–1794), był przejawem programowej wrogości twórców „nowej Francji” wobec jej katolickiego dziedzictwa.

Ogłoszony przez „nowych Francuzów” zakaz procesji był również wyrazem podejmowanych przez nich możliwie szeroko wysiłków dechrystianizacyjnych. Obejmowały one także

przestrzeń publiczną i czas świąteczny. Na tym polegała nowość rewolucji francuskiej – nie tylko zakazywała „przesądów i zabobonu”, lecz także jednocześnie upowszechniała własne, religiopodobne rytuały. W tym także rytuały procesyjne. Jak wskazuje Mona Ozouf, od lat zajmująca się badaniem tej problematyki, rewolucyjne święta (począwszy od obchodzonego od 1790 r. święta Federacji) w swojej zewnętrznej formie wzorowały się na katolickich procesjach Bożego Ciała. „Tak wyglądało święto Federacji w Strasburgu: szli tu kolejno rybacy niosący »karpie z Renu w małym stateczku«, rolnicy ze swym pługiem, ogrodnicy rzucające bukiety na ołtarz ojczyzny” (M. Ozouf, „Święto rewolucyjne 1789–1799”, Warszawa 2008, s. 240). Nowe, rewolucyjne święta miały być edukowaniem Francuzów do bycia „nowym stworzeniem”, odciętym od katolickiego pierwowzoru.

W epoce XIX-wiecznych kulturkampów, które po Wiośnie Ludów przetrwały przez całą zachodnią Europę, święto Bożego Ciała z jego uzewnętrznieniem w postaci procesji eucharystycznej traktowane było przez laicyzatorów jako zagrożenie dla osiągnięcia ich podstawowego celu: rozdziału Kościoła od państwa, a de facto rozdziału religii katolickiej od społeczeństw oraz ich kultury.

W apogeum Bismarckowskiego kulturkampu niemiecka prasa katolicka pisała o febris antiprocessionalis (gorączce antyprocesyjnej), która dopadła liberalnych promotorów „wojny o kulturę”. Czyniono w ten sposób aluzję do zakazywania w niektórych włoskich miastach procesji Bożego Ciała pod pretekstem... zagrożenia epidemiologicznego. Im mniej procesji, tym mniejsza szansa zachorowań na cholera – z całą powagą już od lat 50. XIX w. argumentowała włoska prasa liberalna.

W 1865 r. Paolo Cortese, liberalny minister (i wolnomularz) w rządzie Piemontu, stwierdził nawet, że procesje eucharystyczne organizowane „na publicznych drogach” w wielu miejscach „siały rozłam” w lokalnych społecznościach, a dodatkowo „szkodziły godności religijnych obywateli”.

Po zjednoczeniu Włoch przez Piemont (1870), gdy nasilił się antykatolicki kulturkampf, procesje Bożego Ciała niejednokrotnie padały ofiarą bojówek organizowanych przez wojujących laicyzatorów.

W 1885 r. do takiego incydentu doszło w Genui, gdy uczestnicy procesji Bożego Ciała, wychodzący z kościoła San Lorenzo, zostali zaatakowani przez wyczulonych na „przesąd i zabobon”, a szczerzących się swoim liberalizmem i tolerancją obywateli. Jak pisała następnie miejscowa prasa: „Wiele kobiet straciło przytomność, niektóre osoby odniosły lekkie obrażenia. Tylko szybka interwencja sił porządkowych zapobiegła czemuś gorszemu” („L'illustrazione Italiana”, 21 czerwca 1885 r.). Wiele o klimacie tamtego czasu mówiło, że ta sama gazeta na równi piętnowała „nietolerancję” bojówkarzy, jak i „fanatyzm” uczestników genueńskiej procesji Bożego Ciała.

POSTĘPOWE NIEMCY

Febris antiprocessionalis w tak ostrej postaci nie występowała w Niemczech epoki kulturkampu. Rzadko się tam zdarzało, aby przemarsz procesji eucharystycznych ulicami miast wiązał się z jakimiś restrykcjami. No, chyba że chodziło o samą stolicę Rzeszy. Berlin na długo przed kulturkampem był określany w niemieckiej prasie liberalnej jako swego rodzaju teren zastrzeżony dla sił „postępu i cywilizacji”, co w świetle rozwijanego wówczas antykatolickiego dyskursu oznaczało wrogość do jakichkolwiek przejawów – zwłaszcza w sferze publicznej – życia katolickiego. Procesje, skoro już muszą się odbywać, miały być możliwie dyskretne i nierzucające się w oczy.

W 1864 r. pruska policja w berlińskiej dzielnicy Charlottenburg zakazała głośnego odmawiania modlitw w czasie przemarszu przez jej obszar katolickiej procesji. Krzyże i sztandary mogły być niesione, ale nie wysoko, tylko „pochyło nad ramieniem”. Pruscy funkcjonariusze skrupulatnie spisywali tych uczestników berlińskiej procesji Bożego Ciała, którzy ignorowali te zakazy.

W 1875 r. berlińska procesja została całkowicie zakazana. Katolicki dziennik „Germania” komentował tę decyzję następująco: „Postępuje więc kulturkampf dalej, podobnie jak i jego konsekwencje! Coraz bardziej usuwa się z publicznego życia religię i radosne przyznawanie się do niej. Państwo jeszcze zobaczy, co będzie z pokoleniem, które wyrósłoby pozbawione jej [religii] wpływu”. Znając historię Niemiec, można powiedzieć: profetyczne słowa.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Złuda wykształcenia

Wiosną dzieciaki wyjeżdżają na tzw. zielone szkoły. Oto dwie paralelne historyjki, które mówią coś ciekawego, ale do końca nie wiem co.

Smartfon to w tej chwili rzecz bardziej uzależniająca niż narkotyki. To groźny przeciwnik dla rodzica. Dlatego w naszej klasie (dokładnie w klasie naszego syna) postanowiono, że dzieci wyjadą na zieloną szkołę bez telefonów. Po to, żeby wolny czas spędzały ze sobą, a nie z twarzą przyklejoną do szybki smartfona i ze słuchawkami na uszach. Zarazem pozostawiono lukę dla tych dzieciaków, które wcześniej same nie wyjeżdżały w świat. Mogły wziąć telefony, żeby kontaktować się z rodzicami. Ale ci rodzice postarali się wyposażyć pociechy w telefony starego typu, z klasycznymi przyciskami. Takie do dzwonienia, a nie grania, oglądania youtuberów i przemierzania Internetu. Decyzję podjęto dość zgodnie i nikt się nie wyłamał. Dzieciaki na wyjeździe nie miały smartfonów i bawiły się doskonale.

Rodzice w innej, bliższej podobnej klasie przyjęli te same ustalenia. Tyle że ich nie dotrzymali. Większość dzieci pojechała ze smartfonami, w związku z czym całe noce z wypiekami ślęczeli przy telefonach.

Być może przesłoby to bez echa, gdyby nie to, że grupa dziewczynek jakimś cudem dotarła do granic Internetu, znajdując tam gejowskie porno. Jedna z tych dziewczynek powiedziała o tym mamie.

Mama była przerażona. Na grupie klasowej opowiedziała o sprawie, jednocześnie przypominając, że dzieci miałyjechać na wycieczkę bez smartfonów. Była nieco zdziwiona, że za swój wpis została zlinczowana. Uznano ją za osobę nudną i drętą. Niepotrzebnie drażnąc i wszczynając afery. A inna mama oświeciła ją, że „dla starszego dziecka smartfon jest jak smoczek – pozwala się wyciszyć i zasnąć”. Mowa jest o dzieciach z czwartej klasy podstawówki.

I teraz puenta, która wydaje mi się dość zaskakująca. Nasza klasa jest dość zróżnicowana społecznie i, co ciekawe, także etnicznie. Nie znam dobrze wszystkich rodziców, ale raczej nie są co do jednego absolwentami prestiżowych uniwersytetów. Tymczasem rodzice dzieci z drugiej klasy – tej od gejowskiego porno i smoczka – to prawie wyłącznie klasa średnia. Pracownicy korporacji, prawnicy, przedsiębiorcy. W każdym razie średnia wykształcenia jest znacznie wyższa niż w „naszej” klasie. Ci bardziej oświeceni ludzie są też bardziej nowocześni. Ja w każdym razie miałbym problem, żeby uznać smartfon za doskonałą formę smoczka. Miałbym też obawy, jak gejowskie hard porno wpłynie na osobowość mojego dziesięcioletniego dziecka.

No właśnie, i o co chodzi w tych opowieściach? Dla mnie najważniejsze jest chyba to, że dzisiaj człowiek wykształcony wcale nie musi być jednocześnie kulturalny. A nawet może być prostakiem. Wręcz barbarzyńcą. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Ekstrakt poprawności

Nie będąc krytykiem filmowym, chcę się zająć fenomenem politycznym.

Żywym dowodem kampanii przeciwko Trumpowi i wszystkiemu, co ze sobą niesie. Oczekiwana przez fanów political fiction trzecia seria „Designated Survivor” przynosi nie tylko rozczarowanie i niesmak. Dla widza Netflixa może być naocznym dowodem, tak jak poprawność polityczna potrafi zniszczyć ciekawy pomysł wsparty niezłą obsadą.

Najbardziej kuriozalna jest historia spisku „złych ludzi”, oczywiście związanych z republikańską prawicą

Historia „prezydenta z przypadku”, który po zamachu na amerykański Kapitol obejmuje władzę w supermocarstwie, rozwijała się brawurowo. Zmaganie z opozycją, z wrogimi agentami, krajowym spiskiem i rozmaitymi wyzwaniem, które niósł każdy dzień prezydentury, zapewniało nie lada emocje. Obecnie pozostał jedynie ekstrakt poprawności politycznej.

Zniknął nawet z kręgu doradców prezydenta Kirklanda pysznie sportretowany hucpiarski Izraelita, a jeden z głównych

bohaterów o imieniu Aaron okazuje się naraz Latynosem, który zmienił nazwisko. Imienia, raczej niewystępującego za Rio Grande, zmienić nie zdołał. Za to powiew świeżości wnosi parka gejów – Murzynów intelektualistów, uprawiających co jakiś czas ostry seks (jeden dodatkowo jest nosicielem HIV).

Nie brakuje też mocnego głosu za dobrowolną eutanazją i silnego poparcia szerokiego otwarcia drzwi w polityce imigracyjnej. Dodatkowo odnalazła się za to szwagierka czy raczej szwagier prezydenta sympaciura, który ma zająć się opieką nad małoletnią córką przywódcy narodu. Co z tego może wynikać? Ciarki chodzą po plecach.

Obrz wręcz ocieka tolerancją i empatią do mniejszości oraz niechęcią do całej klasy politycznej. W końcu oberwie i sam główny bohater. Najbardziej kuriozalna jest historia spisku „złych ludzi”, oczywiście związanych z republikańską prawicą, którzy za pomocą zabiegów genetycznych zamierzają zarazić Amerykanów wirusem, który wywoła bezpłodność całej czarnej populacji.

W sumie odebrałem to jako wściekły atak, skowyt przeciw zdrowemu rozsądkowi i tej „gorszej” Ameryce, słabiej wykształconej, z mniejszych ośrodków, która mimo wysiłku elit ciągle nie dała się zwariować. ©©



Ze Stanisławem Michalkiewiczem, publicystą
rozmawia Marcin Makowski

I tak będę mówić

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FOCUS

MARCIN MAKOWSKI: Chociaż po sondażach trzech polityków Konfederacji zaczynało się już pakować do Brukseli, to ostatecznie okazało się, że ugrupowanie znalazło się pod progiem wyborczym. Rozczarowanie?

STANISŁAW MICHALKIEWICZ: Niespecjalnie. Notowania sondażowe od początku były zbyt hojne dla Konfederacji. Pamiętamy jednak, że mówimy o balansowaniu na granicy progów, a nie o totalnej porażce.

Co zadecydowało, że nie udało się go pokonać?

W jakiejś mierze kampania negatywna wymierzona w Konfederację przez media rządowe i z rządem sympatyzujące, np. „Gazetę Polską”. Dniem i nocą trąbiono, że to ruscy agenci, którym śmierdzą onuce. To na części wyborców mogło zrobić wrażenie. Tomasz Sakiewicz napisał nawet po wyborach, że to jego strategia walenia w Konfederatów przyczyniła się do ich porażki. Może ma rację, może nie, ale tym samym przyznał się, że nie jest żadnym dziennikarzem, tylko łajdackim propagandzistą.

Mocne słowa.

Przecież on mnie też oskarżał, że jestem ruskim agentem.

A może trzeba, tak jak Grzegorz Braun, samego siebie zadenuncjować jako rosyjskiego agenta, domagać się weryfikacji przez służby i pozwać tych, którzy o to oskarżają?

Mało mnie interesuje, co mówią naczelny „Gazety Polskiej” i jego trzódka. Poza tym już dawno postanowiłem, że nie będę się wdawał w żadne spory przed polskimi sądami, bo nie mam do nich zaufania.

Co, jeśli problem był bardziej prozaiczny niż media, bo sama Konfederacja okazała się partią jednego paliwa politycznego? Ile można mówić o zagrożeniu płynącym z ustawy 447 i o niczym więcej?

To trafna diagnoza, dlatego że ustawa 447 nie była żadnym paliwem tego ruchu. Przecież to ja zwróciłem uwagę na jej niebezpieczeństwo jeszcze długo przed wyborami do Parlamentu Europejskiego i ujawniłem notatkę z rozmów pana Yazdgerdiego z ambasadorem Chodorowiczem. Myślę, że błędem Konfederacji było to, że nie przedstawiła wyborcom pozytywne-go projektu politycznego. Owszem, jest prawdą, że rząd „dobrej zmiany” zachowuje się w sprawie roszczeń żydowskich – delikatnie mówiąc – zagadkowo i został zmuszony do zabrania głosu w tej kwestii dopiero pod koniec kampanii. Jest również prawdą, że okłamuje społeczeństwo w tej sprawie, ale to nadal za mało.

Mówi pan o okłamywaniu społeczeństwa, tymczasem w centrach polskich miast zbierane są podpisy pod projektem ustawy „anty 447”. Z głosników agitatorów słychać: „Uleganie roszczeniom żydowskiemu to koszt 300 mld dol. i nędra dla twoich dzieci”. Żadnego kontekstu, wyjaśnienia. Nędra i „okupacja”.

To powinno wstrząsnąć Polakami, bo mówimy o największym zagrożeniu dla narodu od 1939 r. Jeżeli podobne apele nie robią na nas wrażenia, to znaczy, że społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy z realności tych zagrożeń. Raz jeszcze podkreślam, że na samym Just Act do władzy się nie dojdzie i mam nadzieję, że na jesieni Konfederacja przedstawi szerszą koncepcję programową.

Był pan osobą wspierającą wizerunkowo Konfederację, wystąpił na wspólnej konferencji prasowej. Mówił im pan to, co teraz mnie? Nie posłuchali?

Kibicuję temu ugrupowaniu, brałem udział w dwóch konferencjach na temat wspomnianej notatki MSZ, ale nie jestem członkiem partii i nie decyduję o tym, co Konfederacja będzie robiła. To są duzi chłopcy i duże dziewczynki, niech się sami

I jakiś dokument sprzed 13 lat sprawia, że Ukraina to większe zagrożenie dla Polski niż zbrojąca się po zęby w obwodzie kaliningradzkim Rosja?

Rosjanie rzeczywiście gromadzą w tym regionie broń, ale gdy w 1962 r. wydarzyła się podobna sytuacja na Kubie, jak zareagowały USA? Blokadą wyspy, a świat stanął na krawędzi wojny nuklearnej. Teraz mamy sytuację odwrotną – Ameryka przesuwa swoją broń w kierunku Rosji więc trudno się dziwić, że ona adekwatnie odpowiada. To nie jest dla nas dobra wiadomość, bo musimy sobie uświadomić, na czym polega sojusz polsko-amerykański. Otóż my udostępniamy terytorium na potrzeby globalnej rozgrywki amerykańsko-rosyjskiej. Nie my będziemy decydowali, kiedy ta rozgrywka nastąpi i jakie wywoła skutki, tylko obce mocarstwa ponad naszą głowę. I Polska to robi za darmo, więc trudno sobie wyobrazić głupszą politykę na tym odcinku, niż wykonuje rząd PiS.

A jaką widzi pan mądrzejszą?

Widzę ją tak: Polska, skoro już musi udostępniać w ramach NATO swoje terytorium Stanom Zjednoczonym, powinna

Czym się kończy prężenie cudzych muskułów, przekonaliśmy się 1 września 80 lat temu

zastanawiają, jak dotrzeć do wyborców w bitwie o parlament. To nie moja rola, ja się tylko przyglądam.

A kiedy się pan przygląda, nie niepokoją pana jednak otwarte wypowiedzi prorosyjskie i antyukraińskie niektórych polityków tego ruchu? Choćby Janusza Korwina-Milkko?

Nie czuję żadnego zaniepokojenia, ponieważ Ukraina nie jest naszym sojusznikiem.

A Rosja jest?

Nie, Rosja jest naszym sąsiadem. Ukraina również, ale takim, który wobec Polski wysuwa roszczenia terytorialne. W 2006 r. Światowy Związek Ukraińców z siedzibą w Toronto wystosował deklarację, aby 2007 r. był rokiem upamiętnienia operacji „Wisła”, a obchody odbywały się „na ukraińskim terytorium etnicznym”. Co to oznacza? Województwo podkarpackie, część Małopolski i Lubelskiego. Jeżeli ukraińska diaspora roztacza tego rodzaju wizję, to trudno uznać to za akt przyjaźni.

wykorzystać sytuację do wzmocnienia własnych sił, a nie liczyć na obce wojsko, które przecież nie będzie słuchało rozkazów rządu polskiego, tylko rządu własnego. Czym się kończy prężenie cudzych muskułów, przekonaliśmy się 1 września 80 lat temu. Jeśli nie wyciągniemy wniosków, to znaczy, że jesteśmy głupszy, niż przewiduje ustawa.

Rząd twierdzi, że potencjał militarny wzmacnia, choćby poprzez zakup systemu tarczy antyrakietowej Patriot, mobilnych zestawów rakietowych HIMARS czy myśliwców F-35.

A co to zmienia? Przecież my musimy tę broń kupować, a powinniśmy ją dostawać na tacy za to, że podaliśmy się roli amerykańskiego dywersanta na Europę Wschodnią. Izrael, który jest takim amerykańskim dywersantem na Bliskim Wschodzie, dostaje od USA 4 mld dol. rocznej krophówki. Tymczasem my do tego interesu jeszcze dopłacamy. Ba, premier Morawiecki chce budować Centralny Port Komunikacyjny, a może łatwiej byłoby go

nazwać lotniskiem wojskowym? Cztery czterokilometrowe pasy będą w stanie obsługiwać najcięższe amerykańskie samoloty transportowe Lockheed Galaxy.

Nikt nie ukrywa, że CPK ma mieć komponent wojskowy.

Nikt? Przecież wszyscy mądrzy i roztropni opowiadają, że dzięki temu staniemy się lotniczym potentatem na całą Europę. Proszę wybaczyć, ale nie wierzę w takie bajki o światowej potęgę, którą osiągniemy dzięki budowie monstrualnego lotniska. Nie mówię przez to, że mamy zerwać wszelkie więzy z Ameryką, ale apeluję o zdrowy rozsądek w sojuszu. Na razie jego największą zaletą jest to, że my nie wiemy, co w razie czego zrobi NATO, ale Putin też tego nie wie i to jest, jak dotąd, jedyna korzyść. Czy to maksimum, na jakie nas stać? Musimy być w polityce międzynarodowej bardziej elastyczni.

Jak pan tę elastyczność rozumie?

Jako porzucenie konwenansów. Gdy Barack Obama podczas swojej prezydentury zapalał miłością do Kurdów, a utworzenie ich państwa wiązałoby się z ogromnymi stratami terytorialnymi dla Turcji, Erdoğan błyskawicznie w ramach kontry zbliżył się do Putina. Wcześniej, podczas operacji „Pustynna Burza”, Turcja zażądała wynagrodzenia za udostępnienie baz lotniczych dla amerykańskich samolotów, które miały bombardować Irak, bo przecież Turcy im te bazy tylko wydzierzawili. Musimy się nauczyć podobnego „handlu wymiennego” w dyplomacji. Tymczasem lecimy do nich na kolanach, obiecując 2 mld dol. na sfinansowanie baraków dla amerykańskiego wojska.

Kluczowym elementem w polskiej układance geopolitycznej są od pewnego czasu również stosunki z Izraelem. Benjamin Netanjahu nie utworzył po wygranych wyborach nowego rządu, dlatego rozpisano kolejne. Czy pana zdaniem ich przebieg wpłynie na polską kampanię jesienią?

To, kto będzie rządził w Jerozolimie, nie zmienia tego, że Izrael jako państwo chce Polskę obrabować. Korzystając oczywiście z amerykańskich nacisków. Musimy w końcu zrozumieć, że Izrael nie jest żadnym naszym sojusznikiem.

I nie widzi pan w przyszłości żadnych elementów, które mogłyby pomóc ucywilizować nasze relacje? Żadnych wspólnych interesów?

Nie jesteśmy skazani na konflikt, ale polski rząd, który odrzucił możliwość procedowania ustawy antyroszczeniowej, nie jest zdolny do nawiązania stosunków dyplomatycznych na normalnej płaszczyźnie. A normalna byłaby taka, że postępowalibyśmy wobec siebie symetrycznie w oparciu o pragmatyczne interesy. Jeśli Izrael chce coś robić w Polsce i nie zagraża to naszym interesom, to niech robi. Ale jakie my mamy interesy na Bliskim Wschodzie? Po co mamy się Jerozolimą i Tel Awiem interesować ponad zagwarantowanie możliwości przyjazdu pielgrzymów do Ziemi Świętej?

4 czerwca obchodziliśmy 30. rocznicę pierwszych częściowo wolnych wyborów. Czym dla pana jest ta data?

Rocznice „obchodzili” chyba tylko ci, którzy skorzystali na tym szwindlu. Ja nie skorzystałem, więc nie miałem czego celebrować. Hucpy w Gdańsku również nie śledziłem, bo nie oglądam pornografii. Ani normalnej, ani politycznej. Słyszałem jednak, że nastąpiło publiczne bratanie się Chamów z Żydami, na wzór „historycznego” kompromisu z 1989 r. Jeżeli zapamiętałem datę 4 czerwca, to tylko przez przyzmat 1992 r., który nazywam „dniem konfidenta”. Słyszałem też o przemówieniu Donalda Tuska, który ma nadzieję wjechać na białym koniu podczas wyborów prezydenckich i z poparciem Niemiec je wygrać, po czym wycofałby Polskę z projektu Trójomorza.

Kolejna teoria spiskowa?

Naprawdę? Przecież to realne zagrożenie. Chociaż Trójomorze istnieje nadal w fazie deklaracji, to zagraża kluczowym niemieckim interesom w regionie.

Nie nadajam. Jest pan zwolennikiem Trójomorza, projektu, który jest w dużej mierze proamerykański i zakłada zwiększenie udziału amerykańskiego LNG na rynku Europy Środkowo-Wschodniej?

Byłem dopóty, dopóki się nie dowiedziałem, jaką straszliwą cenę będzie musiała Polska zapłacić za amerykańskie poparcie dla projektu.

Jakaż to straszliwa cena?

No 300 mld dol. dla Żydów!

Wiąże pan Trójomorze z tzw. reparacjami?

Oczywiście! Przecież w 1997 r. Polska zwróciła żydowski gminom wyznaniowym mienie warte miliardy dolarów. To była łapówka za wejście do NATO.

Apetyt wzrasta jednak w miarę jedzenia. Przyznaję, że nadal jestem zwolennikiem Trójomorza, ale nie takim kosztem. Jeszcze raz powtarzam, że jeśli kosztem będzie 300 mld, to oznacza żydowską okupację Polski i degradację Polaków we własnym kraju do trzeciej kategorii. Pierwsza to okupanci, druga to kolaboranci, a trzecia to cała reszta.

Nie ma pan wrażeń, że powtarzając non stop hasła w stylu „żydowska okupacja Polski”, daje pan broń do ręki ludziom, którzy twierdzą, iż w naszym kraju szaleje antysemityzm? Wrzuca pan do jednego worka cały naród i przypisuje mu diaboliczne intencje. Ma pan tego świadomość?

Na mnie takie oskarżenia nie robią wrażenia. W dupie mam, co jakiś Abraham Foxman na mój temat myśli, bo o tym, co jest, a co nie jest antysemityzmem, i tak decydują ludzie mu podobni, szefowie wszelkiej maści Lig Antydyfamacyjnych. Kiedyś za antysemityzm było uznawane to, że ktoś Żydów nie lubi, a dzisiaj stawia się znak równości między antysemityzmem a spostrzegawczością. Dlaczego miałbym się tym przejmować. Niech mnie nazywają, jak chcą.

Ostatnio poskarżył się pan, że otrzymuje dziwne telefony od służb i jest rozpracowywany przez ABW. Dzwonią za niewinność?

Tak, służby się mną interesują. Wiąże to z ujawnieniem notatki o tajnych negocjacjach polskiego rządu z Amerykanami w kwestii nieszczej ustawy 447. Dzwoni do mnie policja, interesuje się stanem zdrowia, stanem majątkowym, ale wszystko ma charakter nieformalny. Żądam wyjaśnień, jakim prawem się tak dzieje, skoro nie jestem formalnie o nic podejrzany. To jest element nękania, ktoś chce mi zrobić kuku.

Wszyscy się przeciw panu sprysięgli?

Pan sobie żartuje. Nie „wszyscy”, tylko niektórzy łajdacy, ale wystarczy, że wynajmą jakąś kobietę, która powie, że 40 lat temu włożyłem jej rękę pod spódniczkę, i co ja wtedy zrobię? Jestem bezbronny wobec takiego ataku. Nie chodzi przecież o to, aby mnie ukarać, bo nie zrobiłem niczego złego, ale aby zdyskredytować mnie za mówienie prawdy i przestrzeganie przed zagrożeniem. Podpowiadam tym szubrawcom z ABW – jeśli chcą, to niech tak mnie załatwią. Niech dyskredytują, ale i tak będę mówić, co mówiłem.



Leopold Okulicki na balkonie budynku dowództwa Armii Polskiej (Buzułuk, ZSRS, 1941 r.) FOT. IPN



Piotr Zychowicz

Ostatni dowódca AK gen. Leopold Okulicki był sowieckim prowokatorem. Taka informacja znalazła się w dziennikach Iwana Sierowa

Generał Iwan Sierow był jednym z najinteligentniejszych, a jednocześnie najbardziej bezwzględnych i zbrodniczych oficerów tajnych sowieckich służb. Był szef KGB i GRU jeszcze za życia stał się czekistowską legendą. W trakcie swojej długiej kariery zaplanował i nadzorował setki ściśle tajnych operacji. Miał dostęp do największych sekretów Związku Sowieckiego.

ukazały się w Polsce. I wygląda na to, że u nas również wywołają trzęsienie ziemi.

Dlaczego? Ponieważ w karierze gen. Iwana Sierowa Polska odegrała kolosalną rolę. Jako początkujący czekista brał udział w inwazji 17 września, potem kierował NKWD na terenie Lwowa. Z kolei w 1944 r. brał udział w „wyzwalaniu” Polski. To on aresztował w Wilnie płk. Wilka-Krzyżanowskiego, to on aresztował przywódców Polskiego Państwa Podziemnego i uprowadził ich do Moskwy.

O wszystkich tych sprawach Sierow pisze obszernie i z najdrobniejszymi szczegółami. Dzięki temu możemy spojrzeć na dobrze nam znane wydarzenia oczami wysokiego funkcjonariusza NKWD. Jest to lektura wręcz pasjonująca.

Najciekawszym wątkiem są relacje Iwana Sierowa z gen. Leopoldem Okulickim, ostatnim dowódcą Armii Krajowej, jednym z podsądnych w moskiewskim

śmiertelnymi wrogami. Z tego pojedynku zwycięsko wyszedł bolszewik. Okulicki w nocy z 21 na 22 stycznia 1941 r. został aresztowany.

Według obowiązującej do tej pory wersji wydarzeń „Mrówka” – bo taki pseudonim nosił wówczas Okulicki – wpadł na skutek donosu „Zymona”, słynnego prowokatora działającego w ZWZ. Tymczasem według Sierowa adres mieszkania, w którym ukrywał się Okulicki, zdradziła jego łączniczka Bronisława Wysłouchowa.

Kobieta została aresztowana. Znalezione przy niej zakodowane depesze, których próbowała się pozbyć w toalecie budynku NKWD. Dokumenty te miała ukryte w „najintymniejszym miejscu”. Przyciśnięta do ściany przez oficerów śledczych, wydała swojego szefa. Sierow zarzeka się przy tym, że Wysłouchowa nie była maltretowana. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne.

Tajemnica Okulickiego

Swoją ostatnią operację przeprowadził... 22 lata po śmierci, w 2012 r. Jego wnuczka, Wiera, odziedziczyła wówczas dach Sierowa. Obok pięknej willi stał garaż, przez którego środek przebiegała ścianka działowa. Wiera wynajęła robotników, którym kazała ściankę wyburzyć.

Już po kilku pierwszych uderzeniach młota robotnicy natrafili na pustą przestrzeń. Okazało się, że pod warstwą tynku znajduje się znakomicie zakamuflowana skrytka. W środku były dwie tajemnicze walizki. Zdumieni robotnicy gorączkowo rozerwali zamki...

Spodziewali się znaleźć złoto, jednak spotkało ich wielkie rozczarowanie. W walizkach były bowiem tylko jakieś stare rękopisy. Nie wiedzieli jednak, że papiery te są cenniejsze niż złoto. Były to bowiem dzienniki Sierowa.

Książkę w 2016 r. wydano w Rosji i wywołała olbrzymią sensację. Jak napisał we wstępie jej redaktor Aleksandr Hinsztejn, „wiele sekretów i tajemnic Sierow ujawnia po raz pierwszy”. Sekretów, dodajmy, niezwykle niewygodnych dla Związku Sowieckiego. Teraz dzienniki pt. „Tajemnice walizki generała Sierowa”

procesie szesnastu. Losy obu oficerów – sowieckiego i polskiego – splótły się ze sobą w sposób tragiczny.

„Jak się dowiedziałem, Okulickiego i innych sądzono w Moskwie – pisał Sierow – a Okulickiego zlikwidowano w więzieniu. Jednakowoż był to prowokator, współpracujący od 1940 roku z NKWD i jednocześnie z Anglikami”.

Informacja o uwikłaniu gen. Leopolda Okulickiego w jakąś formę współpracy z sowieckimi tajnymi służbami musi być dla polskiego czytelnika szokująca. Jest to bowiem oficer, który w Polsce ma status bohatera narodowego. Jego imię noszą ulice i szkoły.

Trudno jednak uznać, żeby informacja ta była całkowitym zaskoczeniem. Potwierdza ona bowiem tylko przypuszczenia wysuwane przez część polskich badaczy od dawna.

LWÓW

Po raz pierwszy Okulicki i Sierow zetknęli się na początku 1941 r. we Lwowie. Okulicki był dowódcą miejscowej siatki Związku Walki Zbrojnej, a Sierow szefem miejscowego NKWD. Byli więc

Plan aresztowania Okulickiego był następujący. Pracownik NKWD o nazwisku Kondratik miał – w przebraniu Żyda – wkroczyć do mieszkania Okulickiego w asyście milicjanta. Po rozpoznaniu polskiego oficera miał zwrócić się do funkcjonariusza: „Panie milicjancie, ten właśnie pan kupił u mnie wczoraj pół kilo sacharyny, a pieniędzy nie dał!”. Wówczas milicjant miał poprosić Okulickiego, by udał się z nim na posterunek w celu wyjaśnienia drobnego nieporozumienia. Dopiero tam miało nastąpić aresztowanie.

„W jednym z pokoi zobaczyli mężczyznę podobnego do osobnika na zdjęciu, ale bez wąsów – wspominał Sierow. – Kondratik szybko się zorientował i wykrzyczał, co mu nakazano. Mężczyzna gorąco zaoponował:

– Czego wrzeszczysz, Żydzie? Nie kupowałem u ciebie żadnej sacharyny.

O to nam chodziło. Milicjant polecił mu się ubrać, informując, że pojadą na posterunek. Na posterunku milicji zatrzymanego dokładnie przeszukano i znaleziono ampułkę z trucizną. O 7 rano przywieziono go do mnie na przesłuchanie.

■ Przywitaliśmy się. Byłem w cywilnym ubraniu.

– Ja pana znam, jest pan szefem wywiadu Ukrainy – rozpoczął Okulicki.

– A wy nie jesteście Zarzewski, za którego się podajecie, tylko Okulicki, „Mrówka” – odparowałem.

Rozpocząłem przesłuchanie o 7 rano, a zakończyłem o 4 po południu. Po aresztowaniu Okulicki poprosił o pozwolenie na zapalenie i wyciągnął z kieszeni płaszczka opakowanie 200 papierosów. Po zakończeniu śledztwa zostały mu trzy”.

Sierow w swoich dziennikach pisze, że po dwóch dniach Okulicki został przetransportowany do Moskwy, na Łubiankę. Tam grożono mu, krzyczano nań i bito



Generał Iwan Sierow, były szef KGB i GRU, jeszcze za życia stał się czekistowską legendą. FOT. IPN

go po twarzy, domagając się wydania towarzyszy. Okulicki miał zamknąć się w sobie i „nie powiedzieć więcej ani słowa”. W tej sprawie informacje Sierowa – który pozostał we Lwowie – nie były ścisłe.

MOSKWA

To właśnie spece z Łubianki i Lefortowa dokonali „rozłamu” Okulickiego. I nastąpiło to nie w 1940 r., jak twierdził Sierow, ale w roku 1941. Skąd to wiadomo? Otóż strona rosyjska po upadku Związku Sowieckiego przekazała Polsce część dokumentacji śledczej dotyczącej Okulickiego. Między innymi materiały jego zeznań. Zostały one wydane drukiem w roku 2001 w tomie „Polskie podziemie na terenach zachodniej Ukrainy i zachodniej Białorusi w latach 1939–1941”.

Wydawało się, że Okulicki został na Łubiance zamordowany.

Po blisko 80 latach przypuszczenia te znalazły potwierdzenie w dziennikach gen. Iwana Sierowa

Wynika z nich, że Okulicki – katowany w śledztwie – się załamał. 4 maja 1941 r. złożył na ręce NKWD wielostronicowe „zeznanie własne”. W zeznaniu tym ujawnił sowieckiej bezpiece wszystko. Nazwiska, pseudonimy, adresy, kanały przerzutowe, ilość broni i stany liczbowe poszczególnych okręgów ZWZ. Sporządził charakterystyki i rysopisy najważniejszych oficerów tajnej organizacji.

W zakończeniu zeznania „Mrówka” złożył Sowietom propozycję współpracy. Zaoferował bolszewikom swoje usługi w obliczu nadchodzącej wojny między Niemcami a ZSRS.

„W przekonaniu, że zwycięstwo ZSRS da Narodowi polskiemu możliwość życia i rozwoju narodowego, kulturalnego, gospodarczego i politycznego – pisał – zeznanie swoje napisałem i deklaruję chęć dalszej pracy. Będzie Polska czerwona, dobrze, byle tylko była. Zrobi to jej zresztą dobrze, wyzwoli i odkryje nowe, nieznane dotąd siły Narodu”.

Według nieżyjącego już historyka i weterana AK prof. Jana Ciechanowskiego postawa Okulickiego „nie licowała z honorem, godnością i powinnościami wyższego oficera Wojska Polskiego”.

„Niestety płk Leopold Okulicki, składając te zeznania i oferty nieprzyjacielowi, łamał wszelkie zasady wojskowej dyscypliny i sprzeniewierzał się swej żołnierskiej przysiędze złożonej na wierność Rzeczypospolitej” – pisał Ciechanowski.

Podobnego zdania jest inny znany badacz emigracyjny i weteran II wojny światowej Zbigniew S. Siemaszko. Według niego „Mrówka” stał się sowieckim „kolaborantem”. „Ilu ludzi wydał Okulicki podczas zeznań i ile złamał przysięg, które składał, i ile rozkazów nie wykonał – trudno by policzyć” – napisał Siemaszko.

Wypuszczony na wolność po podpisaniu paktu Sikorski-Majski Okulicki trafił do tworzonej w Sowietach armii Władysława Andersa. Tam odegrał dwuznaczną rolę, domagając się natychmiastowego skierowania, słabo przeszkolonych i uzbrojonych, polskich oddziałów na front wschodni. Stało to w jaskrawej sprzeczności z mądrą taktyką gen. Andersa, który robił wszystko, żeby takiemu scenariuszowi zapobiec. Rozumiał bowiem, że Sowietci zrobią wszystko, by maksymalnie wykrwawić polskie wojsko.

WARSZAWA

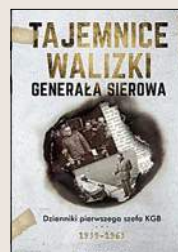
Najbardziej zagadkową rolę Okulicki odegrał jednak w 1944 r. W maju 1944 r. został zrzucony do kraju. Otrzymał bowiem od Naczelnego Wodza gen. Kazimierza Sosnkowskiego rozkaz, aby powstrzymać wybuch powstania. Według Naczelnego Wodza powstanie nie mogło bowiem przynieść żadnego skutku politycznego, musiało za to skończyć się rzezią.

Tymczasem po zajęciu stanowiska w Komendzie Głównej AK to właśnie gen. Okulicki stanął na czele grupy prących do walki oficerów, która zmusiła gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego do podjęcia fatalnej w skutkach decyzji o wydaniu Niemcom bitwy na ulicach milionowego miasta. Okulicki nie zawahał się przy tym użyć wobec „Bora” groźb i obelg.

To również Okulicki należał do największych entuzjastów ujawnienia wszystkich struktur polskiego podziemia wkraczającym Sowietom. A więc działania, które – jak wiadomo – miało dla tysięcy polskich patriotów straszliwe konsekwencje.

„Byłem przerażony jego beztróską – wspominał Jan Nowak-Jeziorański. – Ginie wielkie miasto, stolica, archiwa, muzea, dziedzictwo narodowe, a ten człowiek mówi: »Za kilka dni Warszawa kłapnie« i zrobił ten ruch [uderzenie, klepięcie obiema dłońmi w kolana]. Byłem zupełnie wstrząśnięty samym gestem beztróskiego potraktowania tej straszliwej tragedii”.

Zachowanie Okulickiego od wielu lat wzbudza zdumienie historyków. I prowokuje do zadania pytania: Czy akcja podjęta przez tego oficera w 1944 r. była w jakiś sposób



„TAJEMNICE WALIZKI GENERAŁA SIEROWA. DIENNIKI PIERWSZEGO SZEFA KGB 1939–1963” WYDAWNICTWO REA-SJ

związana z jego pobytem na Łubiance w roku 1941?

Sowieci w 1944 r. starali się bowiem zrobić wszystko, by sprowokować Polaków do wywołania powstania. Liczyli bowiem na to, że zostanie ono krwawo stłumione i w ten sposób – rękami Niemców – pozbędą się najbardziej dzielnego i patriotycznego polskiego elementu.

„Spodziewam się, że archiwa w Rosji kryją odpowiedzi na pytania o to, kto był agentem w czasie II wojny światowej – mówił prof. Andrzej Leon Sowa. – Obawiam się, że pod tym względem historię trzeba będzie pisać na nowo. Szereg wybitnych postaci było w czasie drugiej wojny światowej bardzo dalece uwikłanych: myślę tu na przykład o gen. Leopoldzie Okulickim. Dopóki nie będziemy mieli jego pełnego dossier, trudno będzie jednoznacznie powiedzieć, jaka była jego rola w historii. Przecież jakby nie patrzeć, Armię Krajową całkowicie ujawniono Sowietom, bez względu na to, jak się to motywuje”.

A oto fragment wywiadu, który przeprowadziłem przed laty z nieżyjącym już prof. Wieczorkiewiczem:

„– Agentem sowieckim był człowiek, którego głos podczas dyskusji [o powstaniu] był głosem decydującym. Człowiek, który przekonał do koncepcji powstania innych oficerów. Generał Leopold Okulicki.

– Ależ panie profesorze, Okulicki zmarł w 1946 r. na Łubiance! Niewykluczone, że został zamordowany przez bolszewików.

– To jest akurat bardzo prawdopodobne. Sowieci często pozbywały się jednak w ten sposób swoich agentów, kiedy już odegrali wyznaczoną im rolę. Nie inaczej było z Okulickim. Załamał się w śledztwie w 1941 r. Sypał. Został wówczas zwerbowany, a w 1946 r. był już niepotrzebny i został wyeliminowany. W Moskwie znajduje się obszerna teczka Okulickiego, którą w latach 90. widział kilku naszych historyków. Po jej przeczytaniu byli wstrząśnięci. Niestety Rosjanie konsekwentnie odmawiają wydania nam tych papierów”.

ZNOWU MOSKWA

Tezy stawiane przez prof. Wieczorkiewicza uprawdopodobniają niesłychane zachowanie Okulickiego w marcu 1945 r. Otóż mimo swoich dramatycznych przeżyć na Łubiance oficer ten przyjął zaproszenie sowieckiego gen.

„Iwanowa” i dobrowolnie (!) udał się na negocjacje z Sowietami. Czyli sam wpakował się w łapy oprawców z NKWD. Łamiąc przy tym kategoryczny zakaz nowego Naczelnego Wodza, gen. Władysława Andersa.

Pod pseudonimem Iwanow krył się zaś oczywiście Iwan Sierow.

„Wszedłem do generała – wspominał Sierow. – Okulicki mnie poznał, wstał i nieco błady, przyznał:

– Tak właśnie myślałem, że to pan.

Uśmiechnąłem się bez słowa.

– Wszystko jasne – dodał generał.

Rozmawialiśmy całkiem przyjaźnie przez pół godziny, wspominając dawne

podziemiu niepodległościowym. A była to wiedza olbrzymia.

Generał Okulicki w procesie szesnastu został skazany na 10 lat więzienia. Po wydaniu wyroku słuch po nim zaginął. Według oficjalnej, sowieckiej wersji podjął w celi głodówkę, a następnie zmarł na „porażenie serca” 24 grudnia 1946 r. Jego ciało miało zostać skremowane.

Od samego początku wersja ta wzbudzała olbrzymie wątpliwości strony polskiej. Znacznie bardziej prawdopodobne wydawało się to, że Okulicki został na Łubiance zamordowany. Teraz, po blisko 80 latach, przypuszczenia te potwierdził w swoich dziennikach gen. Iwan Sierow.



Fotografia więzienna Leopolda Okulickiego.

Więzienie NKWD na Łubiance FOT. IPN

czasu we Lwowie, kiedy ciągle mi się wymykał. Uśmiechając się, czasem mnie korygował i dodawał istotne szczegóły.

Wychodząc, zaproponowałem mu kotlet na kolację. Podziękował, ale jedzenia nie tknął. Prawie całą noc chodził po pokoju, powtarzając, jak głupio wpadł”.

Trudno się w tej sprawie z Okulickim nie zgodzić.

Dalsze losy Okulickiego znamy dzięki dokumentom opublikowanym w połowie lat 90. w tomie „Proces szesnastu. Dokumenty NKWD”. Znowu powtórzyło się to samo co w roku 1941. Okulicki z więziennej celi pisał rozpaczliwe listy do Berii i Stalina, zapewniając ich o swojej gotowości do lojalnej współpracy.

Złożył również niezwykle zeznania, w których przekazał sowieckim śledczym całą swoją wiedzę o polskim

Historycy i dziennikarze, którzy pisali o podejrzeniach ciążyących na gen. Leopoldzie Okulickim, narażeni byli na ataki naszych hurrapatriotycznych „oburzaczy”. Czyli bezkrytycznych gloryfikatorów AK, którzy wszystkie informacje niepasujące do lansowanej przez nich lukrowanej wizji dziejów traktując jako herezję i „szarganie świętości”.

Histeria ta do złudzenia przypomina reakcje na ujawnienie informacji o powiązaniach z bezpieczeństwem Lecha Wałęsy. Piszący te słowa przekonał się o tym na własnej skórze w 2013 r., gdy o hipotezach dotyczących współpracy Okulickiego z NKWD napisał w książce „Obłąd '44”. Ileż ja się wówczas na swój temat nasłuchałem!

Panowie i Panie – zwracam się do moich ówczesnych adwersarzy – i co teraz? Generał Iwan Sierow przemówił.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Zapomniane ludobójstwo

W zbiorowej pamięci historycznej Polaków ziele olbrzymia wyrwa. Mowa o tragicznym losie naszych rodaków, którzy zostali zostawieni na pastwę bolszewików po podpisaniu traktatu ryskiego.

Mimo że w 1920 r. pobiliśmy bolszewików pod Warszawą i nad Niemnem – nasi negocjatorzy pokojowi oddali sowieckim zbirom kolosalne połacie Rzeczypospolitej. Oddali Mińsk, Żytomierz, Kamieniec Podolski, Winnicę i Kijów. A wraz z tymi terenami oddali ok. 1,5 mln Polaków.

W kolejnych latach – przy niemal całkowitej obojętności władz II RP – bolszewickie władze przeprowadziły systematyczną operację depolonizacji wschodnich rubieży byłej Rzeczypospolitej. Polacy byli terroryzowani, deportowani, rozstrzeliwani.

W trakcie apogeum tej kampanii, w latach 1937–1938, życie mogło stracić nawet 200 tys. Polaków.

Mowa o pierwszym ludobójstwie popełnionym na narodzie polskim – operacji polskiej NKWD.

Niestety, przeciętny Polak nie ma o tej tragedii pojęcia. Sytuację tę – za co mu chwała – stara się zmienić IPN. Instytut właśnie wydał bardzo ciekawą, popularnonaukową książkę Anny Ze-

chenter „Zagłada Polaków w Związku Sowieckim”.

Autorka w przystępny sposób przedstawia gehennę Polaków, począwszy od zagłady dworów na Rusi w 1917 r., a skończywszy na wielkim terrorze lat 30.

Na łasce bolszewików – pisze autorka – pozostały ziemie stanowiące jedną trzecią Polski z 1772 r. (ok. 250 tys. km kw.). Polska zrezygnowała z programu federacyjnego, tradycjami sięgającego czasów jagiellońskich. Operacja polska NKWD zamknęła wieko nad trumną Rzeczypospolitej Obojga Narodów – wymordowano bowiem i wygubiono jej potomków z terenów położonych na wschód od nowej granicy”.

I dalej:

„Pod koniec lat 30., gdy Polacy szli na śmierć tysiącami, gazety w Rzeczypospolitej milczały. Nie było ani demonstracji przed sowieckimi placówkami, ani

protestów z rządu. Można odnieść wrażenie, że rodaków w ZSRS uznano po prostu za straconych raz na zawsze dla Polski”.

Gorzkie to słowa, ale prawdziwe. Nadszedł czas, by naprawić błędy przeszłości i oddać należny hołd polskim ofiarom bolszewizmu. ©



★★★★★
ANNA ZECHENTER
„ZAGŁADA
POLAKÓW
W ZWIĄZKU
SOWIECKIM”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Soczewica, koło, miele młyn

Władysław Łokietek był specjalistą od przysparzania sobie problemów. Po utracie Pomorza na rzecz Krzyżaków wszedł w konflikt z patrycjatem Krakowa, który uważał, że władca nie wywiązywał się ze zobowiązań, faworyzował rycerstwo kosztem mieszczan, a przez jego politykę cierpiał rzemiosło i handel.

W 1311 r. miasto się zbuntowało, a krakowskich mieszczan poparły Sandomierz i Wieliczka. Wezwano do objęcia władzy króla Czech Jana Luksemburskiego, uważającego się za spadkobiercę Wacława II noszącego czeską i polską koronę. Wprawdzie nieznanzy z imienia kronikarz zapisał w jednym z roczników, że mieszczanie zostali ogarnięci germańskim szałem nienawiści do Łokietka, ale to nieprawda. Chodziło o handel i produkcję, czyli po prostu o pieniądze.

Do Krakowa wkroczył książę opolski Bolesław jako namiestnik Luksemburczyka. Kiedyś spędził rok w więzieniu Łokietka i miał powody, aby nie cierpieć dalekiego kuzyna. Teraz wykorzystał okazję, aby w imieniu króla Czech zająć Kraków.

Jednak bunt od początku skazany był na niepowodzenie. Załoga Łokietka utrzymała się na Wawelu, a rewolta w innych miastach została stłumiona. Król Czech nie udzielił pomocy i oddziały Łokietka przystąpiły do oblężenia Krakowa. Bolesław

opolski uznał, że nadszedł czas, by się wycofać, już raz siedział w więzieniu u kuzyna i nie zamierzał tego błędu powtarzać. Opuścił Kraków, zabierając ze sobą kilku przywódców buntu, z wójtem Albertem na czele. Mieli oni spędzić lata w opolskim lochu, ale ocalili życie. Ci, którzy pozostali w Krakowie, nie mieli tyle szczęścia.

Na początku czerwca wojska Łokietka zdobyły miasto szturmem i Kraków stał się sceną okrutnych wydarzeń. Rycerstwo polskie wywlekało z domów i mordowało każdego, kto nie potrafił poprawnie wypowiedzieć: „soczewica, koło, miele młyn”. Wielu Niemców zapłaciło życiem za nieznaną sobie języka polskiego, a ofiarami rzezi padli zapewne też ludzie z wadami wymowy. Kto wie, jak wielu jaskających się lub sepleniących Polaków zostało wówczas zabitych? Straszny był los członków rady miejskiej, których włóczono przywiązanych do koni, a następnie wieszano lub łamano kołem. Z przywódców buntu, którzy pozostali w Krakowie, nikt nie uszedł z życiem.

Łokietek zniósł dziedziczne wójtostwo i ograniczył znaczenie polityczne miasta, ale nie zmienił przywilejów ekonomicznych Krakowa. Władysław mógł być uparty, małostkowy i zjadły, jednak nawet on rozumiał, że w ten sposób sprowokowałby kolejną rebelię.

Ostatecznie to pieniądze rządzą światem. ©

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKI
SERIA OPOWIADAŃ
PRZEDWOJENNYCH

URKE NACHALNIK
„ŻYCIORYS WŁASNY PRZESTĘPCY”
ORAZ „ŻYWE GROBOWCE”

~~371~~ zł



143,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
228 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



Sebastian Reńca

Czy był członek plutonu specjalnego ZOMO – Roman S. – odpowie za strzelanie w kopalni Wujek

Ja w okresie stanu wojennego brałem udział w 5 akcjach, między innymi na kopalni »Staszic« i w hucie »Kato-wice« [...], jednakże nigdy wcześniej nie spotkałem się z taką sytuacją. Tak rozwścieżonego i zorganizowanego tłumu wcześniej nie spotkałem. Po akcji, gdy dokonywałem zabezpieczenia broni, stwierdziłem, że brakowało mi 3 naboł – tak 21 grudnia 1981 r. zeznał przed prokuratorem Wojskowej Prokuratury Garnizonowej w Gliwicach jeden z członków plutonu specjalnego ZOMO. Jego funkcjonariusze pięć dni wcześniej, w trzecim dniu stanu wojennego, strzelali do strajkujących górników z kopalni Wujek. W wyniku strzałów zginęło dziewięciu górników, a 23 innych zostało zranionych.

O tym funkcjonariuszu stało się głośno 6 czerwca, gdy media obiegała informacja, że Chorwacja wydała Polsce Romana S., który uniknął procesów w sprawie strzałów w kopalni Wujek. Stało się tak, ponieważ Roman S. wyjechał do Niemiec, gdzie w 1993 r. zrzekł się polskiego obywatelstwa i zmienił nazwisko, dlatego dziś zamiast Roman R. można o nim pisać: Roman S. Był funkcjonariusz plutonu specjalnego ZOMO był poszukiwany, ponieważ w 2012 r. polska prokuratura wydała za nim list gończy. Wniosek o wydanie Europejskiego Nakazu Aresztowania złożył do katowickiego sądu prokurator Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach.

„PRZYWRACALI ŁAD I PORZĄDEK”

W 1993 r. Jacek Hugo-Bader opublikował w „Gazecie Wyborczej” reportaż o losach milicjantów z plutonu specjalnego, przedstawił ich 24 pod zmienionymi nazwiskami. Roman S. wystąpił w tekście reportażysty pod numerem 23: „Roman Rajtar to młodszy brat Edwarda. Tak samo jak Owsiany wyjechał za granicę. Prokurator nie może sądzić ich zaocznie, więc zostali wyłączeni ze sprawy całego plutonu. Pozostali są wściekli. Pytają, dla-



„Brakowało mi

czego. Teoretycznie to właśnie oni mogą być winni”. Na ławie oskarżonych, obok innych ZOMO-wców, siedział wówczas jego brat Edward, który – jak napisano w akcie oskarżenia z grudnia 1992 r. – „nie przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu. Składając wyjaśnienia, podał, że broni użył w sytuacji, gdy pododdziały BCP [Batalionu Centralnego Podporządkowania – przyp. red.] zaczęły się cofać, usłyszał wówczas inne strzały i też użył broni, chcąc powstrzymać atak górników. W raporcie przyznał zużycie 9 sztuk amunicji”.

Tuż po akcji w kopalni Wujek ZOMO-wcy z plutonu specjalnego pisali oświadczenia na temat użycia broni. Oświadczenie Romana S. nie ma daty, oświadczenia innych funkcjonariuszy były datowane na 18 lub 19 grudnia 1981 r. Wszystkie miały podobną treść.

Roman S. napisał: „W dniu 16.12.1981 około godz. 11 działając

w grupie operacyjnej, której zadaniem było przywrócenie ładu i porządku publicznego oraz ubezpieczenie funkc. BCP, w trakcie prowadzonych działań użyłem broni przez oddanie w powietrze 4 strzałów. Miejszem całej akcji była KWK »Wujek«”. Kilka dni później mówił już prokuratorowi o trzech pociskach, tyle samo wystrzelonych nabołów przypisano Romanowi S. w wykazie zużytej amunicji przez funkcjonariuszy plutonu specjalnego. W sumie 16 grudnia 1981 r. miano wystrzelić 156 pocisków. Według oświadczeń strzały miały paść oczywiście w powietrze.

„W ŁEB I NA KOMORĘ”

Roman S., który urodził się w 1957 r., skończył zawodówkę i został konstruktorem urządzeń drewnianych. Gdy miał 20 lat, wstąpił do milicji (10 listopada 1977 r.). Od 1979 r. był już „funkcjonariuszem zawodowym w plutonie specjal-



Pacyfikacja kopalni Wujek w Katowicach
16 grudnia 1981 r. FOT. MAREK JANICKI/FOTONOVA

trzech naboii

nym ZOMO" w Katowicach, o czym mówił wojskowemu prokuratorowi.

Jego starszy o trzy lata brat Edward miał wykształcenie średnie (mechanik samochodowy), a do milicji wstąpił w 1974 r. Cztery lata później służył w katowickim plutonie specjalnym.

Na stanie uzbrojenia Romana S. były pistolet P-64, jako broń osobista, i pistolet maszynowy PM-63 „Rak” – to właśnie z tej broni strzelano do górników z Wujka amunicją 9 mm wz. „Makarowa”.

Chociaż kilkanaście lat temu Jacek Jaworski, autor słynnego odtworzonego z pamięci „raportu taterników”, powiedział reporterom „Gazety Wyborczej”, że zapamiętał braci (starszy „chwalił się strzelaniem do ludzi”), to jednak w samym raporcie nazwisko braci występuje bez imienia.

Jaworski opisał m.in. wspomnienia ZOMO-wców, w raporcie znalazły się zdania o tym, że funkcjonariusze mierzyli

„w łeb” i „na komorę”. Relacjonując te wydarzenia, strzelający, mocno zemocjonowani, mówili, że [górnicy] »tak fajnie padali jak ludziki na strzelniczy – strzał i ludzik znikną!«. Tych określeń używało kilku milicjantów, między innymi Cieślak i Rau. Ten ostatni mówił wręcz, że widział, jak »Walerek« strzelał, a ludziki »fik i zniknęły«.

Czym się skończyły strzały „w łeb” i „na komorę”? Czterech zabitych górników otrzymało postrzał w głowę, kolejnych czterech zostało trafionych w klatkę piersiową i brzuch lub tylko w brzuch, a jeden górnik otrzymał postrzał w szyję. Wśród 23 rannych większość została zraniona w górne partie ciała.

DRUGORZĘDNE ZNACZENIE

Roman S., zeznając przed prokuratorem wojskowym w 1981 r., oczywiście nie przyznał się, że strzelał w kierunku górników. Tak jak inni ZOMO-wcy

tłumaczył się zagrożeniem ze strony górników, którzy zastrajkowali m.in. w obronie przewodniczącego zakładowej Solidarności oraz wszystkich innych internowanych. Górnicy opuściliby kopalnię, gdyby została zajęta przez wojsko, o czym głośno mówili, dodając, że ZOMO-wcom nie dadzą się bezkarnie spałować.

W 1982 r. wojskowa prokuratura podzieliła zdanie milicjantów z plutonu specjalnego i 20 stycznia wydano postanowienie o umorzeniu śledztwa „w sprawie użycia broni palnej” w kopalni Wujek 16 grudnia 1981 r. Według prokuratora por. Janusza Broła funkcjonariusze plutonu specjalnego działali w obronie własnej „w celu odparcia bezpośredniego, gwałtownego i bezprawnego zamachu na ich życie i zdrowie”, przy czym każdy z nich „starał się kierować strzały w górę”.

W dalszej części uzasadnienia prokurator przyznał, że w ten sposób oddanym strzałom „nie można dać w pełni wiary, bowiem przeczą temu skutki, do jakich użycie broni doprowadziło”, jednak w toku śledztwa nie udało się ustalić, kto strzelał w górę, a kto w ludzi (o tym, że był to wynik zaniedbań śledczych, ani słowa w uzasadnieniu), „niemniej jednak w świetle poczynionych w sprawie ustaleń i ocen prawnych użycia broni, okoliczność ta ma znaczenie drugorzędne”!

Problem w tym, że górników, którzy zostali trafieni z najbliższej odległości, od strzelających ZOMO-wców dzieliło ok. 20 metrów. Żaden z tych ludzi nie stwarzał „bezpośredniego” zagrożenia dla funkcjonariuszy.

Tuż po umorzeniu śledztwa w sprawie krwawego „odblokowania” kopalni, już 9 lutego 1982 r., skazano po kilkudniowym procesie czterech górników z Wujka: Mariana Głucha, Stanisława Płatka, Jerzego Wartaka i Adama Skwirę, na kary od trzech do czterech lat więzienia. Procesy członków plutonu specjalnego ZOMO zakończyły się ostatecznie 10 lat temu, gdy Sąd Najwyższy oddalił kasacje obrony. Większość funkcjonariuszy usłyszała wyroki takie jak... blisko trzy dekady wcześniej górniczy z Wujka. Za to, co się stało w katowickiej kopalni, nigdy nie odpowiedzieli twórcy stanu wojennego: Wojciech Jaruzelski i Czesław Kiszczak.



Z Janem Głuchowskim, autorem książki o turystyce handlowej w PRL rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Nie wszystko na sprzedaż

Bazar Różycyńskiego w Warszawie, lata 70.

FOT. JERZY WOROPIŃSKI/FORUM

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Popularność turystyki handlowej w PRL napędzały permanentne niedobory ekonomiczne?

JAN GŁUCHOWSKI: Zdecydowanie tak. Plus perspektywa kuszącego dochodu. Za butelkę whisky kupioną w trakcie międzyładowania – planowanego celowo przez biura podróży – w Dubaju za niecałe pięć dolarów w Delhi dostawało się 50, czyli pięć przeciętnych pensji w Polsce. Generalnie zaś handel turystyczny w PRL z każdym rokiem nabierał rozpędu, chociaż nie wszystko dawało się upłynnić. W końcu lat 80. eldorado stała się Korea Południowa. Zakupy tam dawały murowane trzykrotne przebicie. A dolary wywożono oficjalnie. Tuż przed zmianami ustrojowymi moimi współpasażerami w drodze do Seulu byli dwaj turyści z jednego z miast wojewódzkich. Gdy zaczęliśmy mówić o kwotach, siedzący obok mnie stwierdził z dumą, że wiozą 300 tys. dol.

Natychmiast zapytałem gdzie. Wówczas wyciągnął spod nóg pękatkę aktówkę i ją otworzył. Pierwszy i ostatni raz w życiu zobaczyłem pęki amerykańskich 100-dolarowych banknotów w bankowych banderolach.

Kierunki handlu turystycznego wyznaczyła żelazna kurtyna?

Owszem. Jednak istotne były także dyspozycje handlujących turystów i ich inwestycyjne zasoby. W przeważającej części towarami były kremy Nivea, woda toaletowa Prastara, wódka i podrabiane dzinsy. Zamożniejsi wywozili kryształły oraz wyroby futrzarskie z lisów.

Apogeum zjawiska nastąpiło w latach 70.?

Rzeczywiście, wtedy mieliśmy do czynienia z erupcją turystycznego wulkanu. Przełomem okazał się rok 1972, kiedy podpisano umowę z ówczesnym sąsia-

dem zachodnim, umożliwiającą obywatelom swobodny ruch przygraniczny. O ile w 1971 r. wyjechało do NRD 124 tys. naszych rodaków, o tyle rok później było ich 80 razy więcej! Podobne liberalne przepisy wprowadzono wkrótce dla wyjeżdżających do pozostałych tzw. krajów demokracji ludowej w Europie: Bułgarii, Czechosłowacji, Rumunii, Związku Sowieckiego i na Węgry.

Najbardziej chłonny rynek zbytu znajdował się chyba w ZSRS...

W ZSRS popyt był na wszystko. Warto sobie uświadomić, że nasze kosmetyki i galanteria – poczynając od bielizny, a kończąc na konfekcji damskiej i męskiej – z państwowych fabryk jawiły się radzieckim obywatelom jak nam paryskie. Przebojem była też guma do żucia. A w zamian przywożono z owego sesamu: kamienie szlachetne i półszlachetne, kawior, złotą biżuterię, wyroby futrzarskie, aparaty fotograficzne, stołowe sztucce, zabawki dla dzieci, gramofony i płyty, ale i potężne prasownice Kalinka i jeszcze potężniejsze telewizory Rubin, w których niekiedy eksplodowały kineskopy.

Z „Czterdziestolatka” wiemy, że na Węgrzech można było sprzedawać kryształ i kupić salami...

Ściąga z budapeszteńskich perypetii inżyniera Stefana Karwowskiego okazała się bardzo przydatna. Kryształ w jedną stronę, a salami w drugą to był stały i bezawaryjny mechanizm. Wspólnym wspomnieniem węgierskich operacji była łatwa dostępność w postaci bezpośredniego połączenia kolejowego Warszawa – Budapeszt. A po przyjeździe nie trzeba było nawet się fatygować na bazar. Keleti pályaudvar, czyli Dworzec Wschodni, wspaniale sprawdził się w roli targowiska. Nasz język był tam używany na równi z węgierskim. Jednak nie hańbiliśmy się wyłącznie kryształową ofertą. Wywoziliśmy rosyjskie aparaty fotograficzne i artykuły gospodarstwa domowego. A poza flagową wędliną „bratanków” kupowaliśmy od nich niedostępną u nas gatunkową konfekcję, buty, fosforyzujące sznurówki do butów, kosmetyki (przede wszystkim BAC), mydełka o przyjemnym zapachu, kostki Rubika, płyn na porost włosów Banfi i brandy Budafok, chociaż często nie dojeżdżała ona do Warszawy, ponieważ podróż zajmowała kilkanaście godzin, a niektórych „turystów” rozpieęła radość z powodu udanej wymiany handlowej.

Wymienialność dinara rzutowała na pobyt polskich turystów w Jugosławii?

Dzięki niej uznali ją za przedsiónek Zachodu. Stanowiła domenę wąskiej grupy Polaków. Wycieczki tam były droższe i organizowano je rzadziej. Handel był unikalny. Sprzedawano w zasadzie srebro i garnitury, kasując dolary. Garnitur Bytom kosztował w kraju ok. 20 dol. W Belgradzie można było za niego otrzymać 100. Pamiętam, jak jeden z członków wycieczki stwierdził chełpliwie po sprzedaży czterech: „Ja nie mam czasu na darmową pracę w Polsce. Wolę podróżować!”.

W greckich i tureckich sklepach Polaków witały szylidy w naszym języku...

Nie tylko witryny, lecz także wizytówki po polsku, które wręczano masowo naszym turystom. Oto treść niektórych: „MICHAŁ błamy-futra-kożuchy-karakuły-norki-kozy, duży wybór, wysoka jakość, przystępne ceny, obsługa w języku polskim, Ateny Zinos 17 I piętro”; „Uprzejmie i serdecznie zapraszamy do naszego sklepu, posiadamy modną konfekcję, różne style i modele, a jednocześnie będziemy szczęśliwi, jeśli każdy klient wybierze coś dla siebie, Istambul Kurultay Sole. Balaban No 6-8/1”. A i – nadmiar szczęścia – w wielu sklepach na ziemi greckiej i tureckiej płynnie mówiono po polsku.

Handel z Grecją miał drugie dno. Jeżdżono tam samochodami obładowanymi do granic wytrzymałości. Oto odnotowany przez celników w paszporcie ładunek wwożony przez małżeństwo „maluchem”, czyli fiatem 126p: „4 materace do spania, 4 plażowe, 4 śpiwory, 4 suszarki do włosów, 5 maszynek elektrycznych do golenia, 4 krzeselka składane, 4 kryształ, 2 butle gazowe”. Skutek był taki, że dziesiątki firm greckich produkujących wymienione artykuły zbankrutowały. W rozmowie z dyrektorem urzędu celnego w Salonikach usłyszałem w konkluzji: „Co my mamy z turystów polskich, którzy wywożą więcej dolarów, niż przywieźli?”.

A jakie możliwości dało otwarcie PRL na egzotyczne zakątki globu: Kuba, Tajlandia, Egipt czy Indie?

W przypadku trzech pierwszych państw często głównym motywem ich zwiedzania była jednak atrakcyjność turystyczna. Z Kuby nieraz przywożono rum i cygara. Z Egiptu wyroby skórzanego. Tajlandia – jako centrum globalnej sektury turystyki – była dla obywateli PRL zbyt droga. W Indiach zaś pseudo-

turyści totalnie handlowali, nabywając setki kilogramów tekstyliów, wyrobów z kości, metalu i drewna, które wysyłali do kraju jako cargo. Mieli ułatwione zadanie, gdyż stosowne adresy widniały na oferowanych w hotelach ulotkach: „Dzaj Go-bind. Mówimy po polsku, sklep dla Polaków, dom nadwyżek eksportowych, gotowa odzież eksportowa, bluzki, sukienki, spodnie, koszule, spodnie, garsonki, kamizelki itp. 4573 Main Bazar, Paharganj, New Delhi 110 055”. Na Paharganj i Palika – dwóch głównych placach targowych w New Delhi – dominował język polski i panowała atmosfera niczym na bazarze Różycy w Warszawie.

U schyłku „komuny” dla naszych rodaków dostępna stała się również Korea Południowa, co niebawem zaowocowało wręczanymi im osobiście anonsami reklamowymi: „Burner International Corp. C.P.O. Box 1587 Seul, Korea. Szanowny Panie... możemy dostarczyć: obuwie sportowe, swetry z angory, skarpety, torby podróżne, biżuterię, rękawiczki, obuwie domowe, wózki dziecięce, materiały, przybory piśmienne o charakterze upominkowym oraz wiele innych artykułów. Z głębokim poważaniem In Mo Ahn”.

Kontrabanda, nierzadko uprawiana przez sportowców, bywała niekiedy karana, lecz nie odstraszała to od uprawiania tego procederu.

Można domniemywać, że ludzi sportu przy odprawach – celnej i paszportowej – traktowano ulgowo. Jednak w większości przypadków sankcje związane z przemytem – zważywszy na jego rozmiary – ograniczały się do konfiskaty towaru lub kar pieniężnych. Areszt bywał nieraz bardzo brzemienny w skutki, casus Władysława Grotyńskiego, bramkarza piłkarskiej drużyny Legii Warszawa, któremu zwichnął i futbolową karierę, i życie, ale na szczęście zdarzał się stosunkowo rzadko.

Dlaczego handel w królestwie Posejdona traktuje pan osobno?

Wycieczki morskie stanowiły perłę w turystycznej koronie. W zasadzie oferowało je tylko jedno polskie biuro podróży, Sports-Tourist, a wśród nich królowały rejsy transatlantykami „Stefan Batory” po Morzu Śródziemnym, na Wyspy Kanaryjskie, do Afryki Północnej i magicznych



JAN GŁUCHOWSKI
„NA SAKSY
I DO BUŁGARII.”
TURYSTYKA
HANDLOWA W PRL”
BELLONA 2019

norweskich fiordów. Podróżującymi była śmietanka finansowa PRL, a więc „badylarze” (kwiatciarze, warzywnicy i sadownicy), właściciele zakładów rzemieślniczych oraz ludzie wolnych profesji: artyści, lekarze, prawnicy, dziennikarze, naukowcy.

Dysponując gotówką, dokonowali zakupów w kolejnych portach – często w eleganckich sklepach jubilerskich i drogich magazynach z dywanami. Wyjątkiem był Londyn, który znajdował się w programie każdej wycieczki. Jednak i tu pod statek przyjeżdżały bagażówki, z których Żydzi polskiego pochodzenia sprzedawali zegarki po dolarze czy kosmetyki. Bardzo lubiłem tych dowcipnych, starszych wiekiem ludzi, chętnie wdających się w pogawędki, z sentymentem wspominających swą polskość.

Jednak były też rejsy na pokładach „Gruzji” i „Armenii” po Morzu Śródziemnym oraz promy pływające do Skandynawii, np. płaskodenne „Mazowsze”. Ten ostatni statek był powszechnie nazywany przemytnikiem. Jego pasażerowie sprzedawali papierosy i wódkę, a kupowali pastę do zębów, a zwłaszcza proszki do prania, na których mieli co najmniej pięciokrotne przebiecie! Towar od ręki nabywali pośrednicy już w porcie lub sprzedawano go na gdyńskim przydworkowym bazarze. Żartowano, że gdyby „Mazowsze” zatonięło, to woda w całym Bałtyku spieniłaby się niczym w balii.

Brak mi w książce rozdziału o handlu podziemnym, z którego korzystałem...

Byłem tylko raz jeden jego świadkiem. W czasie lotu radzieckimi liniami z Kaukazu do Moskwy szefowa stewardes do tego stopnia była zafascynowana strojem jednej z naszych turystek, że przekonała Polkę, aby go jej odsprzedała w całości. Propozycja musiała być atrakcyjna finansowo, bo szybko została zaakceptowana. Nasza turystka schodziła z trapi i wracała do Warszawy w służbowym niebieskim uniiformie Aeroflotu. Podobno przedmiotem sprzedaży była nawet białizna...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jan Głuchowski – prawnik, ekonomista, dyplomata, nauczyciel akademicki, autor publikacji naukowych i powieści historycznych. Hobby: turystyka.

Podróż na Światowe Forum Ekonomiczne do Davos zajęła jej w jedną stronę ponad 30 godzin. Lot ze Szwecji do Szwajcarii trwa wprawdzie ok. półtorej godziny, ale taka metoda transportu to dla Greta Thunberg niewybaczalna zbrodnia przeciwko klimatowi. Szwedzka nastolatka, zaproszona do wzięcia udziału w jednym z paneli dyskusyjnych w Davos, postanowiła więc dostać się na miejsce pociągiem, uznając, że to najmniej szkodliwy dla środowiska sposób podróży.

Wyprawę koleją przez pół Europy Thunberg na bieżąco relacjonowała na swoim koncie na Twitterze (w ubiegłym tygodniu obserwowało ją niemal 700 tys. osób). Młoda Szwedka bardzo dba o to, by wszystko wokół niej było jak najbardziej ekologiczne (wielokrotnego użytku butelki na wodę i pojemniki na żywność – obowiązkowo wegańską – to oczywiście podstawa), ale w relacji z podróży nie udało jej się uniknąć pewnego zgrzytu. Co bardziej proekologicznie nastawieni użytkownicy Twittera zaczęli jej bowiem wytykać, że na zdjęciu przedstawiającym jej lunch w pociągu widać też chleb zawinięty w folię...

Trudno się dziwić bardzo krytycznym komentarzom w sprawie chleba w folii, ponieważ Thunberg bardzo wysoko zawiesiła ekologiczną poprzeczkę. Na tyle wysoko, że największe światowe media dosłownie oszalały na jej punkcie. Magazyn „Time” umieścił ją w setce najbardziej wpływowych ludzi 2019 r. (Thunberg usytuowana została między prezydentem USA a prezydentem Meksyku), „The New York Times” nazywa ją „Kasandrą epoki zmian klimatycznych”, a w wielu lewicowych mediach porównywana jest też m.in. do... Joanny d'Arc.

„Nie chcę waszej nadziei. Nie chcę, żebyście żyli nadzieją. Chcę, żebyście wpadli w panikę. Chcę, żebyście poczuli strach, który ja czuję codziennie. I w końcu chcę, żebyście zaczęli działać i żebyście zachowywali się tak, jakby nasz dom płonął. Bo tak właśnie jest” – mówiła do słuchaczy panelu dyskusyjnego w Davos.

Kiedy wydawało się już, że miejsce w pierwszej setce najbardziej wpływowych ludzi „Time’a” to maksymalna nobilitacja dla tak młodej dziewczyny, okazało się, że może być jeszcze ciekawiej – Greta Thunberg ma całkiem realne szanse na sięgnięcie po Pokojową Nagrodę Nobla. Trzech socjalistycznych



FOT. LEONHARD FORGGER/REUTERS/EPIC

„Klimatyczna prorokini” lewicy



Piotr Włoczyk

Walcz z samolotami, sprzeciwia się jedzeniu mięsa i nie chodzi do szkoły, by ratować świat przed ociepleniem. 16-lletnia Szwedka nieoczekiwanie stała się bożyszczem „postępowego” świata

postów do norweskiego parlamentu tak bardzo zachwyciło się jej radykalnymi receptami na walkę ze zmianami klimatycznymi, że postanowiło ją nominować do tej nagrody.

„Zaproponowaliśmy Gretę Thunberg, ponieważ jeżeli nie zrobimy niczego, by zatrzymać zmiany klimatyczne, to stanie się to przyczyną wojen, konfliktów i pojawienia się fali uchodźców – powie-

dział AFP poseł Freddy André Øvstegård. – Greta Thunberg rozpoczęła masowy ruch, w którym widzę wielki wkład na rzecz światowego pokoju”.

Jakkolwiek by oceniać jej dotychczasowy wkład na rzecz pokoju na naszej planecie, to po Noblu dla Baracka Obamy, który dostał tę nagrodę, zanim jeszcze zdążył zrobić cokolwiek na stanowisku prezydenta USA, ewentualne przyznanie

Thunberg tej nagrody nie powinno być dla nikogo większym zaskoczeniem.

SAMOLOTY TO ZŁO

Nastolatka ze Sztokholmu stała się światowym fenomenem latem zeszłego roku, kiedy postanowiła na pewien czas rzucić szkołę i zamiast tego spędzać dni na protestach pod budynkiem szwedzkiego parlamentu. Swoją strajk rozpoczęła 20 sierpnia, oznajmiając rodzicom, że aż do wyborów parlamentarnych (miały się odbyć trzy tygodnie później) nie będzie chodzić do szkoły.

Zdjęcia drobnej uczennicy gimnazjum trzymającej w rękach karton z napisem: „Skolstrejk för klimatet” („Strajk szkolny dla klimatu”) szybko obieżyły największe światowe media. Po trzech tygodniach niechodzenia do szkoły Greta Thunberg stwierdziła, że będzie strajkowała jeden dzień w tygodniu. Od tej pory regularnie pojawia się przed gmachem Riksdagu w piątki.

W ten sposób Szwedka stała się inicjatorką międzynarodowego Młodzieżowego Strajku Klimatycznego. Szacuje się, że 15 marca nawet 1,5 mln uczniów na całym świecie postanowiło wziąć udział w „zielonych wagarach”. Również w Polsce nastolatki wyszły tego dnia na ulice polskich miast z transparentami wzywającymi do pilnego ratowania Ziemi. Na niektórych z nich widać było podobiznę Gretty Thunberg.

„Po co się uczyć, skoro zabierają nam przyszłość? Po co się uczyć faktów, skoro fakty nie mają znaczenia w tym społeczeństwie? To, że coś robię, daje mi wielką siłę. Wyrażam swoją opinię, wprowadzam ferment” – krzyczała niedawno na jednym z proekologicznych wieców.

Poza propagowaniem ogólnoświatowych wagarów na rzecz klimatu nastolatka ze Szwecji znana jest przede wszystkim z kampanii promującej tzw. Flygskam. Ten szwedzki termin oznacza po prostu wstyd z powodu korzystania z samolotów.

Obrzydanie podróży lotniczych najbardziej spektakularne efekty przynosi właśnie w Szwecji. Mieszkańcy tego kraju – według badań Eurobarometru 80 proc. z nich uważa zmiany klimatyczne za największy problem na świecie – coraz bardziej ulegają presji „Flygskam” i przesiadają się z samolotów do pociągów. Swedia AB, zarządca największych szwedzkich lotnisk, podała właśnie, że w ciągu czterech pierwszych miesięcy tego roku zanotowała

na trasach międzynarodowych spadek liczby pasażerów o 4 proc., a na trasach krajowych – aż o 8 proc. w porównaniu z zeszłym rokiem. To pierwsze spadki po wielu latach stabilnych wzrostów. Ekologiczna kampania antylotnicza stała się dla tej branży na tyle dużym kłopotem, że IATA (Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Powietrznych) dwoi się i troi, żeby ratować wizerunek sektora lotniczego.

„Przestańcie nazywać nas trucicielami” – apelował ostatnio Alexandre de Juniac, dyrektor generalny IATA i były szef Air France, przekonując, że przewoźnicy stają się coraz bardziej przyjaźni dla środowiska.

„Lot, który dziś odbywasz, skutkuje 50 proc. niższą emisją CO₂, niż lot na tej samej trasie w 1990 r.” – podkreślał z kolei Michael Gill, dyrektor ds. środowiska w IATA. Jak wielkim problemem dla świata są zanieczyszczenia powodowane przez ruch lotniczy? Samoloty odpowiadają za ok. 2 proc. ogólnej światowej emisji CO₂ do atmosfery.

Thunberg swoją antylotniczą krucjatę rozpoczęła od najbliższej rodziny. Jej matka, znana szwedzka śpiewaczka operowa, wzięła sobie do serca postulat córki, co jednak nie najlepiej odbiło się na jej karierze – rezygnacja z samolotów skutkowała bowiem ograniczeniem jej aktywności zawodowej. Również ojciec nastoletniej aktywistki, z zawodu aktor, poszedł w tym temacie w jej ślady. Wszyscy też przestali jeść produkty odzwierzęce, a także – jak zgodnie przyznają – drastycznie ograniczyli kupowanie nowych produktów.

Thunberg przekonuje, że jej strajk będzie trwał dopóty, dopóki bogate kraje, w tym przede wszystkim jej rodzinna Szwecja, nie zaczną redukować emisji CO₂ o co najmniej 15 proc. rocznie. To bardzo odważny postulat, skoro nawet lewicowy brytyjski „Guardian” nazywa taki pomysł „skrajnym”.

HAMBURGERY ZABIJAJĄ

Przygoda Thunberg ze światem wielkiej polityki zaczęła się od Katowic (przyjechała do Polski pociągiem i autem elektrycznym). W czasie konferencji klimatycznej COP24 Thunberg apelowała do zgromadzonych: „W 2078 r. będę obchodziła moje 75. urodziny. Jeżeli będę miała dzieci, to być może spędzą ten dzień ze mną. Być może zapytają mnie o was, dlaczego nie zrobiliście niczego, dopóki był jeszcze czas. Mówicie, że ko-

chacie dzieci ponad wszystko, a mimo to kradniecie ich przyszłość na ich oczach”.

Konferencja w Katowicach ewidentnie nie zrobiła na niej najlepszego wrażenia, skoro później komentowała: „To nie było autentyczne. Przykładowo w stołówce wszyscy jedli hamburgery”. W tej wizji świata jedzenie mięsa to odbieranie przyszłości naszym dzieciom i wnukom.

Małomówna, z wiecznie śmiertelnie poważną miną Greta Thunberg otwarcie przyznaje, że cierpi na zespół Aspergera, zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, a także mutyzm wybiórczy (zdarza się, że bardzo długo nic nie mówi). Nastolatka w swoich zaburzeniach upatruje jednak pewnych pozytywów – dzięki nim ten jeden temat kompletnie ją pochłonął i pozwolił odnaleźć jej sens życia. Jak podkreśla, zmiany klimatu po raz pierwszy przeraziły ją, gdy miała osiem lat, i od tego momentu strach przed katastrofą ekologiczną jej nie opuszcza.

Wystąpienia Thunberg świetnie przyjmowane były m.in. na forum Parlamentu Europejskiego, a także brytyjskiej Izby Gmin, gdzie spiker John Bercow zgotował nastoletniej aktywistce owację. Gorzej wypadło przyjęcie pomysłów młodej Szwedki przez premier Theresę May, która nazwała strajk uczniów „marnowaniem zajęć lekcyjnych”.

Greta Thunberg do grona swoich stronników zalicza m.in. papieża Franciszka, który podczas spotkania (rozmowa trwała niecałe pół minuty) życzył jej po prostu, by kontynuowała swoją pracę na rzecz ochrony klimatu.

Jak duże szanse ma gimnazjalistka na pokojowego Nobla? Jeżeli wierzyć specjalistom z czołowej brytyjskiej firmy bukmacherskiej Ladbrokes, to właśnie ona jest główną kandydatką do tej nagrody.

Na razie jednak „klimatyczna prorokini” ma bardzo przyziemne problemy. We wrześniu wybiera się na szczyt klimatyczny ONZ do Nowego Jorku, a – jak wiadomo – podróż samolotem nie wchodzi w jej przypadku w grę. Jedną z poważnie rozważanych przez nastolatkę opcji, która według niej jest najbardziej „zielona”, jest przeplnięcie Atlantyku na pokładzie... kontenerowca. W czasie takiej podróży na pewno nie zabraknie jej czasu na spokojne napisanie i dokładne przećwiczenie przemówienia – kontenerowiec na pokonanie trasy Szwecja–USA (w jedną stronę) potrzebuje zaledwie ok. 10 dni.

Koniec zaplanowany



Piotr Kościński

Przywódca Kazachów okazał się
bardziej przewidujący niż rządzący
sąsiednimi krajami

Obszerując wydarzenia w Azji Centralnej, rozgrywające się 4 tys. km od nas, niespecjalnie dostrzegamy różnice między poszczególnymi postsowieckimi republikami. To, co się dzieje w różnych „stanach” – Kazachstanie, Kirgistanie, Tadżykistanie, Turkmenistanie i Uzbekistanie – jest dla nas równie niepojęte. Trudno się więc dziwić, że zdumiewa nas operacja przekazania władzy, która trwa w pierwszym z tych państw. Złuszczą że jest przeprowadzona z niespotykaną wręcz precyzją.

Za czasów ZSRS granice republik przykrajano tak, jak chciał tego Stalin. Patrząc z perspektywy Europy, może się nam wydawać, że wszyscy mieszkańcy Azji Centralnej są spokrewnieni ze sobą, a tak nie jest. Większość tamtejszych narodów, np. Kazachowie i Kirgizi, mówi językiem zbliżonym do tureckiego, ale Tadżycy rozmawiają po persku. Kazachowie to lud koczowniczy (do zamieszkania w domach zmusili ich Sowieci), a od XV w. funkcjonowali przede wszystkim w trzech ordach (żuzach), gdy Uzbegy stworzyli w przeszłości silne państwa – chanaty Bucharę i Chiwy.

Najpierw do uległości zmusiła ich wszystkich carska Rosja. Potem przyszli Sowieci. Kazachów nakłonili do osiedlenia się, a ich kraj zamienili w wielki łagier, deportując tam Polaków z Ukrainy, Niemców z Powołża i Koreańczyków z Dalekiego Wschodu. Arbitralnie wyznaczyli granice, mieszając w narodowościowym tygry. A gdy Związek Sowiecki upadł, nie było już szans ani na powrót do czasów chanów, ani na łatwe zaprowadzenie tu nieznanej przecież wcześniej demokracji.

TURKMENBASZY – ŻYWY BÓG

Skrajnym przypadkiem okazał się Turkmenistan. Pierwotnie wydarzenia rozwijały się tak jak w innych środkowoazjatyckich republikach. Pierwszy sekretarz KC Komunistycznej Partii Turkmenii Saparmyrat Nijazow został w październiku 1990 r. prezydentem Republiki Turkmeńskiej (później zmieniono nazwę z Turkmenii na Turkmenistan), uzyskując 98,3 proc. głosów. Dalej poszło gładko: Nijazow zaproponował w 1992 r. zorganizowanie przyspieszonych wyborów, które oczywiście wygrał, otrzymując 99,5 proc. głosów. W październiku 1993 r. medżlis (parlament) ogłosił go przywódcą wszystkich Turkmenów świata i nadał mu tytuł „Turkmenbaszy Wielki”. W styczniu 1994 r. naród w referendum zgodził się na przedłużenie kadencji prezydenckiej.

Dziwne, że nie wprowadzono jeszcze jednej, dyskutowanej potajemnie w latach 1994–1995 zmiany – ogłoszenia Nijazowa szachem i przekształcenia kraju w monarchię. Jednak i tak Turkmenbaszy stał się żyjącym bogiem. Jego imieniem nazwano miasto Krasnowodsk oraz liczne place i ulice; najwyższą górę Ajribaba (3138 m) ochrzczono Szczytem Wielkiego Turkmenbaszy. Liczba pomników wodza, postawionych w całym Turkmenistanie, była porażająca – ponad 14 tys.

Napisana przez Nijazowa „Ruhnama” stała się więcej niż Koranem – uczono jej w szkołach. Wielki mufti Nasrullah ibn Ibadullah trafił na 22 lata do więzienia, bo nie chciał uznać „Ruhnamy” za świętą księgę.

Wydawało się, że Turkmenbaszy będzie rządził wiecznie. Niespodziewanie 21 grudnia 2006 r. zmarł na atak serca.



Istniała obawa, że rozpocznie się krwawa walka o władzę. Tak się jednak nie stało – i spora w tym zasługa szefa gwardii prezydenckiej Akmurata Redżepowa. Prezydentem został Gurbanguly Berdimuchamedow (w wyborach otrzymał 89,2 proc. głosów), wicepremier, który najpierw przejął władzę, odsuwając konstytucyjnego następcę, szefa parlamentu, Owsegeldy Atajewa. Redżepow chyba chciał za wiele, bo wkrótce trafił do więzienia, w którym zmarł.

– Imionami krewnych Turkmenbaszy nazywane były dni tygodnia i miesiące. Nijazow mówił, że będzie szczęśliwy, gdy dzieci z Turkmenistanu przestaną czytać Puszkina i Lermontowa, a zamiast tego będą musiały czytać jego „Ruhnamę”. Po-

nieważ kraj ten ma duże zasoby ropy, a pod względem gazu zajmuje szóste miejsce na świecie, Nijazow wierzył, że Turkmenistan nigdy nie będzie zależał od innych potęg – mówi politolog Daniał Saari z Almaty Management University w kazachskiej Ałma Acie.

Nowy szef państwa, Berdimuchamedow, nieco złagodził totalitarny system Nijazowa, choć nie do końca – zresztą krążyły wieści, że jest on nieślubnym synem Turkmenbaszy. Jego kult nie jest tak silny jak poprzednika, bo Arkadag („Protektor”, „Obrońca”) to jednak mniej niż jego poprzednik, „Wielki Wódz”.

JURTBASZY MNIEJ DESPOTYCZNY

Pałac prezydencki w Taszkencie robi wrażenie – wielka, biała budowla, chyba pięciokrotnie większa od innej, dużo lepiej znanej prezydenckiej siedziby – Białego Domu w Waszyngtonie. Tutaj jest Azja, co można poczuć na ulicach, a najlepiej chyba na głównym bazarze, gdzie piętrzą się kopce różnych gatunków ryżu.

Jednak to Azja podobnie postsowiecka co w Turkmenistanie. Pierwszy sekretarz KC Komunistycznej Partii Uzbekistanu Islam Karimow, człowiek o niejasnej biografii – nie jest do końca pewne, kim byli jego rodzice – gładko został prezydentem i czterokrotnie wygrywał wybory, a dwa razy przedłużał sobie kadencję w referendum. Jurtbaszy („głowa państwa”), choć rządził niepodzielnie, nie był tak despotyczny jak Turkmenbaszy. Skutecznie rozprawił się z radykalnymi islamistami i nacjonalistami, ale nie stawiano mu tysięcy pomników. Koniec miał jednak podobny.

W sierpniu 2016 r. agencja Fergana podała informację, że Karimow umarł. Władze zdementowały te wiadomości. Fergana musiała mieć jednak dobre informacje – Jurtbaszy był od dawna chory na cukrzycę. Następcą formalnym był przewodniczący senatu Nigmatuła Jugdaszow, osoba bez znaczenia politycznego. Spodziewano się więc, że władzę przejmie premier Szawkat Mirzijoew.

Wreszcie oficjalnie przyznano: Karimow zmarł na wylew krwi do mózgu. Organizacją pogrzebu zajął się Mirzijoew, co od razu pozwoliło snuć przypuszczenia, że to on zostanie następcą szefa państwa. Co prawda córka Karimowa, Gulnara, liczyła, że przejmie schedę po ojcu, ale okazało się to absolutnie niemożliwe. Poważne problemy stanęły przed drugą córką, niesłychanie bogatą



Alma Ata – największe miasto Kazachstanu FOT. ADOBE STOCK

■ Lolą – ambasador Uzbekistanu przy UNESCO. Jej mąż Timur Tiłhajew obwiniany był o korupcję.

Przewodniczący senatu zrezygnował z pełnienia obowiązków prezydenta. Zamiast niego pełniącym obowiązki został Mirzijojev (przy wątpliwościach, czy jest to zgodne z konstytucją), w kwietniu 2016 r. wybrano go zaś na urząd prezydenta (dostał 89 proc. głosów). A potem błyskawicznie „oczyścił” prokuraturę, zwalniając ponad 80 proc. pracowników, a także przeprowadził umiarkowane liberalne reformy. Przy okazji warto zauważyć, że biografia Mirzijojeva też jest niejasna: oficjalnie to Uzbek, ale są informacje, że w rzeczywistości jest Tadżykiem...

– Seria „kwiatowych rewolucji” na przestrzeni posowieckiej sprawiła, że przywódcy państw Azji Środkowej zaczęli zastanawiać się nad swoim losem i nieuchronnością wzrostu nastrojów sprzeciwu w ich krajach – podkreśla Daniał Saari. I wskazuje, że śmierć Nijazowa i Karimowa oraz jej następstwa musiały wpłynąć na prezydenta Kazachstanu. W obu tych przypadkach „transfer władzy” był dość nieoczekiwany i stanowił efekt zamkniętych debat wewnątrz rządzących elit.

„ELBASY” WYCIĄGNĄŁ WNIOSKI

Odejście dotychczasowych władców miało też niekorzystne efekty dla ich rodzin. – W Uzbekistanie z początkiem prezydentury Mirzijojeva stosunek do członków rodziny Karimowa uległ zdecydowanemu ochłodzeniu. Najstarsza córka byłego

prezydenta, Gulnara, trafiła do aresztu, najmłodsza zaś – Lola – utraciła cały swój biznes w kraju – opowiada Daniał Saari.

Prezydent Nursułtan Nazarbajew, nazywany „Elbasy”, czyli „Wodzem Narodu”, zaczął więc szykować swe odejście. Ma 78 lat, więc wiedział doskonale, że nie będzie rządził długo. Po trochu zaczął oddawać władzę. Jego kadencja miała się skończyć w kwietniu 2020 r., ale zeszłego lata przewodniczący senatu Kassym-Żomart Tokajew powiedział w wywiadzie dla BBC, że Nazarbajew raczej nie będzie kandydować w następnych wyborach.

– Dobrze rozumiał, że nawet zmiany w konstytucji nie ochronią członków jego rodziny. Opracował więc złożony mechanizm przekazania władzy, w ramach którego zachował najważniejsze uprawnienia – opowiada Daniał Saari.

19 marca 2019 r. Nursułtan Nazarbajew ogłosił rezygnację z urzędu prezydenta. Ta wiadomość, choć oczekiwana, była jednak niespodzianką. To, co się działo później, było niespodzianką jeszcze większą.

– W przestrzeni postsowieckiej nigdy władza nie przeszła w ręce osoby będącej numerem dwa w państwie. A w Kazachstanie przejął ją Kassym-Żomart Tokajew, przewodniczący senatu, a więc właśnie numer dwa. To było działanie ściśle zgodne z konstytucją – mówi Askar Nursza, dziekan Szkoły Polityki Publicznej i Prawa Almaty Management University. Sam Nazarbajew pozostał szefem rady bezpieczeństwa narodowego i przewodniczącym rządzącej partii Nur Otan.

Niektórzy eksperci spodziewali się, że „Elbasy” postawi na swoją córkę – Darigę. I pewnie tak się stanie, ale nieprędko. – Dariga jest kobietą, a Kazachstan to kraj muzułmański. Trzeba przygotować i ją, i społeczeństwo – opowiada pragnący zachować anonimowość politolog z Alma Aty. – Dlatego najpierw rządzić będzie Tokajew, były dyrektor generalny ONZ w Genewie, znany w świecie dyplomata. Dariga musi się sporo nauczyć i pozyskać ludzi – dodaje.

Błyskawiczne rozpisanie wyborów prezydenckich utrudniło działania potencjalnych kontrkandydatów. Okazało się, że Nursułtan Nazarbajew wszystko starannie zaplanował.

Kraj o dziewiątej powierzchni w skali świata, liczący 18 mln ludności, bardzo bogaty – choć przeciętny obywatel nie zawsze to odczuwa – zachował stabilność i wstrząs raczej mu nie grożą. Przywódca Kazachów okazał się mądrzejszy niż jego sąsiedzi, co oznacza trwanie niespecjalnie demokratycznych rządów, ale też spokój i brak radykalizmu. – A wbrew pozorom zagrożenia były i są. Nazarbajew ma przeciwników – i nie myślę tu o pozasystemowej opozycji, która jest słaba, ale o silnych oligarchach. Wydaje się jednak, że „Elbasy” ich przechrztył – mówi politolog z Alma Aty.

I ma rację. W niedawnych wyborach Tokajew otrzymał ponad 70 proc. głosów. I będzie rządził pod czujnym okiem swego poprzednika...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą na AFiB Vistula i współpracownikiem tygodnika „Idziemy”.



OPRESYJNA GRA W ZBIJAKA

Na niedawnym kongresie humanistycznym kanadyjscy naukowcy opowiadali o tym, jak „nieludzkie” są zabawy dla dzieci. Na cel wzięli zbijaka, czyli grę, w której zbija się piłką osoby z drużyny przeciwnej. Badacze uznali, że to rozrywka opresyjna, a zbijający zawstydzają zbijanych. W dodatku na początek wybiera się słabszych, w których łatwiej trafić. Światli badacze uznali, że taka „ceremonia inicjacyjna do brutalnego świata” nie jest potrzebna dzieciom, które mają wyrosnąć na członków demokracji liberalnej.

FOT. ANDRZEJ STOK

NIEMIECKIE ŚWIĘTO KONTRA PETRU

Czasem rodacy robią coś śmiesznego za granicą i wówczas możemy z czystym sumieniem odnotować to w tej rubryce. Tym razem odnotowujemy, że Ryszard Petru, były lider Nowoczesnej, pojechał do Niemiec, by udowodniać, jak złe jest polskie prawo nakazujące zamykanie supermarketów w niedzielę. Chciał pokazać, jak zakaz „nabija kieszenie” niemieckiemu handlowi. Wybrał jednak Zielone Świątki i w miejscowości, w której zamierzał urządzać happening, nie znalazł otwartej galerii handlowej.

ZA MAŁY NA TERRORYSTĘ?

Bułgarskie służby uniemożliwiły zamach bombowy. Zatrzymano 16-latkę, który planował zdetonowanie bomby. To chłopak, który „poddął się wpływom islamskiego radykalizmu”. Śledczy przesłuchiwali go, by wyjaśnić, jaki był główny motyw jego działania. Chcieli też ustalić, czy z kimś współpracował. Sąd kazał jednak nastolatka wypuścić na wolność, bo... nie jest pełnoletni.

DARMOWY HOTEL DLA PLANUJĄCYCH ABORCJĘ

Ponieważ w wielu stanach USA zaostrzono prawo aborcyjne, jego zwolenniczka ze stanu Yale zaproponowała, że każdej kobiecie pragnącej poddać się zabiegowi udostępni pokój w swoim hotelu za darmo. Nie wiadomo, jak ta zachęta podziałała na kobiety planujące zabić dziecko. Wiadomo, że ten ruch rozslawił hotel i właścicielka zaczęła zarabiać o 400 dol. tygodniowo więcej.

WYKRADLI SZCZĄTKI BOHATERA

Hadži Murat był bohaterem powstania górali kaukaskich przeciw carskiej Rosji. Zginął w walce z Kozakami. Teraz – jak doniosły lokalne media – Dagestańczycy wykradli jego ciało pochowane na terenie Azerbejdżanu i przewieźli do jego rodzinnej wsi. Sprawę badają śledczy ściągnięci z Baku. Tymczasem głowa Murata spoczywa w muzeum w Petersburgu. Władze Rosji nie chciały jej oddawać, by nie odrodziła się historyczna pamięć wśród Dagestańczyków. ©

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Knott w składzie porcelany

Dyplomacja jest niemal tak stara jak cywilizacja. Zawsze wiązały się z nią pewne cechy: dyskrecja, umiar, załatwianie spraw ważnych po cichu, nieangażowanie się w zbędne konflikty, bo to może zmniejszyć pole manewru w obronie własnego interesu. Jedynym wyjątkiem, gdy chodzi o demonstracyjne zachowania, były triumfalne wjazdy poselstw do miast, tak jak utrwalony na znanym obrazie wjazd posła króla Władysława IV, Jerzego Ossolińskiego, do Rzymu w roku 1633. To jednak czasy zamierzchłe, zakończył ten rozdział kongres wiedeński.

Żadnej z dyplomatycznych cnót nie dochował ambasador Wielkiej Brytanii w Polsce Jonathan Knott, otwarcie wspierając, a nawet biorąc udział – nie jako osoba prywatna, ale właśnie jako ambasador Jej Królewskiej Mości – w ostatniej Paradzie Równości, czym chwalił się mocno na Twitterze. Pan Knott jest w Polsce wystarczająco długo, żeby wiedzieć i rozumieć, że parada jest częścią politycznego konfliktu, a otwarte angażowanie się ambasadorów w polityczne konflikty w kraju przyjmującym, owszem, zdarza się, ale jedynie w państwach kolonialnych, niesamodzielnych.

Wydawało się jednak, że Londyn traktuje Warszawę jak partnera, a nie kolonię, którą trzeba cywilizować.

Co ambasador Knott chciał osiągnąć? Czy w ten sposób załatwił coś dla swojego kraju? Bo jeżeli jego głównym celem było zrażenie do Wielkiej Brytanii znacznej części Polaków oraz popsucie relacji ze sporą częścią mediów, odwołujących się do konserwatywnych wartości – to owszem, ten cel osiągnął. Jednak co to ma wspólnego z legendarną zręcznością i pragmatycznością dyplomatyczną Albionu – dalibóg, nie wiem. ©



Stefan Sękowski

Świetnie, że mamy rekordowo niskie bezrobocie. Szkoda tylko, że jednocześnie mamy niską aktywność zawodową

Od 1990 r. nie było w Polsce tak niskiego bezrobocia. Jak podawał Główny Urząd Statystyczny, w kwietniu wyniosło ono 5,6 proc. Według danych Eurostatu w marcu było jeszcze niższe i wyniosło 3,4 proc. Różnice wynikają z metodologii – o ile GUS traktuje jako bezrobotnych tych, którzy są jako tacy zarejestrowani, o tyle dla unijnego urzędu statystycznego liczy się jeszcze, czy dana osoba faktycznie chce znaleźć pracę i jej szuka. Jednak rekordowość wskaźnika jest bezsprzeczna. Polskie bezrobocie jest też dalece niższe niż unijna średnia (6,4 proc. według Eurostatu w marcu) i wyższe tylko od tego w Czechach, Niemczech, Holandii i na Węgrzech. Będąc tuż za podium, mamy się więc czym pochwalić.

SUKCES MA WIELU OJCÓW

Stopa bezrobocia spada sukcesywnie od 2013 r., kiedy to osiągnęła 13 proc. (według wskaźników GUS). Od końca 2015 r., czyli od kiedy Prawo i Sprawiedliwość rządzi Polską, bezrobocie spadło z ok. 11 proc. do obecnego poziomu. O dziwo, politycy rządzącej ekipy niespecjalnie o tym trąbią, choć mogliby, z propagandowego punktu widzenia, zrobić z tego swój sukces. Jednak ma on tak naprawdę wielu ojców, i to nie tylko krajowego pochodzenia. Mamy teraz okres bardzo dobrej koniunktury. Ona powoli słabnie – coraz częściej dochodzą do nas głosy o spowolnieniu gospodarczym w Niemczech, które może pociągnąć za sobą także nas – ale jednak jest nadal silna. A gdy gospodarka rośnie (w Polsce w 2018 r. wzrost PKB wyniósł 5,1 proc.), to i bezrobocie spada.

Te informacje dobrze działają na nasze samopoczucie, bo przecież wielu z nas pamięta masowe bezrobocie lat 90. i początku dwutysięcznych, które pojawiło się po okresie PRL, kiedy to bezrobocia... w ogóle nie było. Myliłby się ktoś, kto by stwierdził, że to był efekt genialnej polityki zatrudnienia w realnym socjalizmie. Zwłaszcza w latach 80. powszechne było ukryte bez-

FOT. MARCIN SZCZĄKOWSKI/PHOTOPRESS/FORUM

Koniec kłątwy bezrobocia



robotcie, które ekonomista Józef Nowicki w książce „Paradoksy pełnego zatrudnienia w Polsce” szacował na... ok. 50 proc. (oznacza to, że zatrudnienie co drugiego pracownika było z punktu widzenia przedsiębiorstwa pozbawione ekonomicznego sensu). W dobie transformacji wiele z tych osób zwolniono, co spowodowało wysokie bezrobocie.

To się jednak zmienia. – Z czasem rozwój sektora prywatnego doszłusował do wielkości populacji, do tego stopnia, że w niektórych branżach zabrakło rąk do pracy. Duża w tym też zasługa inwestycji zagranicznych – mówi „Do Rzeczy” dyrektor generalny instytutu im. von Misesa Mateusz Benedyk. – Przez 20 lat nie było recesji, a od 15 lat wzrost jest silny. Związane po wejściu Polski do Unii Europejskiej bezrobocie zaczęło spadać. Jesteśmy największym centrum usług biznesowych w UE, w tym sektorze pracuje ok. 1,5 proc. zatrudnionych. Zmieniła się też struktura podaży pracy. Boom edukacyjny z lat 90. spowodował, że coraz więcej osób kończy studia i łatwiej im znaleźć pracę – tłumaczy „Do Rzeczy” prezes Instytutu Badań Strukturalnych Piotr Lewandowski.

POLACY MAŁO AKTYWNI

To niestety tylko jedna strona medalu. Bezrobotny to nie to samo co niepracujący zarobkowo. Nie jest nim uczeń, student, emeryt, rencista, a także np. kobieta, która zajmuje się domem, podczas gdy jej mąż zarabia. Takie osoby nazywa się biernymi zawodowo. Gdy więc PiS obniżył wiek emerytalny, część osób, które i tak nie pracowały, nagle przestała być bezrobotna. W 2017 r. na emeryturę przeszło 337 tys. osób; część z nich to renciści, którzy otrzymali uprawnienia emerytalne (w tym samym roku ich liczba spadła o prawie 100 tys.), ale ogólnie rzecz biorąc, można powiedzieć, że rząd „przysłużył się” w ten sposób do zmniejszenia bezrobocia w Polsce.

Jednocześnie nie znaczy to, że nagle więcej osób zaczęło pracować. Liczba zarejestrowanych bezrobotnych spadła od końca 2015 r. do końca 2018 r. o 592 tys., z kolei liczba aktywnych zawodowo Polaków wzrosła tylko o 275 tys. W okresie rządów PiS aktywność zawodowa Polaków wynosi ok. 55–57 proc. Oznacza to, że na ok. 17 mln pracujących (nie wliczamy w to szarej strefy) przypada 13 mln biernych, a to pociąga za sobą poważne konsekwencje. Oczywiście trudno sobie wyobrazić sytuację, w której wszyscy są aktywni zawodowo. Jedni się uczą, inni są starsi

lub zbyt chorzy, by pracować. Ponadto – o czym się często zapomina – niezarobkowa praca domowa kobiet również ma duże znaczenie dla dobrobytu, a także pozytywnie wpływa na wysokość zarobków mężów tych kobiet. Celem gospodarki nie jest to, żeby wszyscy zarabiali, tylko żeby możliwie efektywnie zaspokajali swoje materialne potrzeby.

Tyle że do tego trzeba często pieniędzy, zwłaszcza w systemie społeczno-gospodarczym, w którym wiele usług zapewnia państwo. Wojsko, wymiar sprawiedliwości, policja, nie mówiąc o edukacji, opiece zdrowotnej czy emeryturach, nie opłacą się same. Im więcej osób jest biernych zawodowo, tym więcej osób jest na utrzymaniu zawodowo aktywnych. Nawet jeśli np. prowadzenie domu czy pomoc dziadków umożliwiają tę pracę.

Liczba zarejestrowanych bezrobotnych spadła od końca 2015 r. do końca 2018 r. o 592 tys., ale liczba aktywnych zawodowo Polaków wzrosła tylko o 275 tys.

Aktywność zawodowa jest szczególnie niska wśród osób starszych i kobiet. I tu widać kolejną „zasługę” Prawa i Sprawiedliwości, które przez wprowadzenie „500+” zachęciło więcej kobiet do tego, by pozostały w domu. Oczywiście ważna jest także jakość pracy, a jeśli ktoś rezygnuje z niej dla świadczenia na dzieci, to raczej będzie to praca nisko płatna. Takie rozwiązanie może być też (choć nie musi) korzystne dla rodziny. Co nie zmienia faktu, że wpływa negatywnie na aktywność zawodową kobiet. A także na wysokość ich emerytur w przyszłości. – W horyzoncie całego życia to jest problem. Dla osób, które niewiele pracowały, emerytury będą bardzo niskie lub nie będzie ich wcale. Życie przez 23–24 lata z emerytury minimalnej to będzie duży problem – mówi Lewandowski.

UŁATWIĆ PRACĘ

Żeby aktywność zawodowa Polaków rosła, trzeba ułatwić tworzenie nowych miejsc pracy. W tym zakresie nadal blokuje nas Kodeks pracy, który nie jest elastyczny i powoduje, że zatrudnianie kogoś na umowę o pracę wiąże się z dużym ryzykiem. Tutaj dobrą robotę zaczął

rząd PiS, rozpoczynając pracę komisji kodyfikacyjnej prawa pracy. Niestety – roboty tej nie skończył, wyrzucając efekt półtorarocznej pracy tego zespołu do kosza. – Kraje, które mają najwyższe bezrobocie w UE, mają też sztywne prawo pracy. Ratuje nas dualizm rynku pracy, czyli możliwość zatrudniania ludzi na umowy cywilnoprawne – mówi Benedyk.

To jednak wiąże się m.in. z niższymi wpływami do systemu ubezpieczeń społecznych. Tutaj mamy do czynienia z zakłętym kręgiem – im mniej pieniędzy jest w systemie, tym bardziej składki rosną, a im bardziej rosną, tym więcej pracodawców (i części pracowników) stara się z systemu uciec. Wysokie koszty pracy są także blokadą aktywności zawodowej. Tutaj nic nie zmienia się na lepsze, a raczej na gorsze, ponieważ – gdy mówimy o osobach prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą – składki jak rosły za rządów PO-PSL, tak rosły i teraz. Rzecznik małych i średnich przedsiębiorców Adam Abramowicz proponuje, by uczynić te składki dobrowolnymi (obowiązkowa byłaby tylko składka zdrowotna). To jednak przy obecnym systemie wymagałoby zwiększenia dotacji na ZUS z budżetu państwa, bo składki idą na pokrycie obecnych emerytur. Emerytów będzie za to coraz więcej, zwłaszcza po obniżeniu wieku emerytalnego. Obecny system nie jest na dłuższą metę do utrzymania, chyba że chcemy w jeszcze większym stopniu obciążyć kosztami obecnie pracujących.

Piotr Lewandowski zwraca także uwagę na dwa inne aspekty. – Brakuje u nas kultury przekwalifikowywania się. Obecnie pracownik powinien edukować się przez całe życie. A my nie mamy systemu pomagającego ludziom przejść w ten sposób przez karierę zawodową – mówi. Dodaje także, że ważne są profilaktyka zdrowotna i medycyna pracy. – Problemy ze stresem i wypadaniem z rynku pracy będą się nasilały, jeśli się tym nie zajmiemy – mówi.

W zaktywizowaniu zawodowym nie chodzi o to, by „wypychać” ludzi do pracy, ale o to, by bardziej rozsądnie rozkładać wspólne koszty. Zanim więc otworzymy – solidnie wypracowanego – szampana, pamiętajmy o tym, że niskie bezrobocie nie jest dane raz na zawsze i że ważne jest, by wypracować sposoby na to, jak uniknąć jego wzrostu w przyszłości. Na razie, niestety, takich starań nie widać.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Im gorzej, tym lepiej?

Napisałem niedawno, że nie lada kłopot mają dziś – gdy szybko rośnie PKB Polski i co jakiś czas rewidowane są w górę prognozy tego wzrostu – propolscy antypisowcy. Czyli ci, którzy dobrze życzą Polsce, w tym gospodarce, a jednocześnie źle życzą PiS. Poniższy „przypadek” raczej jednak nie jest „tym przypadkiem”.

W opublikowanym w „Rzeczpospolitej” tekście, pod wszystko mówiącym tytułem „Niech opozycja nie bierze władzy jesienią”, Jakub Bierzynski (przedstawiony tam jako prezes domu mediowego OMD i współpracownik Roberta Biedronia) wyznał to na tyle jasno, że jaśniej już chyba nie trzeba. Oto – z konieczności – bardzo długi cytat:

„Mówiąc krótko, można wygrać z PiS-em i wszystkim wskazuje na to, że nie jest to trudne. Pytanie [...] brzmi: Czy należy? Polityka prawicy prowadzi Polskę do nieuchronnego kryzysu. Ktokolwiek obejmie władzę na Nowogrodzkiej, będzie mógł jedynie jego nadejście odsuwać w czasie. Program »500+« kosztuje rocznie ok. 40 mld zł, 13. emerytura – 6 mld zł, obniżenie wieku emerytalnego – 12 mld zł, obniżenie podatków nieco ponad 10 mld i inne programy socjalne – ok. 15 mld zł.

Do tego trzeba dodać koszty zamrożenia cen energii w wysokości co najmniej 20 mld zł rocznie. Razem obciążenia sztywne związane z realizacją polityki klientelizmu PiS wynoszą ok. 100 mld zł rocznie [...]. Wszystkie rezerwy zostały już

wykorzystane. Rząd przejmuje pozostałe pieniądze z OFE, deficyt dochodzi do granic możliwości, a system podatkowy został uszczelniony. Ekonomiści [...] wieszczą nadejście światowego spowolnienia [...] i po latach koniunktury przychodzi czas recesji. Recesja to obniżenie wpływów budżetowych, a przy braku możliwości ograniczenia wydatków skutek może być tylko jeden – załamanie budżetu, a co za tym idzie – gwałtowne skasowanie wszystkich programów rozdawnictwa.

Pytanie zasadnicze brzmi – kto chce i powinien wziąć za to odpowiedzialność? Jeśli u władzy będzie dzisiejsza opozycja, rezultat może być tylko jeden – idealizacja prawicy (za PiS było dobrze) i jej powrót z przewagą konstytucyjną w kolejnych wyborach. To rządzący będą odpowiedzialni za kryzys w oczach wyborców. Niezależnie od tego, z jakiej partii będzie wywodził się premier.

Dlatego celem demokratycznej opozycji nie powinno być odsunięcie PiS od władzy. Jarosław Kaczyński powinien realizować swoją politykę gospodarczą, aż do jej bolesnych konsekwencji. Jedynym celem opozycji powinno być skuteczne powstrzymanie PiS przed zmianami ustrojowymi [...].

A ja się zastanawiam, czy ktoś, komu naprawdę zależy na sercu dobro Polski – będąc przekonanym, że mająca poważne szanse na odnowienie swej władzy partia jej szkodzi – nie powinien raczej starać się zachęcać do jak najszybszego odsunięcia jej od władzy? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Demokratyczna merytokracja

Demokracja medialna – ustrój panujący obecnie w większości krajów – jest bardzo ułomna, ale na razie nie ma lepszej propozycji.

W skrócie: w demokracji medialnej osoba popularna w mediach (głównie telewizji) jest wybierana do pełnienia ważnych funkcji publicznych. Na przykład znany komik zostaje prezydentem. Do parlamentu wybiera się znanych sportowców, aktorów, piosenkarzy itp. To nie zarzut, po prostu ludzie głosują na znane nazwiska, a nie na propozycje programowe, i to nie ulegnie zmianie. Popularność w mediach może być pozyskana także dzięki pieniądзом, ale wówczas osoby, które zostaną wybrane na ważną funkcję publiczną, reprezentują interesy mocodawców, a nie interes publiczny.

Poza nielicznymi krajami, gdzie społeczeństwo świadomie podejmuje wiele ważnych decyzji (np. Szwajcaria), w większości pozostałych krajów obowiązuje demokracja medialna, ze wszystkimi jej nasilającymi się patologiami. Sceptykom wobec tej tezy proponuję eksperyment. Niech zapytają kilkoro swoich znajomych, na kogo głosowali w ostatnich wyborach europejskich i dlaczego. A potem niech porównają odpowiedzi z zakresem zadań i możliwości, które ma europarlamentarzysta.

Nie planuję jednak tylko krytykować demokracji medialnej, przynajmniej do czasu, gdy zostanie zastąpiona przez algokrację (czyli merytokturę algorytmów).

Ale chciałbym zaproponować, żeby do obecnego ustroju wprowadzić elementy merytokracji, żeby podczas głosowania nie tylko wybierać tych, którzy najlepiej wypadają w telewizji lub mają mocodawców z głębokimi kieszeniami, lecz także żeby zmusić naród do intelektualnego wysiłku, zastanowienia się na poważnie nad własną przyszłością.

W skrócie propozycja jest następująca. Obok nazwiska każdego kandydata (partii) umieszczono by kilka (5–10) pytań testowych dotyczących kluczowych propozycji programowych danego kandydata (partii). A głos uznano by za ważny, jeżeli na ponad połowę pytań głosujący oddałby poprawną odpowiedź. Żeby uniknąć manipulacji, partie/kandydaci sami układaliby pytania testowe i sami publikowaliby materiały programowe potrzebne do poprawnego rozwiązania testu.

Jakie byłyby spodziewane efekty? Po pierwsze, ludzie zaczęliby głosować na program partii, a nie na kolor krawata/garsonki kandydata/kandydatki. Po drugie, ci, którzy nie są w stanie zrozumieć kilku stron prostego tekstu programowego (lub kilkuminutowego filmu) i udzielić odpowiedzi, nie mogliby oddać ważnego głosu, co prowadziłoby do lepszych wyborów, bardziej odpowiedzialnych poglądów społeczeństwa w ważnych dłań sprawach, a nie w sprawie koloru krawata lub garsonki. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

NIE MA CZASU NA STRACH.

SENSACYJNY WYWIAD

Z KOMANDOSEM GROM-U

Grzegorz Janiszewski – **Batalia o Karbalę**

Marcin Bartnicki – **Śmierć w Nangar Khel**

Korwin-Mikke vs. Waszczykowski – **Debata nad sensem misji w Iraku**

Sławomir Koper – **Namiętny romans Skłodowskiej-Curie**

Ray Lambert – **Walczyłem podczas D-Day**

Mikołaj Iwanow – **Jak Polska straciła Białoruś**

Piotr Zychowicz – **Krwawe ataki ukraińskich terrorystów**

Piotr Semka – **Powietrzna szarża na gestapo**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Jacek Przybylski

Reprezentacja Polski ma już w ataku dwie supergwiazdy. Podopieczni trenera Jerzego Brzęczka wygrywają więc mecz za meczem i dzięki dużej przewadze nad rywalami są na prostej drodze do awansu do przyszłorocznych mistrzostw Europy

Polscy piłkarze w zeszły poniedziałek bezlitośnie rozgromili Izrael, zdobywając aż cztery bramki. Nasi zdobyli nie tylko kolejne trzy punkty za zwycięstwo, z pewnością pokonując potencjalnie najgroźniejszego rywala w grupie, lecz także pokazali, że potrafią grać w pięknym stylu i sprawić, że mecze polskiej reprezentacji ogląda się dla przyjemności, a nie z przymusu (tak jak w przypadku ledwo wymęczonego zwycięstwa z Macedonią).

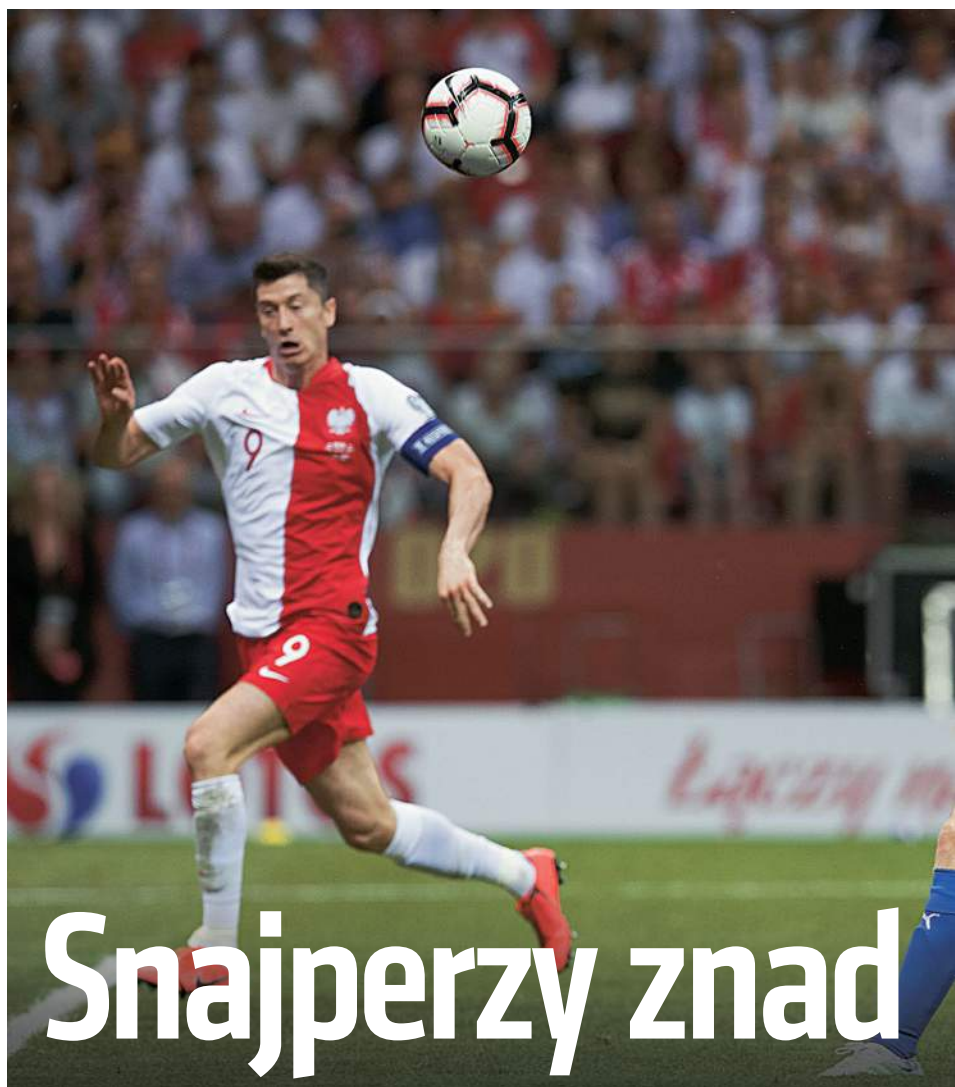
Izraelscy piłkarze tegie lanie dostali nie tylko na boisku w Warszawie, lecz także po powrocie do kraju. Tamtejsze media pisały bowiem wprost, że „Izrael w Warszawie został upokorzony” i że „Polska jest w tej grupie poza zasięgiem”.

Takie komentarze stały się możliwe, ponieważ trener Brzęczek wsłuchał się w głosy komentatorów oraz własnych piłkarzy i od pierwszej minuty wystawił w jednym składzie dwie nasze supergwiazdy – Lewandowskiego oraz Piątka – a na prawe skrzydło przesunął również fantastycznego Piotra Zielińskiego.

Robert Lewandowski – genialny zawodnik i kapitan, który na własnych barkach, a właściwie na własnych nogach, przenosił dotąd całą drużynę przez trudy eliminacji – pokazał w ubiegłym tygodniu, że wciąż zasługuje na miano najlepszego piłkarza w kraju. Nie tylko strzela gole – dzięki czemu kupując bilet na spotkanie reprezentacji na Stadionie Narodowym, można mieć niemal pewność, że jeśli gra Lewandowski, to chociaż jedna bramka dla nas na pewno będzie – ale też przez cały mecz mocno pracuje na rzecz pozostałych graczy.

ATOMOWE UDERZENIE

Na szczęście w ataku Lewandowski może liczyć już nie tylko na siebie, lecz także na stosunkowo nową supergwiezdę:



Snajperzy znad

de: utalentowanego i szybko zyskującego na wartości Krzysztofa Piątka (Genoa zapłaciła za niego Cracovii 4,5 mln euro, AC Milan przełał już za supersnajpera 33 mln euro, tymczasem po fenomenalnej grze dla włoskiego klubu polski piłkarz wyceniany jest przez prestiżowy portal Transfermarkt co najmniej na 40 mln euro, a przez CIES Football Observatory nawet na 79 mln euro).

W zeszły poniedziałek na Stadionie Narodowym młody napastnik AC Milan prezentował się rewelacyjnie. W 35. minucie tak mocno huknął w piłkę, że nie tylko nie dał żadnych szans Arielowi Harushowi, lecz także atomowym uderzeniem nieomal rozerwał siatkę za izraelskim bramkarzem. I chociaż po zdobyciu pierwszego w tym spotkaniu gola dla Polski nie wykonał swojej charakterystycznej „cieszynki” (z uwagi na poprawność polityczną, aby nie urazić piłkarzy z Izraela, nie chciał udawać, że

strzela z pistoletów), to i tak jego fani mieli wiele powodów do radości.

23-latek z Niemcy, który na treningi w Lechii Dzierżoniów musiał dojeżdżać autobusem kilkanaście kilometrów, w ostatnim sezonie stał się idolem wielu chłopców nie tylko z polskich małych miasteczek, lecz także okazał się jednym z najsukuteczniejszych snajperów Europy.

W czterech pojedynkach o awans do Euro 2020 strzelił już trzy gole i pnie się coraz wyżej w klasyfikacji strzelców eliminacji. Na razie najwyżej znajdują się m.in. Eran Zahavi, nazywany „izraelskim Messim”, z siedmioma bramkami na koncie, a także Rosjanin Artiom Dziuba oraz Rumun Claudiu Keșerü, którzy strzelili po pięć bramek.

Supersnajper za czasów trenera Brzęczka strzelił już więcej goli niż kapitan legenda Robert Lewandowski. A to nie lada sztuka. Jednocześnie Piątek



FOT. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER

Wisły

jest bohaterem zachodnich klubów – w ostatnim sezonie okazał się najlepszym strzelcem Genoa CFC (strzelił 19 goli) oraz prestiżowego klubu AC Milan. Dla tego ostatniego strzelił w tym sezonie aż 11 bramek, błyskawicznie zyskując ogromną sympatię mediów oraz kibiców, którzy specjalnie dla niego układają pochwalne piosenki, ćwiczą wymowę trudnego „ą” i zajądają się ciastkami z jego klubowym numerem. Snajper z Polski jest już kojarzony nie tylko w Mediolanie, lecz także przez Włochów z całego kraju, którzy chętnie kupują bluzy, zegarki, a nawet poduszki z wizerunkiem Polaka. Gdy w lutym tego roku koszulka Krzysztofa Piątka trafiła w prezencie do wicepremiera Włoch – znanego kibica Milanu – Matteo Salvini użył nawet określenia „wielki Piątek”. Nic dziwnego: tylko podczas pierwszych pięciu występów Piątek strzelił aż sześć bramek.

Na szczęście „następca Lewandowskiego” – jak nazywany jest zarówno w Polsce, we Włoszech, jak i w Niemczech – nie chce spoczywać na laurach, lecz szykuje się do dalszej, zaciętej walki. – Niesamowity sezon za mną, ale nie zadowolam się tym, co mam. W przyszłym chcę strzelić jeszcze więcej goli – zadeklarował podczas rozmowy z TVP młody piłkarz, któremu na szczęście sława nie uderzyła do głowy (co, jak to często bywa, może być zasługą m.in. świeżo upieczonej żony, 27-letniej prawniczki Pauliny Piątek).

PIERWSI W GRUPIE

Dzięki parze świetnych snajperów, którzy fantastycznie potrafią ze sobą współpracować, Polacy mają szansę nie tylko wyjść z grupy, lecz także stać się groźnym przeciwnikiem na dalszych etapach rywalizacji.

Młody ambitny napastnik Milanu może jeszcze sporo się nauczyć od słynnego napastnika Bayernu. Z drugiej strony Robert Lewandowski (przez portal Transfermarkt wyceniany na 65 mln euro) nie byłby tak cenionym piłkarzem, gdyby nie wielka ambicja i pracowitość – bramki Piątka mogą więc dodatkowo zmotywować go do strzelania goli, tak aby pod koniec eliminacji mógł pogratulować młodemu walki, ale nie oddawać tytułu najlepszego snajpera reprezentacji.

Choć Lewy ma już na koncie rekordową liczbę 106 występów w reprezentacji Polski (podobnie jak Jakub Błaszczykowski), to na szczęście dla kibiców ani myśli o końcu sportowej kariery. Przeciwnie: nie ukrywa, że marzy o nowych rekordach i kolejnych awansach.

Te ostatnie są możliwe, ponieważ podczas meczu z Izraelem świetny pokaz swych umiejętności dali nie tylko kapitan, lecz także pozostali piłkarze. Przebojowo zagrał Piotr Zieliński, 25-letni zawodnik SSC Napoli, którego świetne podania ułatwiały zadania snajperom. Brawa należą się też takim piłkarzom jak Kamil Grosicki (31-letni skrzydłowy w angielskim klubie Hull City w 59. minucie zdobył trzeciego gola dla Polski), Damian Kądzior (po asyście 25-letniego Arkadiusza Milika – napastnika we włoskim klubie SSC Napoli – 26-letni zawodnik Dinama Zagrzeb strzelił Izraelowi czwartą bramkę i jednocześnie swego premierowego gola w reprezentacji Polski) czy obrońca Dynama Kijów Tomasz Kędziora. Dużo lepiej niż w meczu z Macedonią zagrał

również waleczny pomocnik Lokomotiwu Moskwa Grzegorz Krychowiak.

Słowa pochwały należą się również niezwykle skutecznym obrońcom (a zwłaszcza Kamilowi Glikowi) oraz bramkarzowi Łukaszowi Fabiańskiemu – rozgrywającym jubileuszowy 50. mecz w reprezentacji – dzięki którym po zakończeniu czwartego spotkania Polacy wciąż mogą się pochwalić, że w tych eliminacjach nie stracili jeszcze ani jednej bramki. Słowa uznania należą się także kibicom, których głośnie wsparcie z pewnością pomogło piłkarzom w tym trudnym spotkaniu i pokazało, że ponad 57 tys. fanów wielkiego sportu potrafi cieszyć się ze sportowego widowiska, lekceważąc wszelkie prowokacje i nie dopuszczając na murawę i krzeselka geopolitycznych konfliktów.

„Biało-czerwoni” odnieśli czwarte zwycięstwo z rzędu – to oznacza, że zgromadzili już 12 punktów i – na wczesnym etapie – z dużą przewagą są liderami grupy. W kolejnej serii, 6 września, orły Jerzego Brzęczka zmierzą się na wyjeździe z drużyną Słowenii.

Nikt nie ma wątpliwości: obecna reprezentacja to drużyna o ogromnym potencjale. Dobre podejście do walki prezentuje też selekcjoner Jerzy Brzęczek, który po fantastycznej wygranej z Izraelem przestrzegał przed mówieniem, że awans mamy już w kieszeni.

I rzeczywiście, aby móc z optymizmem patrzeć w przyszłość, orły muszą utrzymać styl ze spotkania z Izraelem, czyli po prostu z respektem i ambicją podchodzić do przeciwnika. Po takim pokazie umiejętności polskim kibicom trudno już będzie znieść emocje, które towarzyszyły obserwatorom spotkania z Macedonią, Łotwą czy Austrią, podczas których wygraliśmy, ale w nie najlepszym stylu.

Wszyscy chcą wierzyć, że polska reprezentacja narodziła się na nowo. I że teraz będzie już tylko strzelać, wygrywać i awansować. I że to Polacy będą dyktowali warunki zarówno na Euro 2020, jak i na mistrzostwach świata.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

TERMINARZ SPOTKAŃ:

6.09. Słowenia – Polska
9.09. Polska – Austria
10.11. Łotwa – Polska
13.11. Polska – Macedonia Północna
16.12. Izrael – Polska
19.12. Polska – Słowenia



Joanna Bojańczyk

Pokolenie powojennego wyżu zaczyna się wykruszać. Ich dzieci urodzone między rokiem 1980 a 2000 porządkują mieszkania rodziców, ale nie są zainteresowane tym, co oni tak długo zbierali

Porządkując, a właściwie likwidując mieszkanie po zmarłym kuzynie, zastanawialiśmy się, co zrobić z jego rzeczami. Było tego sporo, chętnych brak. Antyków lub raczej staroci – bo komódki czy sekretarzyki z XX w. antykami nie są – żadna z młodszych osób w rodzinie nie chciała. Świeczniki, zegary, obrusy również nie wzbudziły zainteresowania. Stolik na wysoki połysk z lat 60., sprzęty AGD z lat 80. wywoływały bardziej rozbawienie niż zachwyt. Stary telewizor jest po prostu bezsensowną, nieprzydatną kupą metalu i plastiku.

Nasz zmarły kuzyn przez kilka lat, w późnych latach 70., mieszkał za granicą, „na Zachodzie”, tam zajmował dość wysokie stanowisko, wrócił do Polski w roku 1981. Wtedy, jak najstarsi ludzie pamiętają, a młodszy być może słyszeli, w Polsce wszystkiego brakowało. Po automatyczną pralkę stało się całą noc przed sklepem, na tapczan w pawilonie meblowym Emilia trzeba było się zapisać dwa tygodnie/miesiące wcześniej. Itp., itd. Nic dziwnego, że kuzyn przyjechał ze swojej placówki z pełnym umeblowaniem mieszkania. Meble z IKEA budziły wtedy zachwyt i zazdrość. Dzisiaj stoją smętnie, straciwszy nie tylko urok, lecz także równowagę, rozchwiane, bo śruby i paździerz nie wytrzymały kilku zaproponować ich komukolwiek...

Problem z dorobkiem po kuzynie nie jest odosobniony. Pokolenie powojenne, dzieci wyżu lat 40., 50., powoli zaczyna się wykruszać. Niektórzy idą do domów opieki, a mieszkanie wynajmuje się, żeby dołożyć do emerytury. Ich dzieci są na początku samodzielnego życia. Studiują się długo, ale samodzielną chce się zdobyć wcześniej, bo pokus i wyzwań jest wiele. Jednak niezmiennie pierwszą potrzebą jest mieszkanie. Niektórzy wynajmują, inni dorobili się własnych, choć krwią i potem spłacają kredyt, szczęściarom



Mamo, my tej szafy nie chcemy

udało się odziedziczyć coś po rodzinie. Jednak żadna z tych grup nie jest zainteresowana wyposażeniem mieszkania sprzętami odziedziczonymi po rodzicach czy dziadkach. Chcą mieć wszystko nowe.

Styl życia ich rodziców, a tym bardziej dziadków, był inny. Mieszkania były małe. Nie było kuchni połączonych z salonem, do przyjęć czy rodzinnych imprez zasiadało się przy stole. Stół nakryty obrusem, waza do zupy, serwis... Dzisiaj waza występuje tylko w serialach. Serwis na 12 osób? Szafa trzydrzwiowa z lat 50., mastodont z epoki żelaza. Ktoś chętny? Nie widzę. Wersalka rozkładana na noc, żeby była do spania. Wersalka tak, ale tylko

nowoczesna. Kto zechciałby mocować się ze sprężynami i z tapicerką z włosia?

Przy niestabilności pracy, dochodów oraz wzrastającej mobilności młodego pokolenia budowanie porządnej, zadziałej rodzinnej siedziby wydaje się całkowicie anachroniczne. Millennialsi nie wiedzą, gdzie będą pracować za parę lat, jak będzie wyglądał ich status rodzinny i finansowy. Może wyjadą do innego miasta albo za granicę? Gromadzenie przedmiotów wydaje się obciążające.

NIE CHCĄ TYCH SKARBÓW

Problem jest nie tylko u nas. – Dziękuję, mamo, ale my tego nie chcemy



Jedyne, co w młodych wzbudza zainteresowanie, to niektóre meble z lat 50. i 60., np. modernistyczne fotele projektu Józefa Chierowskiego, które doczekały się nawet współczesnych wersji (na zdjęciu)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE/366 CONCEPT

Te rzeczy w latach 60. kupowano do małych mieszkań z konieczności, bo innych nie było. Komu wtedy przyszłoby do głowy, że niedługo będą obiektami kolekcjonerskimi? Wychodziły z pracowni wybitnych polskich projektantów, choć o słowie „design” nikt wtedy nie słyszał. Fotele Józefa Chierowskiego stały w prawie każdym domu młodych ludzi w tamtych czasach. Za szybami segmentów i serwantek ustawiano ćmielowskie i chodzieskie figurki.

Wyższa półka tego segmentu to meble skandynawskie, które dziś osiągają wysokie ceny na aukcjach i w komi-sach. Wtedy, w latach 60. i 70., były dla Polaków niedostępne. Teraz to obiekty kolekcjonerskie. Musiało minąć 50 lat, żeby doczekały się comebacku. To nie antyki, tylko „vintage”. Meble XIX-wieczne, których poszukiwano w latach 70. i 80., dziś nie wzbudzają zainteresowania. Piękny biedermeier – styl, którego wystawę niedawno zorganizowało Muzeum Narodowe – nie wywołuje namietności młodych kolekcjonerów. To nic, że jest funkcjonalny, elegancki – za bardzo kojarzy się z mieszczaństwem, które dzisiaj ma słabą prasę. Najnowsza produkcja przemysłu meblarskiego to zaś elegancko wyglądające kompozycje ze sklejek, z płyty MDF i czasem forniru.

Dlaczego właśnie coś staje się nagle modne, jak ten właśnie vintage? Nie wiadomo. „Dzieciom nie podobają się rzeczy, które lubili rodzice” – powiedział mi kiedyś ekspert w domu aukcyjnym Christie’s. Takim kryterium się kierował, wybierając rzeczy do aukcji i oceniając je pod kątem potencjalnych klientów.

WYRZUCAMY BEZ OPORU

„Człowiek jest tylko epizodem w życiu przedmiotu” – mawiała zmarła niedawno kolekcjonerka i historyczka sztuki Felicja Uniechowska. Tak było kiedyś. Przedmioty żyły dłużej niż dzisiaj, często dłużej niż ludzie. Meble, srebro, porcelana przechodziły z pokolenia na pokolenie. Nie było „planned obsolescence”, zaplanowanej krótkotrwałości, która ma wymusić większą konsumpcję. Mody wnętrzarskie trwały pokolenie. Dzisiaj życie przedmiotu z założenia ma być krótkie. IKEA, która chwali się recyklingiem i proekologicznym nastawieniem, jest przecież biznesem czerpiącym zyski ze sprzedaży. Każdy katalog ma prowokować do nowych zakupów: sezonowe kolekcje zachęcają

do kupowania z okazji wakacji, wiosny czy Bożego Narodzenia.

Dzisiaj przedmiot jest coraz krótszym epizodem w życiu człowieka. Wyrzucamy bez oporu. Minimaliści zachęcają do pozbywania się nadmiaru rzeczy. Po co trzymać te graty? Jednak mieszkanie jest historią człowieka, zapisem losów rodziny. Swoją książkę „Rzeczy, których nie wyrzuciłem” Marcin Wicha zaczyna od mątewki (drewnianego patyczka zakończzonego wystrzępionym krążkiem, służącego do mieszania) znalezionej w kuchennej szufladzie. Wywołuje ona wspomnienia dzieciństwa i rodzinnego domu. Rzeczowe fragmenty odkopane w porządkowanym mieszkaniu po rodzicach (autor ma 47 lat) przywołują kolejne historie, wydarzenia z dzieciństwa i młodości. Czy to wszystko przetrwa, gdy zawartość mieszkania pójdzie na śmietnik?

Byłam niedawno w pięknym domu trzydziestoparoletnich znajomych. Dom na podmiejskim osiedlu, nowoczesny, dość zamożny. Wszystko w nim dobrane, eleganckie, pasujące do siebie, w modnych tonacjach szarości, bieli i czerni. Wszystko nowe, kupione wczoraj. Ani jednego przedmiotu, który pamiętałby coś więcej niż ostatnie pięć lat. To mieszkanie wyglądało jak show room designerski lub jak wnętrza prezentowane w magazynach wnętrzarskich, które w każdym numerze pokazują nowe trendy. Ciekawe, czy za parę lat wystrój zostanie zmieniony na wtedy najmodniejszy, a stare rzeczy wyrzucone. Wiadomo, że nic się nie starzeje szybciej niż najnowsza moda.

Sama odziedziczyłam dużo rzeczy po dziadkach. Mam je w domu do dziś, przedstawiają wartość głównie sentymentalną. Ze swego przedwojennego domu w Warszawie dziadkowie niczego nie ocalili, ale po wojnie dziadek częściowo odbudował stan posiadania, kupując antyki na Dolnym Śląsku. Jednak czy nasi dorośli synowie, już na własnych gospodarstwach, będą zainteresowani tymi rzeczami? Gdzie je zmieszczą?

W wydanej kilka lat temu książce „Jak likwidowałam dom moich rodziców” Francuzka, Lydia Flem, z wrażliwością i realizmem opowiada o smutku, złości, tęsknocie, jakie przeżywała, zmuszona sprzedać dom po śmierci rodziców. Ciekawe, co będą przeżywać ci, którzy rodzinne pamiątki wsadzą do kontenera i wyrzucą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Płuco do wyleczenia

FOT. ADDBESTOCK



Katarzyna Pinkosz

Rak płuca to pierwszy zabójca Polaków, jeśli chodzi o nowotwory u kobiet i mężczyzn. Częściej chorujemy na ten typ raka niż mieszkańcy zachodniej Europy i częściej na niego umieramy. Można to jednak zmienić

23 tys. mieszkańców liczy Sandomierz: u tylu osób w Polsce co roku diagnozuje się raka płuca. Mniej więcej tyle samo umiera. Statystyki są więc dziś wciąż złe. – Za trzy-cztery lata one się zmieniają, gdyż od niedawna mamy nowe możliwości

leczenia. W raku płuca nigdy nie działa się tak wiele jak obecnie. Kiedyś w zaawansowanym raku mogliśmy zastosować jedynie chemioterapię i radioterapię, chorzy żyli najwyżej rok. Dzisiaj przychodzą do nas latami – mówi z entuzjazmem prof. Dariusz M. Kowalski, kierownik Oddziału Zachowawczego Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Centrum Onkologii-Instytutu w Warszawie, prezes Polskiej Grupy Raka Płuca. – Dzisiaj przyjąłem w poradni 40 chorych i tylko jedna miała progresję choroby, a też zaproponowaliśmy jej od razu immunoterapię. U pozostałych choroba jest cały czas pod kontrolą. To naprawdę rewolucja w leczeniu raka płuca – dodaje prof. Kowalski.

BEZ PROFILAKTYKI ANI RUSZ

Przede wszystkim trzeba jednak zmniejszyć liczbę zachorowań, a więc ograniczyć palenie. – Gdyby nie palenie pa-

pierosów, rak płuca byłby chorobą rzadką – ocenia prof. Paweł Krawczyk, kierownik Pracowni Immunologii i Genetyki Katedry i Kliniki Pneumonologii, Onkologii i Alergologii UM w Lublinie. 9 na 10 osób, które chorują, paliło lub pali papierosy.

Dobrą wiadomością jest to, że rzucenie palenia powoduje spadek ryzyka, a w przypadku zachorowania – poprawia rokowanie i wydłuża życie. Rozstanie się z nałogiem nie jest proste. – Mówienie palaczowi, żeby rzucił palenie, ma taką samą skuteczność, jak mówienie komuś, żeby się nie denerwował. Nikotyna to jedna z najbardziej uzależniających substancji. Są osoby, które potrafią znaleźć w sobie motywację do rzucenia palenia, jednak większość potrzebuje profesjonalnej pomocy, czasem także farmakoterapii – przekonuje prof. Adam Antczak, kierownik Kliniki Pulmonologii Ogólnej i Onkologicznej UM w Łodzi.

W Polsce w ostatnich 40 latach liczba palących mężczyzn zmniejszyła się o ponad połowę, nie spada jednak liczba palących kobiet, a po papierosa wciąż sięgają młodzi ludzie. Pali 8 mln osób, a większość poradni antynikotynowych została zlikwidowana z powodu słabego finansowania. Co prawda coraz więcej lekarzy pierwszego kontaktu wie, jak pomagać w rzuceniu palenia, jednak bardzo często podczas wizyty nawet nie ma czasu spytać, czy pacjent pali. Za mało też w Polsce się robi, by zmniejszyć smog: drugi z najpoważniejszych czynników ryzyka raka płuca.

SZYBCIEJ DIAGNOZOWAĆ

Przez wiele lat rak płuca nie daje żadnych objawów. Gdy pojawiają się przewlekły kaszel, nawracające infekcje, duszność, ucisk w klatce piersiowej, krwioplucie, zwykle choroba jest już zaawansowana. – Bywa też tak, że pacjent wybiera się do sanatorium, wykonuje zdjęcie rentgenowskie, a wtedy okazuje się, że jest już dość duży guz płuca, który nie dawał żadnych objawów. Pierwsze objawy choroby mogą być też z powodu przerzutów do ośrodkowego układu nerwowego, a wcześniej chory czuł się świetnie – mówi dr n. med. Magdalena Knetki-Wróblewska z Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Centrum Onkologii w Warszawie. Brak specyficznych objawów powoduje, że zaledwie ok. 10–15 proc. chorych jest diagnozowanych w tak wczesnym stadium, kiedy możliwe jest chirurgiczne usunięcie guza.

Szansą na wcześniejsze wykrywanie może być będzie program badań przesiewowych przy użyciu tomografii nisko-

dawkowej, którego pilotaż ma wkrótce ruszyć. Z badań będą mogły skorzystać osoby w wieku od 50. do 74. roku życia, które przez co najmniej 20 lat wypalały paczkę lub więcej papierosów dziennie.

WYLECZENIE JEST MOŻLIWE

Sposób leczenia raka płuca zależy od jego zaawansowania i stanu pacjenta. Leczenie powinno być ustalone dla każdego indywidualnie w trakcie wielodyscyplinarnego konsylium, w którego skład powinni wchodzić lekarze wielu specjalności: torakochirurg (chirurg klatki piersiowej), onkolog, radioterapeuta, patomorfolog, specjalista diagnostyki obrazowej. „Powinni wchodzić” – niestety praktyka wciąż jeszcze często wygląda inaczej.

Najlepsze efekty uzyskuje się, gdy rak płuca jest wykryty wcześniej, gdy jest szansa na chirurgiczne usunięcie guza: 50–70 proc. chorych zostaje wyleczonych. Efekty w dużej mierze zależą też od ośrodka, w którym przeprowadzana jest operacja (i od tego, czy wykonuje ją torakochirurg – co niestety nie zawsze się dzieje). Jeśli rak płuca jest zaawansowany miejscowo, to znaczy nie ma odległych przerzutów, ale nie jest możliwe chirurgiczne usunięcie guza, to najlepszą opcją jest zastosowanie radioterapii i chemioterapii. – Można stosować leczenie sekwencyjne, czyli najpierw chemioterapię, a później radioterapię, jednak lepsze efekty osiąga się przy jednoczesnym zastosowaniu obu tych metod. Wzajemnie nasilają swoje działania, a dodatkowo chemioterapia uwalnia komórki nowotworowe na radioterapię. Ponad 30 proc. chorych dzięki temu przeżywa pięć lat, co jest uznawane za wyleczenie raka płuca – mówi prof. Dariusz M.

Kowalski. Zwraca jednak uwagę, że nie jest to „leczenie dla każdego”, gdyż wiąże się z możliwością działań ubocznych. Chory musi być w dobrym stanie ogólnym, nie może być obciążony ciężkimi chorobami współistniejącymi.

Bolączką w Polsce jest to, że – w ocenie prof. Macieja Krzakowskiego, krajowego konsultanta ds. onkologii klinicznej – tylko ok. 16 proc. chorych, którzy powinni być poddawani takiemu leczeniu, faktycznie je otrzymuje. Powodem jest brak referencyjnych ośrodków, do których chorzy byłiby kierowani w celu prowadzenia radiochemioterapii, oraz niekwalifikowanie pacjentów do takiego leczenia.

Tracą na tym chorzy. Eksperci widzą szansę na poprawę tej sytuacji dzięki powstaniu ośrodków referencyjnych w ramach tzw. Lung Cancer Units, czyli ośrodków koordynujących leczenie raka płuca (czekają na to też organizacje pacjentów). To ważne, zwłaszcza że efekty równoczesnej radiochemioterapii można jeszcze poprawić. – Od wielu lat prowadzono próby intensyfikacji leczenia, by jeszcze bardziej wydłużyć czas przeżycia i zwiększyć odsetek przeżyć pięcioletnich. Kończyły się one niepowodzeniem. Jednak wyniki badania PACIFIC doprowadziły do zmiany paradygmatu naszego myślenia. Chorzy, którzy po jednoczesowej radiochemioterapii przez rok dostawali durwalumab (przeciwciało monoklonalne anty PD-L1), mieli prawie czterokrotnie dłuższy czas wolny od progresji choroby. Dzięki takiemu leczeniu chory żyje, normalnie funkcjonuje, wraca do pracy. Jest wyleczony, co jeszcze do niedawna przy tym stopniu zaawansowania choroby było niemożliwe – podkreśla prof. Kowalski. Takie leczenie nie jest jeszcze w Polsce dostępne poza badaniami klinicznymi.

W ocenie pacjentów



ANNA ŻYŁOWSKA,

prezes Stowarzyszenia Walki z Rakiem Płuca, oddział Szczecin

W ciągu ostatnich dwóch lat zmieniło się bardzo dużo, jeśli chodzi o dostęp do nowoczesnych metod leczenia, wiele z nich jest dziś dostępnych w Polsce, choć jeszcze nadal są grupy pacjentów, dla których wciąż nie ma leków na listach refundacyjnych. Mamy nadzieję, że to się zmieni. Problemem nadal jest diagnostyka: wciąż bardzo

długo czeka się na badanie, jest długa kolejka do rezonansu magnetycznego i tomografii komputerowej. W różnych miejscach w kraju wygląda to różnie. Czekamy też na utworzenie lung cancer units, czyli ośrodków leczenia kompleksowego. Pojawił się już wstępny projekt rozporządzenia w tej sprawie, nie wiemy jednak, jak będą wyglądały szczegóły. Na pewno dobrze by było, żeby była określona liczba ośrodków, w których są stosowane takie metody leczenia jak immunoterapia: to wysoko specjalistyczne leki, które powinny być stosowane w wysoko specjalistycznych ośrodkach.

DZIEWIĘĆ LAT ZAMIAST DZIEWIĘCIU MIESIĘCY

Prawdziwą rewolucją są nowe opcje leczenia przerzutowego raka płuca. Jeszcze do niedawna dla tych chorych jedyną opcją była chemioterapia, a długość życia z taką diagnozą nie przekraczała 8–10 miesięcy. Dzisiaj dzięki nowym lekom w wielu przypadkach rak płuca staje się chorobą przewlekłą, z którą można żyć wiele lat. Podstawą sukcesu jest leczenie personalizowane, dopasowane do chorego.

Zanim wdroży się jakąkolwiek terapię, konieczne jest wykonanie wielu badań diagnostycznych. – 10 lat temu wystarczyło, że histopatolog stwierdził, czy to

■ jest rak płuca drobnokomórkowy czy niedrobnokomórkowy. Obecnie w przypadku raka niedrobnokomórkowego to dopiero początek: trzeba stwierdzić, czy to podtyp gruczolowy, płaskonabłonkowy, wielkokomórkowy czy inny – mówi dr Magdalena Knetki-Wróblewska. – Rak płuca to nie jest jedna choroba, to grupa nowotworów wywodząca się z tkanki nabłonkowej. W zależności od podtypu, a szczególnie charakterystyki molekularnej (genetycznej), trzeba zastosować zupełnie inne metody leczenia – potwierdza prof. Dariusz M. Kowalski.

W przypadku raka niepłaskonabłonkowego sprawdza się, czy w komórkach nowotworowych nie ma mutacji w genach EGFR lub BRAF albo rearanżacji w genach ALK lub ROS. Jeśli tak, to pomóc może leczenie celowane, które znacznie wydłuża życie. Dostęp do nowoczesnych terapii w Polsce bardzo się w ostatnich latach poprawił, choć nie wszystkie jeszcze są dostępne dla chorych. Brakuje np. leku celowanego dla osób z mutacją w genie BRAF. Pacjenci mają też nadzieję, że już wkrótce pojawi się nowa terapia przełamująca oporność na leczenie w przypadku rearanżacji w genie ALK. Ta zmiana genetyczna występuje głównie u osób młodych, które zachorowały na raka płuca w wieku 20, 30, 40 lat i często nigdy nie paliły papierosów. Od kilku miesięcy dostępny jest dla nich w Polsce lek pierwszej generacji: kryzotynib. – Niestety, po pewnym czasie dochodzi do progresji, czyli postępu choroby. W takim przypadku w innych krajach można już stosować leki drugiej i trzeciej generacji, które przełamują oporność na leczenie, jak alektynib lub brygatynib. Jeżeli tych chorych leczymy odpowiednio, czyli stosujemy kolejne generacje leków, to mediana przeżycia wynosi prawie siedem lat. Sam mam pod opieką chorych, których leczymy w ten sposób już osiem, dziewięć lat – mówi prof. Kowalski. Ponadto badania kliniczne wykazały, że leki kolejnych generacji chronią przed przerzutami do mózgu, które są charakterystyczne dla ALK-dodatnich raków płuca, a niektóre nowe terapie mogą być stosowane od początku leczenia, co przynosi jeszcze większe korzyści.

Jeśli zmiany molekularne nie zostają stwierdzone, to pacjent, który nie ma przeciwwskazań do takiego leczenia, ma szansę zakwalifikować się do terapii lekami immunokompetentnymi. Nie zabijają one wprost komórek nowotworowych, za to przemodelowują układ odpornościowy, by to on skutecznie je zwalczał. Immunoterapia

Bez diagnostyki nie ma szans na skuteczne leczenie



PROF. JOANNA CHOROSTOWSKA-WYNIMKO,
kierownik Zakładu Genetyki i Immunologii Klinicznej Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc

Mamy już możliwość stosowania wielu nowoczesnych leków, trzeba jednak poprawić możliwości diagnostyczne, gdyż bez dokładnie wykonanej diagnostyki pacjenci nie mają szans na optymalne leczenie. Tymczasem wycena diagnostyki raka płuca przez NFZ jest zbyt niska. Mamy duże kłopoty z rozliczeniem jej faktycznych kosztów w ramach tzw. karty DİLO (Diagnostyki i Leczenia Onkologicznego). Dlatego jesteśmy zmuszani do wykonywania diagnostyki w warunkach hospitalizacji poza DİLO i w ramach zwykłego ryczałtu szpitalnego. To w oczywisty sposób wydłuża kolejki i czas do rozpoznania. Problemem jest też brak refundacji przez NFZ diagnostyki umożliwiającej rozpoczęcie leczenia immunokompetentnego u chorych na raka niedrobnokomórkowego. Dotyczy to znaczącej grupy chorych, gdyż szacuje się, że nawet do 30 proc. chorych na niedrobnokomórkowego raka płuca w wysokim stopniu zaawansowania spełnia kryteria kwalifikacji do takiego leczenia. Warunkiem jest wykonanie odpowiednich badań diagnostycznych. Bez nich nie możemy chorych leczyć: mimo że leki są refundowane. Ministerstwo nie jest bezczynne, pojawiły się już regulacje prawne, które gwarantują jakość i standaryzację patomorfologii. Prace trwają, jednak mogą trwać jeszcze długo, a my mówimy o bardzo ważnym biomarkerze, który warunkuje prawidłowe i skuteczne leczenie wielu chorych. Oni nie mogą czekać.

W wielu typach nowotworów stała się przełomem, także w raku płuca. W Polsce w leczeniu raka płuca obecnie są dostępne trzy leki immunokompetentne, w tym jeden już w pierwszej linii leczenia.

Po to jednak, by chory zakwalifikował się do takiej terapii, konieczne jest potwierdzenie, czy na komórkach nowotworowych znajduje się odpowiednia ekspresja tzw. receptorów programowanej śmierci komórki, czyli PD-L1. Jeśli tak, to chory jest kandydatem do immunoterapii, chemioterapia nie jest leczeniem z wyboru. – Na niedawno zakończonym kongresie Amerykańskiego Towarzystwa Onkologii Klinicznej pokazano wyniki pięcioletniej obserwacji chorych z przerzutowym rakiem płuca leczonych w pierwszej linii pembrolizumabem. Wykazano pięcioletnie przeżycie u prawie 29 proc. chorych. To wynik niespotykany wcześniej: oznacza, że jedna trzecia chorych, którzy dawniej przeżywali kilka miesięcy, żyje pięć lat i dłużej – mówi prof. Joanna Chorostowska-Wynimko, kierownik Zakładu Genetyki i Immunologii Klinicznej Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc.

Badania przedstawione podczas kongresu wykazały także, że ten lek w połączeniu z chemioterapią jest znacznie skuteczniejszy niż sama chemioterapia: także u tych chorych, którzy nie mają wysokiej ekspresji receptorów PD-L1. – Pierwsze badania kliniczne z połączenia chemio-

terapii i immunoterapii pokazały, że mamy odpowiedź niezależnie od ekspresji PD-L1 w guzach litych u 50–60 proc. pacjentów. W raku płuca badania kliniczne umożliwiły już dwie rejestracje w Europie. Oczywiście im wyższa ekspresja PD-L1, tym większa korzyść dla chorego z połączenia immunoterapii i chemioterapii, jednak korzyści odniosą nawet chorzy bez ekspresji PD-L1 – zapewnia prof. Krawczyk.

LICZY SIĘ CZAS

Wieści z kongresów naukowych są bardzo pozytywne. Potwierdza to prof. Dariusz M. Kowalski: – Fascynujemy się badaniami klinicznymi, jednak za nimi stoją realni pacjenci. Niedawno moja 40-letnia pacjentka zapytała mnie, czy pamiętam, jak przyszła pierwszy raz z diagnozą, że będzie żyła najwyżej trzy miesiące. A od tego czasu minęło już 10 lat! Gdy o tym pomyślę, to łzy wzmieszania nawet onkologowi się cisną...

Wiele nowych leków już jest dostępnych w Polsce, co zmieniło rokowanie pacjentów. Część terapii wciąż czeka jeszcze na wprowadzenie, gdyż o ich skuteczności chorzy mogą tylko czytać, jeśli nie będą mieli szczęścia i nie trafią do ośrodka, w którym są prowadzone badania kliniczne lub się do nich nie kwalifikują, a na to ma szansę tylko garstka. Cześć długo nie mogą, gdyż rak płuca zabija szybko.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

TEST „DO RZECZY”: MOBILNY IRYGATOR PANASONIC EW1511

Pięć trybów działania, ultradźwiękowa technologia, prosta obsługa, duży zbiornik na wodę i nowoczesny design – to największe zalety najnowszego irygatora firmy Panasonic.

Na paradontozę, nazywaną cichym zjadaczem dziąseł, choruje co najmniej jedna trzecia Polaków.

Pierwsze objawy stanu zapalnego dziąseł – zaczerwienienie, opuchnięcie i krwawienia – ma jeszcze więcej z nas.

I chociaż kłopoty z paradontozą mieli już starożytni Egipcjanie (jej ślady widać na mumiach egipskich), to dopiero od niedawna wiadomo, co robić, aby zdrowe zęby na starość nie zaczęły się chwiać i wypadać. Prace nad szczepionką jeszcze trwają, więc kluczem jest – poza regularnym szczotkowaniem zębów – niezwykłe dokładna pielęgnacja



kieszonek dziąsłowych, gdzie szczoteczka do zębów nie dociera.

Niewłaściwa higiena prowadzi bowiem nie tylko do większego ryzyka paradontozy, lecz także próchnicy czy chorób przyzębia. Trzeba więc sięgnąć po tradycyjne nitki dentystyczne (ich wadą jest jednak to, że nie są najwygodniejsze w przypadku tylnych zębów) lub nowoczesne irygatory. Ich stosowanie jest koniecznością dla tych, którzy noszą stałe aparaty ortodontyczne, ale nie tylko dla nich.

Kłopot w tym, że jeszcze niedawno irygatory były tak duże i na tyle niewygodne w użyciu, że równie dobrze mogły się nazywać „irytatory”. Na szczęście technologia poszła naprzód i w tej dziedzinie.

Testowany model jest niewielki, intuicyjny w obsłudze i oczywiście wodoodporny. Urządzenie wytwarza silny strumień, który wzmocniony ultradźwiękową technologią zwiększa skuteczność czyszczenia zębów. Dodatkowo „masaż” napowietrzoną wodą stymuluje dziąsła, przez co z czasem stają się one lepiej ukrwione i mocniejsze.

Zaletą jest możliwość wyboru jednego z pięciu poziomów ciśnienia wody – choć najsłabszy jest oczywiście najsilniejszy strumień – testowany model może generować ciśnienie maksymalne na poziomie 6,47 bara – w przypadku osób z wrażliwymi zębami i dziąsłami ta regulacja naprawdę się przydaje. Bezprzewodowy irygator ma też stosunkowo pojemny zbiorniczek na wodę (mieści jej 200 ml). Ładowanie akumulatora trwa zaś około godziny.

Wady? Po pierwsze, brak w zestawie etui podróżnego, co utrudnia przewożenie irygatora. Po drugie, niektóre wersje „przewodowe” – choć mniej wygodne w użyciu – oferują większą moc czyszczenia. Tak jak w przypadku innych irygatorów urządzenie wymaga również umiejętnej obsługi: pierwsze próby czyszczenia pozostawiają więc nie tylko przyjemne uczucie czystości w ustach, lecz także kompletnie ochłapanie lustro, ściany i podłogę łazienki.

Podsumowując, EW1511 to godny polecenia gadżet dla wszystkich tych, którzy chcą mieć piękny skandynawski uśmiech, lub dla tych, którzy przynajmniej nie chcą wydawać fortuny u dentysty.

Cena: 349 zł. ©©

Jacek Przybylski

CZYSZCZĄCY DŁUGOPIS

Były już znikopisy, były długopisy, które po napisaniu można wymazać, teraz powstały zaś długopisy, które... usuną drobne zabrudzenia z ubrania. Można je zmieścić w kieszeni marynarki lub niewielkiej torebce, a okażą się przydatne np. wtedy, gdy podczas uroczystej kolacji wylejemy na siebie kawę lub końcówka krawata zanurzy się niespodziewanie w drinku.

Urządzenie, o którym mowa, nazywa się ViTUN 2.0, a producent określa je mianem pióra do czyszczenia za pomocą ultradźwięków i przekonuje, że by usunąć z koszuli plamę np. po winie, jego konstrukcja potrzebuje zaledwie 30 sekund. Wystarczy tylko zaplamiony materiał zanurzyć w wodzie, a następnie skierować na nią promienie emitowane z urządzenia. Energia ultradźwiękowa nie tylko spowoduje, że woda się wzburzy, czyszcząc i ścierając plamę, lecz także – jak twierdzi producent – dojdzie do jej usunięcia dzięki pęcherzykom powietrza powstałym w wodzie. Użycie środków czyszczących oczywiście byłoby wskazane, jednak producent przekonuje, że nie jest to niezbędne.

ViTUN kosztuje ok. 370 zł i można go zamawiać na portalu Indiegogo. Dostawa już jest możliwa.



FOT. MATERIAŁY PRACOWNE

POWERBANK ZE ŚWIATŁEM

Ładowarek solarnych, powerbanków i różnych innych nośników energii na rynku jest zatrzęsienie, jednak na Halo: IP65 warto zwrócić uwagę, ponieważ oprócz tego, że jest całkiem niezłym magazynkiem (20 mAh), to także umożliwia zasilanie czterech urządzeń jednocześnie, jest wodoodporny i kurzoodporny i może służyć jako latarka – dając silne światło przez ok. 70 godzin. Warto dodać, że wmontowana w urządzenie lampa LED 786LMs LED/flashlight zapewnia wystarczające oświetlenie w warunkach kempingu czy w trakcie spaceru po mrocznym lesie. Cena: ok. 220 zł. Zamawiać można na Indiegogo, a dostawa w każdej chwili. ©©

Wojciech Wybranowski



JACEK KOMUDA

GRZECZY PIASTÓW

Niszczyciel Polski

Gdyby poszukać największego wroga rozrastającej się monarchii piastowskiej w XI w., nie byłby nim król Niemiec i cesarz rzymski, ale Brzetysław, książę czeski, który odebrał Piastom Śląsk, zdobył Gniezno, Poznań i wiele grodów, zrabował zwłoki św. Wojciecha i kompletnie zrujnował i tak osłabioną po wojnach domowych oraz buntach Polskę.

Cesarze rzymscy – Henryk II Święty czy Konrad II Starszy Salicki – walczyli o wyrwanie spod wpływów Piastów Miłska, Łużyc, Czech. Zmierali do rozciągnięcia swego wpływu na Polskę, ale czasem nie mogli się bez niej obejść i zawierali sojusze. Brzetysław chciał Polskę Piastów zniszczyć; dosłownie – wypalić ogniem i żelazem konkurencyjne państwo słowiańskie i zająć jego miejsce w rozgrywce o wpływ w cesarza.

Polityka Brzetysława nawet dziś burzy krew w żyłach, spróbujmy jednak spojrzeć na nią z punktu widzenia południowego sąsiada. Uczciwie mówiąc, Piastowie sporo nagrabili sobie u Czechów, próbując podporządkować ich sobie. Najpierw Mieszko ok. 990 r. odebrał im Małopolskę z Krakowem i Śląsk, a jego syn Bolesław w 1003 r. – Morawy. Następnie Chrobry pomógł przejąć władzę księciu Bolesławowi III Rudemu, którego potem wezwał do Polski i oślepił, wreszcie sam obejmował rządy w Pradze dopóty, dopóki nie wyparł go stamtąd cesarz Henryk II.

Zemścił się za to ojciec Brzetysława – Oldrzych, który odzyskał Morawy, schwycił i wykastrował uciekającego z Polski Mieszka II, mszcząc się za wyłupienie oczu swemu bratu Bolesławowi Rudemu. Jednak zbrojnym ramieniem zemsty stał się jego syn, Brzetysław. W 1038 r., korzystając z tego, że wypędzono z Polski księcia Kazimierza Odnowiciela,



FOT. WIKIPEDIA

najechał na ziemię Piastów. Jak podaje Gerard Labuda, było to późną wiosną – zapewne na początku czerwca. Wojska Brzetysława przemierzyły do 1,4 tys. km, zdobywając grody, łupy i uprowadzając niewolnych. Książę skoncentrował wojska koło dzisiejszego Kłodzka, a następnie wyruszył na Kraków, który zdobyto i spłądowano – jak podaje „Kronika Kosmasy”. Najważniejszym punktem zwrotnym wyprawy było złupienie i zniszczenie Gniezna, skąd zabrano zwłoki św. Wojciecha i być może szczątki Pięciu Męczenników, a także niewiarygodne wręcz kosztowności złupione jeszcze przez Chrobrego. Wśród nich były szczerozłoty krzyż ważący trzy razy tyle co książę Bolesław, a także trzy złote tablice stojące obok grobu św. Wojciecha. Następnie Brzetysław skierował się do Pragi, niszcząc kompletnie Ostrów Lednicki. Złupiono także Giecz, skąd uprowadzono ludność i rzemieślników. Następnie przez Poznań, Wrocław i Kłodzko wojsko księcia wróciło do Pragi, gdzie stanął pod koniec sierpnia i dokonał uroczystego przeniesienia zwłok św. Wojciecha. Dodatkowo przyłączył Śląsk do swego księstwa.

Atakując Polskę, jak podaje Stanisław Kętrzyński w biografii Kazimierza Odnowiciela, Brzetysław

nie łudził się mirażem stworzenia jakiegoś zachodniosłowiańskiego imperium. Z trójkąta politycznych układów, wiecznych wojen i zmieniających się sojuszy złożonego z Niemiec, Czech i Polski postanowił wyeliminować tę ostatnią stronę, stanowiącą zagrożenie dla jego księstwa. Polska była bowiem większa i ważniejsza dla cesarzy niż Czechy – jeśli szukali oni sojusznika i partnera na wschodzie, to zwykle zwracali się do Piastów, tak jak Otton III na zjeździe gnieźnieńskim, pomniejszając rolę Czech. Drugi cel był jeszcze donioślejszy: Brzetysław zamierzał wykorzystać szczątki św. Wojciecha, aby postarać się o utworzenie w Pradze arcybiskupstwa, które uniezależniałoby czeską hierarchię kościelną od niemieckiej metropolii w Moguncji.

Najazd zadał, zda się, ostateczny cios monarchii Mieszka II Lamberta i jego syna, zdruzgotanej przez buntury możnych i powstanie ludowe. Co gorsza, spadł na ziemię dotąd niezniszczone – takie jak Kraków, Giecz czy Poznań. Jednak pomimo sowitych łupów nie udało się wyeliminować północnego sąsiada. Chociaż zniszczono najważniejsze miasta, a w Gnieźnie, jak pisze Gall Anonim: „w kościele św. Wojciecha Męczennika i św. Piotra Apostoła dzikie zwierzęta znalazły legowiska”, to na opustoszałych terenach Wielkiej Polski i Małej Polski nie mogła pozostać pustka. Wkrótce z emigracji powrócił Kazimierz Odnowiciel, a cesarz Henryk III, zaniepokojony wzmacnianiem się czeskiego księcia, znów postawił na większego, chociaż chwilowo bardzo osłabionego gracza – Polskę. W 1041 r. uderzył na Brzetysława i zmusił go do hołdu lennego. Dziewięć lat później Kazimierz Odnowiciel odzyskał Śląsk i księstwo Brzetysława wróciło do takiego samego stanu, w jakim objął je w 1034 r. ©©

NIETYPOWE POŁĄCZENIE ANI JURKSZTOWICZ

Połączenie gotowanej kapusty kiszzonej z rybami? Tak. Danie to zaskakuje swoim wspaniałym smakiem i jest spektakularne zarówno jako przystawka, jak i danie główne. Jest to tzw. choucroute (czyt. szukrut), a po polsku bigos, tyle że zamiast mięs i kiełbas dodajemy ryby i polewamy całość sosem cebulowym z szalotek.

na dużym półmisku. Kolejność układania: kapusta, ryby i krewetki, sos, małe. ©©

oprac. raw

Anna Jurkiewicz
jest piosenkarką i producentką muzyczną.

Składniki:

- 1 kg kapusty kiszzonej
- szklanka rosołu
- kilka kawałków twarżycy, dużych ryb (łosos lub dorsz)
- kilka dużych krewetek
- małe białe, czarne lub nowozelandzkie (1 opakowanie)
- 500 g cebuli szalotki
- butelka białego wina
- 125 g masła
- pojemniczek gęstej śmietany
- przyprawy: jałowiec, liść, laurowy, ziele angielskie, sól, pieprz, olej

Przygotowanie:

Kapustę kiszzoną pokroić, zalać rosołem i ugotować w garnku z wymienionymi wyżej przyprawami. Oddzielnie upiec lub usmażyć ryby i krewetki. Również osobno przygotujemy sos. Na oleju usmażyć kilka szalotek, podlać winem i odczekać, aż się zredukuje. Dodać łyżkę masła i opakowanie gęstej śmietany. Sosem polać kompozycję z kapusty i ryb ułożoną



FOT. ERIKAWARZD



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Bulion za 20 euro. Tanio

Jednym z podstawowych kłopotów nieorganizowanego turysty za granicą jest znalezienie miejsca, w którym można zjeść. Przyszwoity posiłek, w nieznanej okolicy, o różnych porach dnia i za niezbyt duże pieniądze. Czasem ma się coś poleconego przez znajomych, ale akurat w tym miejscu nie jesteśmy albo właśnie mają zamknięte. Szczególnie trudno jest w takich krajach jak Francja i Włochy, gdzie gastronomia działa tylko w określonych godzinach. Restauracje od godz. 12 do 15 serwują obiad, potem przerwa i od godz. 19 kolacja. Trzeba się dostosować albo zjeść byle co w otwartych non stop turystycznych jadłodajniach, które skądinąd nie zawsze są złe.

Gdyby jednak ktoś miał ochotę na coś lepszego i w dodatku w cenie nieruśniętej kieszeni, to teraz jest na to szansa. Trzydzienny obiad z winem za 23 euro. Tylko trochę więcej, niż zapłacilibyśmy za kanapkę i kawę w kawiarni. I nie będzie to befsztyk twarzą jak podeszwa, tylko świeżo przyrządzony, z dobrego mięsa.

„Tradycyjnie francuskie” – mówi o tym jedzeniu pan Christophe Joulie, współzałożyciel i reaktor konceptu restauracyjnego Bouillon. Bouillon to po francusku rosół i stąd może nazwa miejsca, które podjęło stuletnią tradycję knajpki o tej nazwie, gdzie od wieku serwowano świeże, typowo francuskie posiłki za niewygórowaną cenę. Marynowane pory, kaczka confit



FOT. MATERNAL PRASOINE

(duszona we własnym sosie), alzacka kapusta choucroute (podobna do naszego bigosu), zupa krem z jarzyn, potrawka cielęca w białym sosie, zupa cebulowa, ślimaki... Na deser creme caramel lub tarta tatin (odwrócona tarta z jabłkami).

„Powiedziane, zrobione! Nie ma lepszego pomysłu, niż reaktować pomysł z przeszłości”, „Ceny jak na prowincji, serwis, wystrój i jedzenie na poziomie paryskim”, „Sympatyczna karta, klasyczne pozycje” – to głosy internautów na serwisie Trip Advisor. Bouillon zbiera wysokie oceny. Na razie niedaleko dworca Montparnasse i na Pigalle, wkrótce następne adresy.

Protesty żółtych kamizelek, które trwają we Francji od pół roku, skierowane są przeciw całej branży luksusu, który skądinąd stanowi francuską specjalność oraz ważne źródło dochodów z eksportu i turystyki. Ofiarą zamieszek padła m.in. restauracja Fouquet's. Trudno stwierdzić, czy Bouillon oznacza powrót do demokratycznego jedzenia i demokratycznych cen. Na pewno smaczne jedzenie za 20 euro to szansa i wyzwanie. W ogwiazdkowanych restauracjach Michelin cena pojedynczego dania zaczyna się od 30 euro, a do 200 za jedną osobę dochodzi się bez problemu. ©©

BENTLEY FLYING SPUR



FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

Brytyjski producent luksusowych samochodów pokazał wreszcie zapowiadaną m.in. na tych łamach trzecią generację modelu Flying Spur, czyli produkowanej od 2005 r. czterodrzwiowej limuzyny. Z zewnątrz zmieniło się niewiele. Groźny konkurent takich aut jak Rolls-Royce Ghost czy Maybach-Mercedes Klasy S powstał na platformie MSB, na której zbudowano model Continental GT czy Porsche Panamerę. W środku auto zostało jednak naszpikowane nowoczesnymi technologiami. Centrum dowodzenia stanowi 12,3-calowy ekran ciekłokrystaliczny. Kierowca ma do pomocy wielu elektronicznych asystentów, ostrzegających przez samochodami w martwej strefie lusterek, a także ułatwiających jazdę w korku.

Aby jazda była komfortowa, brytyjscy inżynierowie zastosowali aktywne stabilizatory. Żeby zaś ułatwić manewrowanie, pierwszy raz w historii Bentleya zdecydowano się na system czterech skrętnych kół. Maskę zdobi automatycznie wysuwana i chowana figurka Bentleya. Pod nią znalazł się 6-litrowy, 12-cylindrowy silnik o mocy 626 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym aż 900 Nm. Dzięki temu Flying Spur potrafi przyspieszyć od zera do 100 km/godz. zaledwie w 3,8 s i osiąga maksymalną prędkość wynoszącą aż 333 km/godz. Niestety, cena wciąż nie została ogłoszona. Wiadomo jednak, że pierwsze egzemplarze wyjadą do klientów już w przyszłym roku.



OPONA PRZYSZŁOŚCI?

Inżynierowie koncernu Michelin we współpracy z General Motors stworzyli nową generację bezdętkowych opon, które de facto są kołem i ogumieniem w jednym. Rewolucyjne rozwiązanie ma doprowadzić do tego, że kierowcy już nigdy nie złapią gumy, a z samochodów na zawsze znikną koła zapasowe czy podnośniki.

W modelu Michelin Uptis (Unique Puncture-Proof Tire System) nie ma bowiem w ogóle powietrza. Zamiast niego użyto specjalnej mieszanki gumy oraz włókna szklanego, którą

z jednej strony przytwierdza się do aluminiowej obręczy, a z drugiej montuje się na niej klasyczny bieżnik.

Nowa opona ma być bezpieczniejsza, zapewniać lepszą amortyzację, a przy okazji umożliwiać mniejsze spalanie paliwa. Takiej oponie niestraszne są też ostre krawężniki, dziury czy gwoździe. W niektórych modelach elektrycznych samochodów Chevy Bolt EV prototypowe opony mają być testowane jeszcze w tym roku. W ciągu pięciu lat Uptisy mają wejść do seryjnej produkcji.

NAJSZYBSZA KOSIARKA ŚWIATA

Honda Mean Mower już w 2014 r. zdobyła tytuł najszybszej kosiarki świata. Ostatnio przedstawiciele Japończyków postanowili jednak poprawić własny rekord. Honda ponownie pobiła więc rekord Guinnessa, rozpędzając się do zawrotnej prędkości 242,99 km/godz. Od zera do 160 km/godz. przyspieszyła zaledwie w 6,29 s, a sprint do pierwszej setki zajął jej tylko trzy sekundy.



Aby umożliwić kosiarce tak szybką jazdę, inżynierowie zainstalowali „pod maską” silnik ze sportowego motocykla CBR1000RR Fireblade, który generuje aż 200 KM, czyli niemal dwa razy więcej niż oryginalna kosiarka.

Czy Honda Mean Mower V2 jest jednak wciąż zdolna do koszenia trawnika? Bez tego nie pobiłaby rekordu. Aby jednak za bardzo nie obciążać koszącego bolidu, Japończycy zastosowali do tego zadania superlekkie ostrza z włókna węglowego. ©©

Jacek Przybylski



KRZ * W D A D R A M *
N I * S P R A W I E * * * W O * C

NA POMOC!

PROGRAM INTERWENCYJNY

ŚRODA 21:30

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl





ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Obronić przed Polską!

W Gdańsku, z okazji 30. rocznicy wyborów z 4 czerwca 1989 r., odbył się wiec opozycji.

W roli gospodarza występował samorząd gdański. Wśród najważniejszych wydarzeń zwracały uwagę debata zatytułowana „30 lat polskiej demokracji”, z udziałem m.in. Lecha Wałęsy i Aleksandra Kwaśniewskiego, a także ogłoszenie deklaracji zatytułowanej „21 tez samorządowych”, podpisanej przez grupę prezydentów miast.

Wydzwięk obu wydarzeń był jasny: demokracja, która zaczęła się w Polsce od decyzji podjętych przy Okrągłym Stole, jest dziś reprezentowana tylko przez samorządy lokalne – i to nie wszędzie. Zagrożeniem dla demokracji i samorządności (dla wybranych) jest władza centralna. Chociaż pochodzi ona także z niewątpliwie demokratycznych wyborów, a dodatkowo uzyskała świeże potwierdzenie swej legitymacji przez wyraźne zwycięstwo w wyborach do Parlamentu Europejskiego, to jednak właśnie władza ogólnopolska, władze Rzeczypospolitej są tutaj potraktowane jako przeciwnik. Przeciwnik, którego trzeba osłabić, a w końcu pokonać – raz na zawsze. Narzędziem w tej walce

mają być wielkomiejskie samorządy, występujące – samozwańczo – w imieniu samorządów w ogóle (warto dostrzec, że w wyborach samorządowych na 16 województw w dziewięciu wygrał przecież PiS, a opozycja tylko w siedmiu, czyli w mniejszości).

Samorządy kontra Polska? Wspomnianych „21 tez samorządowych” nie pozostawia wątpliwości. Wyrażają one m.in. żądanie „likwidacji urzędu wojewody”, a także „zwierzchności powiatów i samorządów wojewódzkich nad zespólnymi służbami”. Nie mam pewności, co znaczą „zespólone służby”, ale wymienia się w takiej rubryce m.in. komendy wojewódzkie policji, Państwowej Straży Pożarnej, kuratorium oświaty, inspektoraty nadzoru budowlanego, Inspekcji Handlowej... Urząd wojewody, przypomnijmy, potwierdzony w konstytucji w art. 152, jest przedstawicielem centralnej władzy wykonawczej w województwie. Jego likwidacja oznaczałaby nie tylko konieczność zmiany konstytucji, lecz także – razem z parcelacją policji, straży pożarnej i innych wspomnianych służb pomiędzy samorządy – demontaż wspólnoty państwowej.

Demokracja w Polsce nie zaczęła się, wbrew organizatorom gdańskiej debaty, 4 czerwca roku 1989. Nie darował jej gen. Jaruzelski ani nie wynegocjował gen. Kiszczak z prof. Geremkiem. Jej historyczna siła zaczęła się ponad 500 lat wcześniej – w nieodległych od Gdańska Cerekwicy i Nieszawie, w roku 1454. Tam król Kazimierz Jagiellończyk wydał, pod presją obywateli-szlachty, przywileje, które potwierdziły rolę sejmików ziemskich jako podstawowego organu nie tylko samorządności, lecz także ogólnopolskiej demokracji. Tam została zapoczątkowana jedna z najdłuższych i najbogatszych w Europie tradycji samorządu połączonego z Rzeczpospolitą.

Działała dobrze, gdy długo opierała się na połączeniu tych dwóch czynników. Już od roku 1468 sejmiki uzupełniły swą rolę, stając się miejscem wyboru posłów na Sejm, spajający wspólną Rzeczpospolitą. Jednak samorządność uległa, bo taka jest natura ludzka, zepsuciu. Padła łupem lokalnych oligarchii. Po dwóch wiekach sprawnego funkcjonowania obywatelskiej Rzeczypospolitej na sejmikach zdominowanych przez miejscowe siły zaczęło przeważać to przekonanie, które dziś odzywa się w Gdańsku: wrogiem jest własne państwo, wrogiem jest władza centralna. Krzycząc „wolność”, zapomnieli o niepodległości.

Tradycja polskiej niepodległości, walki o nią jakby uwierała dzisiejszych szermierzy ruchu „wolnych miast”. Bo pamięć o walce o suwerenność i poniesionych w niej ofiarach może uzmysłwić, że utrata niepodległości wiele, bardzo wiele kosztuje, że jest wielkim nieszczęściem. Tak jak wielkim szczęściem jest wolność.

W czasie uroczystości 4 czerwca urządzono przed grobem prezydenta Adamowicza, jako duchowego ich patrona, odprawę wart w mundurach garnizonu miejskiego Gdańsk z XVIII w. Z oburzeniem prostowano mylne interpretacje, jakoby były to mundury pruskie. Trudno jednak zaprzeczyć, że podstawowym celem grupy rekonstrukcyjnej zaproszonej do symbolicznego hołdu obrońcy Wolnego Miasta Gdańsk jest odtwarzanie tradycji pruskiego pułku piechoty: Infanterie Regiment 52 von Hamberger. A głównym wyczynem bojowym owego pułku była obrona Tczewa w lutym 1807 r. przed wojskiem polskim pod wodzą gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. Obronić Gdańsk przed Dąbrowskim, przed „Mazurkiem...”, przed Polską? Naprawdę o to chodzi w „ruchu samorządowców” roku 2019? ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



SŁAWOMIR
JASTRZĘBSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Potęga moich kochanych zwyklaków

A właściwie to za co ja go tak lubię? Myślało mi się. I mnie wzięło i ołśniło. Ja go lubię, bo to taki zwyklak jest. Najzwyklejszy zwyklak. Taki, wiesz, do pracy chodzi, żonę kocha oraz o nią dba, dzieciaki kocha, które radością jego są, i ogólnie porządny gościu, ale znowu bez przesady. Ta wódka, to ona go czasem upodli z meniskiem niestety, i te dziewczyny, ale zostawmy dziewczyny, bo on ma żonę oraz wyrzuty sumienia ma jak człowiek, i ja go za tę właśnie zwykłość oraz szczerłość cenię.

Tak sobie właśnie pomyślałem o głównym bohaterze-narratorze książki „Kult” Orbitowskiego. Lubię tak się czasem pochwalić, że książki czytam, bo czytam, że mało już kto czyta, taką mniejszością jestem. A propos mniejszości. Mnie się przypomniało, że niedawno koło mnie przechadzał się Marsz Równości w mieście stołecznym Warszawie. A ja to trochę taki ciekawski jestem, to się tak odrobinę pogapię, ale żeby też tym swoim gapieniem się kogoś nie urazić, bo ludzie uważający, że jest nierówność, są wrażliwi w wielu punktach na ciełe i na duszy. Refleksja ogólna, która mnie naszła po tym gapieniu się na maszerujących, wydaje mi się dalece zaskakująca i nie wiem, czy się nią dzielić, więc państwu powiem. Otóż oni wszyscy byli niezwykli. Takie niezwyklaki. Tylko ja tu bardzo upraszam, żeby się ze słowem „niezwyklak” nie stało tak, tylko odwrotnie, jak ze

słowem na przykład „kubista”. „Kubista” miał być drwiący i szydzący według krytyków, a stał się neutralnie szufladkujący. Żeby słowo „niezwyklak” nie posłużyło do stygmatyzowania piętnowania. Niniejszym uprasza się raz jeszcze.

No! Więc maszerowali ludzie bardzo niezwykli. Chociaż to nie karnawał, to bardzo dużo przebierańców. Za jakiegoś konia ktoś przebrany, inny za jednorożca, chłopaki za dziewczyny, dziewczyny niektóre ładne były, no nie wszystkie może takie uderzająco piękne, ale ogólnie rzecz biorąc, zostawmy temat urody tych dziewczyn i kobiet, które tam maszerowały. Dobrze? Kim ja jestem, żeby urodę kobiet oceniać? Belmondo się znalazł. Phi! Więc do moich refleksji przejdźmy.

Jeżeli oni, ci maszerujący, chcą, żeby była równość i normalność, i żeby byli tak traktowani (co uważam, że niby dlaczego nie?), to dlaczego oni dokładają starań, żeby taki ja postrzegali ich jako właśnie, że rewers? Dlaczego oni to robią? Jakies takie dziwowiska. A część jeszcze nastroszona, nie chce mówić, że agresywna i taka w tym „a ja wam teraz pokażę”, za bardzo moim zdaniem ekshibicjonistyczna. Może niesprawiedliwy jestem? Takie bywają jednak refleksje...

No dobra, inny temat. Teraz coś naprawdę poważnego: w związku Izabel z Kazimierzem, dalej jatka, ale bez przełomów. O sytuacji na froncie będę informować. ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIĄŁ

Kto czyta Carla Schmitta

W pierwszym tygodniu po wyborach euro-parlamentarnych pisałem o „nawróconych” – celebrytach, publicystach i politykach, którzy po kolejnej porażce obozu tzw. zjednoczonej opozycji sformułowali przełomową teorię mówiącą, jak nie przegrać kolejnych. Otóż wyborców prawicy nie wypada obrażać (bo to nieskuteczne), tylko trzeba z nimi rozmawiać, perswadować, wskazywać na zgubne skutki trwania w błędzie i kulturalnie odwozić od złego.

Wystarczyło jednak poczekać, aż opadnie bitewny kurz, aby hufcowi antypisu wrócili na z góry upatrzone pozycje. Niektórzy stopniowo i z lekką dozą paternalizmu, tak jak choćby posłanka Joanna Mucha. „Czytam komentarze »naszej strony« na temat głosujących na PiS. Niesprawiedliwe, czasem obraźliwe. Nie mogę w nie uwierzyć. Niektórzy głosują z pełnym przekonaniem, innych poddano manipulacji. Ale to nie ich wina, nie ich odpowiedzialność. Winę i odpowiedzialność ponoszą manipulujący” – stwierdziła na Twitterze.

Czy to nie piękne? Z jednej strony autorefleksja, z drugiej „wybaczenie im, bo nie wiedzą, co czynią”. Inni, choćby prof. Marcin Matczak, uderzyli w bardziej intelektualną nutę. „Chcecie pokonać autorytarną władzę? Nie pogłębiajcie strachu tych, którzy z tym strachem nie umieją radzić sobie inaczej, jak poprzez

ucieczkę od wolności w ramiona silnego lidera. Przekazujcie swoją prawdę spokojnie, z szacunkiem dla tych, którzy Was obrzucają wyzwiskami. To jest jedyna droga” – radził na Facebooku. I znowu: szanujcie swoich przeciwników, będąc od nich mądrzejsi.

Przecież do tego wszystko zmierza, gdy pożegnamy się z krępującą języki iluzją autocenzury. Polityk i prawnik stosować ją niekiedy musi. Ale żeby pętać sumienie aktorki, pisarki i wielkiego poety więzami konwencji? Co to, to nie.

Dla spragnionych przykładów garść świeżych cytatów z opozycyjnej galerii sław. „Pani Szydło w ogóle nie ma emocji, nie istnieją emocje u pani Szydło. My w ogóle jesteśmy bezradne wobec takich kobiet jak pani Szydło” – Krystyna Janda. „Nie widzę więc powodu, dla czego miałabym się cieszyć, że wygrała matka księdza, która występuje w Polsce w roli Matki Boskiej. To nie wzmacnia godności kobiet, tylko ich opresję” – Manuela Gretkowska. „Pani Szydło jest ideałem człowieczeństwa dla pół miliona osób. Nie zna języków, okropnie się ubiera, mówi głosem przedszkolanki w depresji, najwyraźniej nie uprawia sportu i nie czyta rozpraw Carla Schmitta, jak jej tajemniczy szef” – Adam Zagajewski.

Może po prostu jedyne, czego obecna władza może sobie życzyć na jesień, to pozwolić tym ludziom mówić? ©©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Rafał, nie pomagasz

RAFAŁ TRZASKOWSKI: *Pytano mnie, czy gdy odbędzie się marsz w obronie polskiej rodziny, to czy na niego także pójdę. Tak, jeżeli tylko uznam, że polska rodzina jest zagrożona.*

Jeśli swoją nieobecność na warszawskim Marszu dla Życia i Rodziny prezydent Warszawy tłumaczy tym, że nie zgadza się z jej przesłaniem, to – przez analogię – jego obecność na wcześniejszej Paradzie Równości trzeba chyba rozumieć jako poparcie dla jej przesłania. A najważniejszym postulatem tegorocznej parady były małżeństwa homoseksualne z prawem do adopcji dzieci – za takim właśnie transparentem maszerował prezydent stolicy, nad takim postulatem objął patronat i z takiego hasła wkrótce będzie się musiał tłumaczyć wyborcom, gdy zgodnie z zapowiedziami ruszy na wieś, by przekonywać do PO elektorat, któremu nie wystarczyło tłuczenie mu do głowy, że jest gorszy, głupszy i sprzeżony za „500+”. Biorąc pod uwagę plany, żeby to właśnie związani z opozycją samorządowcy byli wyborczymi lokomotywami, oraz to, że sam Trzaskowski jest coraz częściej typowany na przyszłego rywala prezydenta Dudy, zapowiada się ciekawa kampania.

Nie mogę się doczekać prasowych relacji z kampanijnych spotkań na prowincji, którą Trza-

skowski będzie nawiedzał z przesłaniem, pod którym się podpisał, maszerując w paradzie. Podobny problem będą zresztą mieli także inni prezydenci miast, którzy objęli patronaty lub poszli w paradach, bo hasło równości małżeńskiej z prawem do adopcji dzieci było postulatem wszystkich tegorocznych parad. Do zobaczenia w Polsce B z taką postępowością.

Prawo do adopcji dzieci jest postulatem dla mnie nieakceptowalnym, w przeciwieństwie do większości innych postulatów, których zasadność rozumiem i nie uważam za szczególnie groźne dla kogokolwiek. Odwiedziny w szpitalu, prawo do dziedziczenia, nawet wspólne opodatkowanie czy prawo do quasi-małżeństwa i noszenia wspólnego nazwiska – nie mam z tym większego problemu i uważam, że wiele tych spraw można i powinno się dawno rozwiązać. Jednak po tym, jak środowisko LGBT wreszcie odważyło się otwarcie postawić żądanie prawa do adopcji, a bezmyślni politycy Platformy Obywatelskiej objęli nad nim patronat – a czasami nawet poszli na czele parad to żądanie popierających – przydałaby się mądra i rzeczowa dyskusja ucinająca takie zakusy w zarodku.

W polskim prawie nie ma czegoś takiego jak „prawo do dziec-

ka” i to się nie powinno zmienić. Adopcja jest możliwa tylko dla dobra dziecka, a kodeks rodzinny i opiekuńczy promuje jak najbardziej zbliżone do „naturalnych” rodziny, wymagając, aby różnica wieku między przysposabiającym a przysposabianym była „odpowiednia”. 20-latkowie są za młodzi na adopcję 10-latką, 70-latkowie są za starzy na adopcję kogokolwiek. I choć to słowo staje się coraz bardziej wyklęte, uważam to za normalne. Tak jak normalne jest wprowadzenie górnej granicy wieku przy zapłodnieniu in vitro, nawet jeśli dzięki postępowi medycyny można zostać matką w wieku 72 lat, co już się jednej pani gdzieś w Indiach udało udowodnić.

Nie ma i mam nadzieję, że nigdy nie będzie czegoś takiego jak „prawo do dziecka”. Jest i powinno pozostać prawo dziecka do lepszego życia, z rodzicami obojga płci, w wieku mniej więcej takim, w jakim bywają rodzice takich dzieci. Jeśli ktoś uzna to za dyskryminację par homoseksualnych, to niech będzie – jestem za taką dyskryminacją i nie miałabym nic przeciwko temu, żeby znalazła mocne odzwierciedlenie w przepisach. A z Platformą do zobaczenia na spotkaniach gdzieś „w Polsce” na rozmowach o jej postulatach adopcji dzieci przez dwóch tatusiów. ©

PODSŁUCHANE

Pięć lat laby

Robert, a to nie będzie jakiegoś problemu, jak ty nie oddasz mandatu? Sylwia, a jaki może być problem? Nie oddam i koniec. Zabierze mi ktoś? A jak się będą dziennikarze czepiać? Oni się strasznie czepiają! Mnie się na przykład czepiali, że o tych krówach, co wolne chodzą, napisałam, że mogą zostać zamordowane

i zjedzone. No powiedz sam: jak można krowę jeść?

No, wiesz...

Wiem, niektórzy jedzą. I to jeszcze smażoną albo gotowaną. Obrzydliwie! Albo Schety na się może czepiać.

Żebyśmy ja się Schety nie czepili i nie przypomnieli, co on kiedyś obiecał, a nie zrobił. Poza tym do następnych wyborów ludzie zapomną.

Ale następne wybory jesienią!

Do tych też, ale ja miałem na myśli następne do europarlamentu. Sylwia, pięć lat laby mamy w kieszeni.

Musiałbym być kretyńcem, żeby z tego rezygnować.

Ale jak to: laby? Przecież jest tyle spraw do załatwienia: trzeba zakazać mordowania krów, wprowadzić małżeństwa dla elgibete plus, prawo do aborcji, zakazać samochodów... Ojej, sama nie wiem co jeszcze. W notesiku sobie pospisywałam.

To wiesz co? Ja cię będę w tym wszystkim bardzo wspierał, ale kto to lepiej przeprowadzi niż ty? ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS zwycięża wszechogarniającym kłamstwem i mediami, które je rozpowszechniają”.

PAWEŁ ZALEWSKI, były poseł i europoseł, obecnie członek gabinetu cieni PO, na Twitterze



fot. Jerzy Gumowski

Tonienie

Kiedy twoja łódź tonie, bo ma już tyle dziur, że nie możesz ich zatkać, doznajesz czarnych uczuć. Moja katolicka Nawa tonie dzisiaj w odmętach politoprawnego świata agresywnych dewiantów, według których religia to niedopuszczalne (mówiąc Marksem) „opium dla ludu”, zaś jej instytucjonalne struktury to karygodna forma opresji ze strony teorezimu kościelnego. Kolebką tej dekadencji Kościoła były wszelakie średniowieczne schizmy (gnostyczne i inne), potem „reformy protestanckie”, laicka ofensywa „Wieku Świata!” (Wolter & Co.), wreszcie masońskie i socjalistyczne wysiłki sekularyzacyjne stulecia XIX. Kościół dzielnie przez te wieki bronił doktryny, czyli istoty, fundamentu — to był klucz trwania.

Bonnot de Mably, jedyny głębooko religijny spośród czołówki „filozofów” Oświecenia, uważał, iż głównym niebezpieczeństwem dla Kościoła jest jego wewnętrzna degeneracja, oraz że religia może stać się wygodnym parawanem dla podwójnej moralności bądź faryzejskiego relatywizmu. Według niego duchowieństwo katolickie musi być nietolerancyjne w sprawach prawd wiary. O tym zapomniano kiedy Sobór Watykański II dokonywał szerokiego (nawet liturgicznego) „*unowocześnienia*” („*Aggiornamento*”) katolicyzmu, i gdy Karol Wojtyła, nieodrodny produkt Vaticanum Secundum, jako JP II swoim „*szalonym ekumenizmem*” rozluźniał rygory. To za jego pontyfikatu kolumbijski myśliciel Nicolás G. Dávila sarkauł: „*Posoborowy Kościół chce przyciągać do «owczarni» przekładając komunały dzisiejszego dziennikarstwa na bezbarwny język kancelarii watykańskiej, a «postępowi» chrześcijanie przekształcają chrześcijaństwo w «humanitarny» agnostycyzm operujący chrześcijańską nomenklaturą*” (1986).

Dzisiejszym wodzirejem kościelnego postmodernizmu jest „Papa” Bergoglio. Andrew Brown: „*Papież Franciszek to obecnie jeden spośród ludzi najbardziej nienawidzonych przez konserwatywnych katolików, którzy uważają, że flirtuje on z herezją demontując katolicką doktrynę, i widzą w tym — jak to sformułował arcybiskup Kazachstanu — «dym Szatana»*” (2017). Niemiecki kardynał Rainer Maria Woelki: „*Nie jest naszym zadaniem wymyślać nowy Kościół. Misją biskupów jest bronić tradycyjnej wiary, którą przekazali nam apostołowie*” (2019). Bergoglio ma wszakże wizję odmienną. Ów argentyński jezuita wywodzi się bezpośrednio z jezuickiego kontrdoktrynalnego/kontradycjonalistycznego buntu lat 50–ych, kiedy ten zacządzony triumfującym wówczas szeroko marksizmem (Sartre et consortes) zakon przeszedł na modernistyczne pozycje lewaków. Nie dziwiłoby tedy takie wypowiedzi Franciszka jak pochodząca z listopada roku 2016: „*— Komuniści myślą niczym praw-*

dziwi chrześcijanie”. Według niego prawdziwi chrześcijanie winni polubić całą menażerię wrógów chrześcijaństwa, od pedrastów (stąd pedalska „*ikona rocka*”), Elton John, zwie go „*naszym papieżem*” i krzyczy: „*— Franciszek to na przestrzeni długich stuleci najlepsze zjawisko dla Kościoła katolickiego!*”), do islamistów. Otwarcie bredzi, że „*nie jest słuszne identyfikowanie islamu z przemocą — to nie jest prawda*”, zamieszczając tego rodzaju idiotyzmy również w watykańskiej deklaracji „*Nostra aetate*” („*Muzułmanie strzegą prawd, krzewią dobrą moralne, pokój, wolność i sprawiedliwość, zgodnie z interesem całej ludzkości*”), czym małpuje Wojtyłę, który publicznie całował „*Koran*”, księgę sto razy nawołującą do bezlitosnego mordowania „*nie-wiernych*” ergo: katolików.

Wiele urzędowych oświadczeń i prywatnych wypowiedzi Bergoglia karykaturyzuje czy wręcz absurdalizuje doktrynalną „*nieomyślność*” ziemskich namiestników Przedwiecznego, jeśli bowiem Argentyńczyk się nie myli — to znaczy, że myliła się większość jego poprzedników, wszyscy obrońcy tradycyjnego Magisterium Kościoła. Exemplum jego pełna akceptacja dla posoborowej relatywizacji grzechu, będącej właści-

Przeciekająca Nawa

wie likwidacją potępienia za grzech, czymś w rodzaju Owsiakowego „*róbta co chceta*”. Eugenio Scalfari: „*Franciszek obalił pojęcie grzechu na rzecz totalnego miłosierdzia*”, ale przecież bezgraniczne miłosierdzie jest niczym innym jak tylko obłudnym sposobem usprawiedliwiania nadmiernej tolerancji, rugującym elementarną sprawiedliwość. Działacz katolicki (przywódcą francuskich tradycjonalistów) Bernard Antony tak wyjaśnił dlaczego Kościół katolicki Zachodu coraz bardziej słabnie: „*— Ponieważ opiera się na mieszanice miłosierdzia i permissywizmu, a nie na odwiecznych zasadach*” (2016). Niestety — ów permissywistyczny trend za inicjował JP II, a Benedykt XVI nie zdążył, mimo usilnych starań, odwrócić tego. Oto czemu tęskni za Benedyktem cała autentyczna prawica globu. Głośny internetowy „*Pelagianin*” w swym „*Liście do papieża Franciszka*” rzekł: „*Wszystko co Benedykt XVI scalał jest ponownie rozmywane, jak za najgorszych czasów Jana Pawła II*” (2013). Rok później (2014) „*The Atlantic*” napisał, że konserwatyści „*załują Benedykta, pełnego dystynkcji uczonego, któremu przydarzyło się uplasować między dwiema gwiazdami rocka, Janem Pawłem II i Franciszkiem, niezbyt fortunnie, albowiem w przeciwieństwie do nich nigdy nie szukał estradowego poklasku i rozgłosu, woląc być doktorem Kościoła niżym Tomasz z Akwinu, św. Teresa z Avila i św. Jan od Krzyża*”.

Można długo wymieniać inne jeszcze, kontestujące doktrynę i tradycję, reakcje czy posunięcia Franciszka, od przymknienia oczu na lewacką „*teologię wyzwolenia*” i marginalizacji walki z aborcją, do krytykowania prozelityzmu (praktyki nawróceniowej) tudzież „*protestantyzowania katolicyzmu*” (to drugie celnie piętnował Paweł Lisicki biografą Lutra, 2017). Lisickiemu w walce z tym wszystkim sekunduje duża grupa renomowanych antysalonowych komentatorów, vide Sławomir Cenckiewicz, który bardzo pochlebnie recenzował książkę Antonio Sociego neglżującą Franciszka jako uzurpatorskiego heretyka, punktuąc bez litości: „*Papież od wielu lat niekłękający przed Najświętszym Sakramentem (co tłumaczono chorobą kłękał). Papież odmawiający wzięcia udziału w procesji Bożego Ciała. Papież mówiący, że Bóg nie jest katolicki. Papież cytujący podczas Anioł Pański heretyckie książki kardynała Kaspera. Papież głoszący pogląd o Duchu Świętym jako «harmonijnej jedności» różnych wyznań. Papież wkładający w usta św. Pawła zdanie: «chłubię się z moich grzechów». Papież negujący liturgię trydencką. Papież rehabilitujący komunistów. Papież wychwalający islam*”. Itp., itd. Cenckiewicz zamknął tę wyliczankę konkluzją: „*Skala zjawiska jest porażająca*” (2015).

Polska miała być ostoją katolicyzmu tradycyjnego — bastionem doktryny dawnego Magisterium. Wierzyłem, iż tak będzie, mimo chuligaństwa profanacyjnego (niszczenie kaplic i ołtarzy przez szurniętych „*satanistów*”) czy bluźnierczego (kontrkatolicka pseudosztuka szurniętych „*artystów*”), i mimo bełkotu szurniętych „*celebrytów*” (reżyser A. Saramonowicz był łaskaw publicznie uznać Świętą Rodzinę przy Bożonarodzeniowym żłobku, oraz Gwiazdę Betlejemską, za elementy „*szeroko rozumianego gówna*”, 2018). Wierzyłem, iż to szumowina, która spłynie, a Kościół się obroni. Myliłem się. Nie chodzi już nawet o zjawisko kościelnej pedofilii (czyli tej Mabły’owskiej „*religii stanowiącej wygodny parawan dla podwójnej moralności*”) — choć masowe ujawnienia są tylko wierchołkiem góry lodowej — lecz o oficjalną już (można rzecz urzędową, partyjną) kontrkatolicką kampanię Salonu, która skutkuje m. in. tym, że laicyzacja polskiej młodzieży jest najszybsza na świecie (!!!), wyniki badań Pew Research Center). Niedawne ekscesy salonowej ofensywy — antykościelny spicz lewaka L. Jazdzewskiego zapowiadający występ D. Tuska (stąd nazwano go „*przedskoczkiem Tuska*”), mająca akceptację tuzów PO tęczywa pedalizacja Madonny Częstochowskiej przez E. Podlesną (psycholożka, psychoterapeutka, psychopatka) i parodiujący procesję Bożego Ciała trójmiejski Marsz Równości, podczas którego ukoronowana wagina imitowała monstrancję z Najświętszym Sakramentem (za zgodą lokalnych platformerskich władz) — kiepsko wróżą katolickiej tożsamości Polaków. ©©

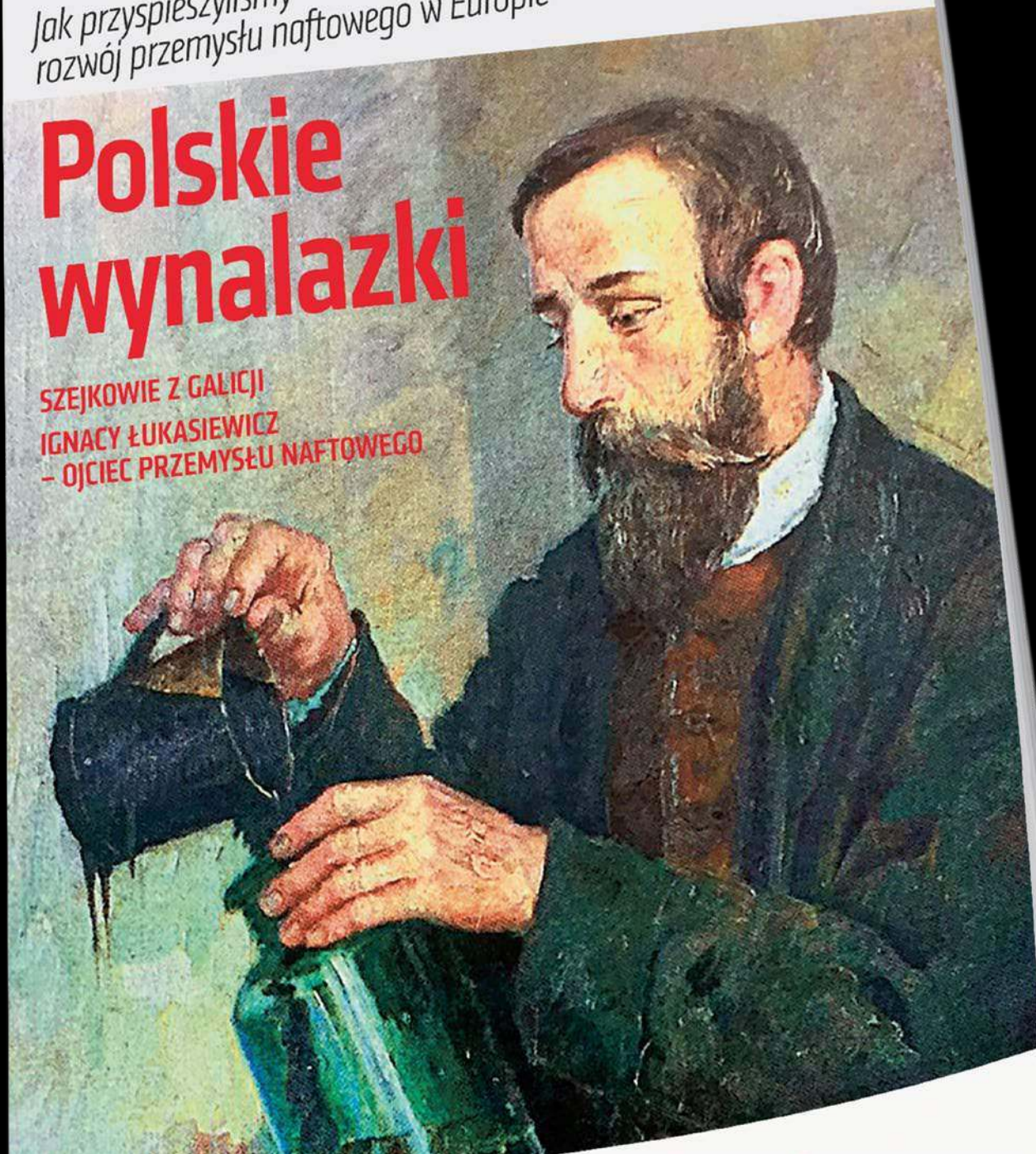
Waldemar Łysiak

Już 24 czerwca w **DO RZECZY** dodatek

Jak przyspieszyliśmy
rozwój przemysłu naftowego w Europie

Polskie wynalazki

SZEJKOWIE Z GALICJI
IGNACY ŁUKASIEWICZ
- OJCIEC PRZEMYSŁU NAFTOWEGO



Partner wydania:

